Agenor hr. Gołuchowski

w pierwszym okresie rządów swoich

(1846—1859).

(Ciąg dalszy).

III.

Hr. Gołuchowski w walce z generałem Hammersteinem i wśród stanu wojennego.

Treść: Sytuacya po zbombardowaniu Lwowa. — Stłumienie życia publicznego przez generała Hammersteina. — Położenie dworów po zniesieniu pańszczyzny. — Prowokacyjne postępowanie ruskiej Rady narodowej i jej antagonizm wobec hr. Gołuchowskiego. — Walka z wrogą krajowi biurokracyą. — Przemarsz wojsk rossyjskich do Węgier. — Trudności w dostarczeniu zboża i paszy dla magazynów wojskowych w braku robotników. — Opór ludności wiejskiej w tej mierze i wystąpienie hr. Gołuchowskiego z zagrożeniem środków przymusowych. — Skarga Rady ruskiej z tego powodu do ministra Bacha wniesiona. — Zaostrzenie rządów wojennych wskutek rozszerzenia władzy generała Hammersteina. — Reskrypt ministeryalny wydany po myśli cara Mikołaja I. w sprawie chwytania i wydalania emigrantów polskich z Galicyi. — Car Mikołaj I. i hr. Gołuchowski w Żmigrodzie. — Aresztowanie generała Józefa hr. Załuskiego na żądanie cara Mikołaja I. — Reklamacya hr. Gołuchowskiego wniesiona z tego powodu do ministra Bacha z żądaniem dymissyi na wypadek utrzymania wyjątkowych zarządzeń w mocy. — Popłoch w kraju wskutek aresztowania hr. Załuskiego. — Wyjazd ks. Leona Sapiehy, Romana Wybranowskiego i ks. Adama Lubomirskiego. — Ponowna reklamacya hr. Gołuchowskiego w sprawie generała hr. Załuskiego. — Skazanie na śmierć i ułaskawienie hr. Załuskiego przez cara Mikołaja I. — Zwycięztwo hr. Gołuchowskiego w sporze kompetencyjnym z generałem Hammersteinem. — Missya pułkownika rossyjskiego ks. Radziwiłła w sprawie aresztowania Franciszka Smolki Floryana Ziemiałkowskiego i trzech innych osób podejrzanych. —

Stanowczy i skuteczny opór hr. Gołuchowskiego co do aresztowania Smolki. — Aresztowanie i wywiezienie Ziemiałkowskiego. — Reklamacya wniesiona z tego powodu przez aresztowanego a poparta przez hr. Gołuchowskiego. — Wymiana pism między hr. Gołuchowskim a generałem Hammersteinem — Nowe zwycięztwo hr. Gołuchowskiego w sporze z generałem Hammersteinem. — Ustąpienie generała Hammersteina z widowni. — Początki antagonizmu między hr. Gołuchowskim a ministrem Bachem. — Sprawa spiskowa Juliana Goslara i spiski studenckie. — Sprawa Hubricha. — Urojony spisek krakowski i sprawa Józefa Łepkowskiego. — Cicha konwencya między Austryą a Prusami i Rossyą co do ścigania spiskowców. — Sprawa Agatona Gillera. — Era denuncyantów. — Potwarcza denuncyacya o Arcybiskupie Baranieckim. — Memoryał Wohlfartha. — Denuncyacya o profesorach uniwersytetu krakowskiego. — Relacya policyjna o profesorach Antonim Maleckim, Jozafacie Zielonackim, Zygmuncie A. Helclu, Wincentym Polu, Julianie Dunajewskim, Józefie Majerze i innych. — Usunięcie pierwszych czterech profesorów i stanowisko hr. Gołuchowskiego w tej sprawie. — Opłakany stan administracyi i organizacya władz. — Pierwsze próby wciągania żywiołów krajowych do służby państwowej. — Baron Kalchberg. — Joachim Chomiński. — Sprawa pomnika dla cara Mikołaja I. w Żmigrodzie. — Dyscyplinarne poskramianie wybryków urzędniczych i podróże lustracyjne hr. Gołuchowskiego po kraju — Rozszerzanie wieści niepokojących o powstaniu i wznowieniu pańszczyzny. — Bernard Meyer o hr. Gołuchowskim. — Podróże hr. Gołuchowskiego do Wiednia i jego praca nad polityczną rehabilitacyą Galicyi w sferach najwyższych.

Przystępując do przedstawienia najtrudniejszej i najprzykrzejszej fazy w działalności hr. Gołuchowskiego, musimy rzecz tę poprzedzić bodaj pobieżnym obrazem sytuacyi kraju i konstellacyi stosunków w pierwszych chwilach reakcyi porewolucyjnej.

Z autentycznych dokumentów, ogłoszonych w dodatku do trzeciego tomu przytoczonego przedtem dzieła hr. Helferta, mianowicie z korespondencyi między ks. Windischgrätzem a faktycznym chociaż jeszcze niewyjawionym w formie urzędowej szefem nowego ministerstwa. ks. Felixem Schwarzenbergiem, wynika, że generał Hammerstein otrzymał sekretne instrukcye z Wiednia, z których, co bardzo wiele znaczy, zadowolony był pogromca rewolucyi wiedeńskiej, wyposażony najwyższa władzą, najrozleglejszem pełnomocnictwem monarszem. że dalej z powodów w nieogłoszonym tajnym memoryale ks. Schwarzenberga wyłuszczonych niemożna było odwołać Zaleskiego równocześnie z wydaniem tych instrukcyi. Dyktatura Hammersteina, którego kondotierska przeszłość uczyniła nieprzystępnym dla wszelkich względów na szlachetniejsze aspiracye narodowe, byłaby i bez takiej instrukcyi straszna. Cóż do-

piero mówić o Hammersteinie z tajnemi instrukcyami, które mogły wzbudzić w nim mniemanie, że, jak to ks. Windischgrätz o sobie myślał, został przez Opatrzność powołany do zbawienia Austryi a przedewszystkiem do takiego utwierdzenia rządów austryackich w Galicyi, aby już nigdy nie mogły się głośniej odezwać patryotyczne aspiracye społeczeństwa polskiego. Jeżeli ks. Windischgrätz mógł bez skrupułów ukarać śmiercią członka frankfurckiego parlamentu, Roberta Bluma, to Hammersteinowi mogło się wydawać, że da dowód wyrozumiałości i łagodności, jeżeli w stanie oblężenia ograniczy się tylko do oddawania „w kamasze", jak wtedy nazywano wzięcie do wojska za karę, gorętszych i wybitniejszych bohaterów ruchu (n. p. Jana Dobrzańskiego). Za to tak samo jak Windischgrätz w Wiedniu był bezwzględnym w zamykaniu wszystkich stowarzyszeń, wydawnictw dziennikarskich i t. p., w rozciąganiu nadzoru policyjno-wojskowego na wszystko i wszystkich, wreszcie w doraźnem tłumieniu wszelkich głośniejszych objawów opinii w ten sposób, że tak ożywiona, nawet burzliwa do niedawna, lwowska widownia publiczna zmieniła się od razu na jedno wielkie cmentarzysko.

Jak dotąd w ruchliwem życiu politycznem Lwów wyprzedzał prowincyę i przodował jej, tak teraz ta ciężka prostracya polityczna, w jaką stolica pogrążona została, udzieliła się natychmiast krajowi. Szlachty niepotrzeba było teroryzować ani kamaszami ani więzieniem, bo w danych stosunkach socyalnych była ona już postawą ludności wiejskiej steroryzowana. Doryweze zniesienie pańszczyzny bez zabezpieczenia indemnizacyi a za stanowczem natomiast orzeczeniem, iż „istniejące służebnictwa pozostają nienaruszone", sprowadziło ciężkie przesilenie w całym trybie gospodarczym. Chłop, wyzwolony z więzów pańszczyźnianych, zażywać zaczął upragnionej od dawna i w mniemaniu swojem od r. 1846 należnej mu swobody gospodarczej w ten sposób, że pracę dla dworów za wygórowanem nawet wynagrodzeniem uważał za łaskę, której często w najpilniejszej potrzebie ze złośliwem zadowoleniem zupełnie odmawiał, a natomiast wziął się do „pańskich lasów" z taką zachłannością bezprawną i poskromić się niedającą, jak gdyby chodziło o generalne stwierdzenie trafności przysłowia: nie będzie nas a będzie las!

Według instrukcyi danych z Wiednia Zaleskiemu i br. Hammersteinowi miała być ruska Rada narodowa i ruskie duchowieństwo uroczyście zobligowane, aby wpływały na lud wiejski w sposób uspokajający. Rząd obawiał się, jak to zaznaczył w ordonansach

ołomunieckich, żeby nie powtórzyły się wypadki z r. 1846. Wystarczyło więc w słusznem zresztą mniemaniu ruskich agitatorów samo wstrzymanie się od zachęty do rabacyi, aby stało się zadość życzeniu rządu i dotrzymane zostało włożone przezeń zobowiązanie. O wstrzymanie jednak propagandy, utwierdzającej chłopa w podejrzliwości wobec dworu, pogłębiającej coraz więcej jego niechęć do szlachty, nie chodziło wcale, bo właśnie wtedy zaczynało się napowrót panowanie tradycyjnej maxymy rządowej: *divide et impera* i to panowanie jeszcze sroższe, niż przed obaleniem Metternicha. W programie bowiem rekonstrukcyi monarchii, po pokonaniu zrewoltowanych Węgrów dokonać się mającej, na pierwszym planie leżało rozćwiartowanie dotąd jedną całość stanowiącego kompleksu krajów korony św. Szczepana na cały szereg okręgów administracyjnych nietylko według licznych narodowości, kraje te zaludniających, lecz także według dowolnych pomysłów podziałowych, w których, jak n. p. co do rdzennego terytoryum madyaryzmu, chodziło przedewszystkiem o dobre nałożenie kleszczów repressyjnych. Zaczęło się przytem systematyczne wydobywanie na wierzch różnych ułamków narodowościowych i ich podjudzanie przeciw madyaryzmowi. Od krwawych starć, formalnej rzezi, na terytoryach zajmowanych przez ludność słowacką, serbską, kroacką, rumuńską i t. d., zaczęła się kampania węgierska z r. 1848/9. Rząd traktował tych domowych wrogów Węgier jako formalnych sprzymierzeńców swoich i w nagrodę za pomoc przyrzekał wszystkim autonomiczną emancypacyę po pokonaniu Węgrów i wcieleniu krajów korony św. Szczepana jako zwyczajnych prowincyi do jednej wielkiej monarchii. W takim składzie rzeczy lwowska Rada ruska wpływowa z dwóch tytułów, najpierw przez koneksye z pobratymcami na Węgrzech a powtóre przez szachowanie polskiego żywiołu w Galicyi, mogła liczyć na daleko idące względy Hammersteina i wcale nie zawiodła się w swoich oczekiwaniach. Jej tylko pozwolił Hammerstein po rozwiązaniu wszystkich innych klubów politycznych wieść dalej żywot agitacyjny z tem jednem tylko zastrzeżeniem, że na posiedzeniach ma być zawsze obecny oficer jako komisarz rządowy. Ośmielona tem wyjątkowem traktowaniem ruska Rada narodowa występowała zaczepnie, w sposób wprost wyzywający, nie oglądając się na nikogo poza Hammersteinem. Hr. Gołuchowskiego, któremu legenda podsuwała „wynalezienie“ Rusinów do spółki z hr. Stadionem, ruska Rada narodowa traktowała jako swojego wroga, stawiając mu w kraju na każdym kroku trudności, przyskarżając go nieustannie przed ministerstwem. Twier-

dzenie to w tej ogólnikowej formie wydać się może przesadnem. W dalszym ciągu opowiadania przyjdzie jednak kolej na fakta autentyczne, popierające to zdanie, a w osobnym rozdziale, który genezie i ówczesnemu stanowi kwestyi ruskiej w Galicyi poświęcić wypadnie, czytelnik znajdzie dowody niezbite na to, że walka z ruską Radą narodową, jej późniejszymi epigonami i jej dążnościami politycznemi, należała do najcięższych trudności, z jakiemi hr. Gołuchowski spotkał się zaraz w pierwszych chwilach rządów swoich.

Objąwszy władzę naczelną w administracyi kraju, hr. Gołuchowski dążył głównie do stłumienia tej anarchii społecznej, jaką wytworzyła dawna biurokracya, podburzając włościan przeciw dworom, i do zrehabilitowania administracyi, którą za rządów tej biurokracyi społeczeństwo polskie uważać mogło za synonim dowolności. Dążność tę odgadnąć można było z tego, cośmy w pierwszym rozdziale przytoczyli z referatu hr. Gołuchowskiego o zniesieniu pańszczyzny. Jak trudnym, niemal niewykonalnym wydawać się mógł ten program hr. Gołuchowskiego w pierwszej chwili, gdy jako następca Zaleskiego stanął obok wszechwładnego reprezentanta systemu wojskowego, generała br. Hammersteina, to po tem wszystkiem, cośmy powyżej przedstawili, nie wymaga już właściwie bliższego objaśniania. Przecież instrukcye wydane br. Hammersteinowi wyraźnie zalecały zaszachowanie szlachty przez chłopów z tem tylko zastrzeżeniem, żeby nie sprowokowano takiej rzezi jak w r. 1846. Rehabilitacya administracyi zaś z zarzutu dowolności dotąd wydawała się niepodobieństwem, dopóki br. Hammerstein w całej pełni dzierżył władzę, nadaną mu owemi instrukcyami. Wszakże charakterystykę ich stanowiło właśnie formalne ulegalizowanie dowolności i to dowolności najgorszej, bo zależnej od kaprysów żołnierskich. Poprawy stosunków pod tym względem *via facti*, za pomocą łagodnego wykonywania lub zgoła omijania bezwzględnych roszczeń władzy wojskowej, można było oczekiwać tylko w takim razie, gdyby sztab urzędniczy, otaczający wówczas hr. Gołuchowskiego, był mu oddany i jednolity w przestrzeganiu intencyi przez szefa objawionych. Tymczasem i pod tym względem sytuacya była niemal rozpaczliwa. Urzędy zapełnione były samemi żywiołami starej szkoły biurokratycznej, wrogiemi krajowi, jakby stworzonemi do działania właśnie w duchu dyktatury br. Hammersteina. Niższe figury ówczesnego świata urzędniczego, po największej części indywidua żądne karyery i gotowe do okupienia jej usługami najniegodziwszemi ze stanowiska dobra kraju i interesów

jego społeczeństwa, oglądały się na br. Hammersteina i jego intencye, bo jeżeli w Austryi zawsze wysługiwanie się wojskowości bywa utartą drogą do karyery, to wtedy najlepsza do tego nadarzała się sposobność. Wyższe figury zaś, pominięci przez hr. Gołuchowskiego w awansie radcy dworu i starsi radcy gubernialni nie mogli — biorąc rzecz po ludzku — patrzeć na takie nagłe wywyższenie młodszego kolegi ani życzliwie ani nawet obojętnie. Z bardzo nielicznemi wyjątkami posiadał pewnie hr. Gołuchowski w tem najbliższem otoczeniu swojem nie współpracowników, chętnych i oddanych obowiązkom służby w jednej z nim myśli i jednej intencyi, lecz towarzyszy, patrzących z ukosa lub nawet wyczekujących z upragnieniem tego, żeby szef taki jaknajprędzej stał się niemożliwym. A że po tem, cośmy powyżej powiedzieli o obowiązkowości i ścisłości hr. Gołuchowskiego, pewnie nie starał się on osobiście rozbrajać malkontentów tego rodzaju i nie robił w tym celu żadnych ustępstw ze szkodą dla rygoru, ścisłości, w ogóle dla wymagań sprężystego toku czynności, o tem chyba już niepotrzeba osobno wspominać. Kilka lat musiał hr. Gołuchowski pracować w takiem niechętnem sobie otoczeniu, bo dopiero przy reorganizacyi władz nadarzyła się mu sposobność do pozbycia się najgorszych żywiołów.

Dopóki hr. Stadion, ceniący hr. Gołuchowskiego jako znakomitość w zawodzie administracyjnym, zajmował silne stanowisko w gabinecie Felixa ks. Schwarzenberga jako minister spraw wewnętrznych, układający główne projekty ustawodawcze (ustawę gminną, nową konstytucyę i t. d.), sytuacya nowego szefa kraju w Galicyi mogłaby była zmienić się na lepsze. Mógł bowiem hr. Gołuchowski liczyć na to, że hr. Stadion nietylko nie stanie w poprzek jego wnioskom, zmierzającym ku lepszemu zorganizowaniu sztabu urzędniczego, lecz nawet poprze go swoją powagą w razie kollizyi z wszechwładnym br. Hammersteinem. Ale hr. Stadion już z początkiem r. 1849 był ze swojemi liberalnemi poglądami izolowany i coraz więcej ściągał na siebie nieufność ks. Windischgrätza, roszczącego sobie pełnomocnictwo nieograniczone nietylko w operacyach wojskowych, lecz także w całej nowej organizacyi państwa i to tak dalece, że wymagał od ministerstwa, aby się przed nim z każdego ważniejszego kroku formalnie opowiadało. Hr. Stadion byłby się wkrótce znalazł w konieczności złożenia teki, gdyby nieuleczalna choroba mózgowa nie była położyła kresu jego działalności publicznej. Po usunięciu się hr. Stadiona zeszła na widnokręgu politycznym gwiazda Bacha, który już zasiadał w gabinecie

ks. Schwarzenberga jako minister sprawiedliwości a teraz objął tekę spraw wewnętrznych.

Tymczasem punkt ciężkości całej sytuacyi przeniósł się do Węgier, gdzie fatalny dla Austryi przebieg kampanii wywołał potrzebę interwencyi tego, który od dawna rwał się już do roli pogromcy ruchu rewolucyjnego w całej Europie, interwencyę cara Mikołaja I. Wskutek tego Galicya miała się stać głównym szlakiem dla pochodu sprzymierzonych wojsk rossyjskich a na szefa kraju spadło ciężkie i pełne odpowiedzialności zadanie. Niechby w przemarszu wojsk rossyjskich zaszła jakakolwiek trudność, wpływająca na opóźnienie operacyi, nikt inny tylko on byłby kozłem ofiarnym, na którego świat całą zwaliłby winę. Hr. Gołuchowski wywiązał się jednak z tego zadania tak, że w sferach najwyższych utwierdził wyrobioną mu już przez hr. Stadiona opinię dzielnego administratora a w swojem sumieniu obywatelskiem mógł przytem zachować przeświadczenie, że powodzenie swoje nietylko nie okupił bezwzględnością wobec interesów kraju, lecz przeciwnie z wszelką możliwą troskliwością o te interesa.

W zadaniu tem obejmującem mnóstwo zarządzeń administracyjnych, tyczących się kommunikacyi, kwaterunku, zaprowiantowania wojsk itd., hr. Gołuchowski nie mógł poprzestawać na pisemnych rozkazach i pisanych raportach, bo wśród tak nadzwyczajnych okoliczności ślimaczy tok spraw na torach biurokratycznych mógł sprowadzić nieobliczone szkody. Hr. Gołuchowski był wtedy — możnaby powiedzieć — ciągle w drodze między Namiestnictwem a powiatami na linii wojennej, aby wszystko oglądnąć, wszystkiego dopilnować.

Najwięcej trudności sprawiało zebranie tak znacznych zapasów żywności i paszy, aby armia 200.000 ludzi wynosząca była dostatecznie zaopatrzona w czasie kilku tygodni trwającego przemarszu i rozporządzała nadto w Galicyi i na Bukowinie obfitemi magazynami rezerwowemi, z których na każde zawołanie mogłaby w czasie kampanii ściągać potrzebne artykuły. Ceny poszczególnych artykułów wzrosły wtedy 3—5 krotnie a spekulacya, nie znająca granic zysku, korzystała z tej sytuacyi w sposób bardzo dotkliwy dla konsumcyi. Wśród takich stosunków bardzo wiele zależało na dobrych zbiorach a pod tym właśnie względem zachodziły poważne obawy. Ludność włościańska bowiem, już z natury swojej nieskora do pracy zarobkowej po za sferą własnego gospodarstwa a do tego za wpływem tradycyi pańszczyźnianej i rozwiniętej na tem tle propagandy rozstrojowej niechętna dworom nawet

tam, gdzie własny jej interes na pierwszy plan występował, albo wprost odmawiała szlachcie sił roboczych, albo dyktowała za nie ceny niezmiernie wygórowane. Na domiar złego sił tych było w ogóle za mało w stosunku do potrzeb, gdyż właśnie najlepsze siły pochłonął szczególnie wydatny w tym ciężkim roku pobór wojskowy a samo transportowanie żywności i paszy dla armii rossyjskiej trzymało znaczną część ludności męzkiej po za wsią po kilka dni w tygodniu. W takim składzie rzeczy zachodziła obawa, że nawet mimo gotowości dworów do przyznawania wygórowanej zapłaty brak robotnika, spowodowany lenistwem i oporem niechętnych włościan, uniemożliwi należyte zebranie plonu. Była to chwila, w której od szybkiej, stanowczej a trafnej decyzyi osobistej wszystko zależało, gdyż szlachta i władze popadły w bezradność wobec sytuacyi bez wyjścia. Decyzya ta zapadła ze strony hr. Gołuchowskiego w formie rozpowszechnionej za pośrednictwem władz, duchowieństwa i drukiem po całym kraju odezwy do ludności wiejskiej. Z gorącą zachętą do dostarczania potrzebnych sił roboczych za żądanem wynagrodzeniem, więc w własnym interesie, łączyła się w tej odezwie stanowczo i dobitnie wypowiedziana groźba, że w danym razie władza wystąpi z przymusem wobec opornej ludności. Forma i rodzaj przymusu były nieokreślone, bo ściśle rzecz biorąc prawnie określić się nie dawały. Ale hr. Gołuchowski wiedział to dobrze, że sama groźba władzy wystarczy dla leniwego chłopa, ażeby go nakłonić do zarobku. Nie zawiódł się w tem oczekiwaniu. Groźba niezdefiniowana ale stanowczo wypowiedziana podziałała jaknajlepiej a hr. Gołuchowski już w krótkim czasie na szeregu przykładów przekonał się, że wybrał trafny środek i że za jego pomocą cel zostanie osiągnięty. Za to jednak Rada ruska oskarżyła go potem przed Bachem, że teroryzuje ludność wspomnieniami pańszczyźnianemi. Do tej sprawy jeszcze wrócić nam wypadnie z powodu jej politycznej strony. Tutaj zaznaczamy tylko, że Bach zażądał wyjaśnień w sposób, z którego widocznie przebijała chęć dania Radzie ruskiej satysfakcyi, ale energiczna odpowiedź hr. Gołuchowskiego, streszczająca się w tem, że tak postąpić musiał wśród niezwykłych trudności i w poczuciu swojej odpowiedzialności, położyła, na razie przynajmniej, kres dalszym wyjaśnieniom.

Kiedy hr. Gołuchowski mógł mniemać, że wyszedłszy zwycięzko z trudności, wywołanych przemarszem wojsk rossyjskich, teraz już będzie swobodniejszy w swojem działaniu, zbierała się właśnie ciężka burza, zbliżała się chwila, w której wypadło mu

zmierzyć się po raz pierwszy niejako oko w oko z br. Hammersteinem i Bachem.

Jeżeli Wessenberg jako minister-prezydent tak już wyniósł generała Hammersteina, że, jak widzieliśmy w reskryptach na początku tego rozdziału przytoczonych, niejako postawił go po nad gubernatora Wacława Zaleskiego, to czegoż dopiero nie wypadało oczekiwać po Bachu w chwili, gdy generał ten, spełniwszy ściśle instrukcye wszechwładnego ks. Windischgrätza, zaskarbił sobie jego zaufanie i uznanie głośno wypowiadane! A nadto cała sytuacya uprawniała niejako Bacha do zaostrzenia rygoru rządów wojskowych. To też w pierwszych dniach czerwca 1849 r. wystosował on na razie do samego tylko generała Hammersteina następujący reskrypt albo raczej następujące pełnomocnictwo:

„Wewnętrzne położenie Galicyi w związku z komplikacyą na Węgrzech, bliską już przesilenia, przybiera tak niebezpieczny i poważny charakter, że pochłania uwagę rządu w najwyższym stopniu i wkłada nań obowiązek niepomijania żadnego środka czujności i nacisku, aby z grożącemi ztamtąd niebezpieczeństwami w porę można było się zmierzyć. Wasza Exc. zna to położenie tak dobrze, jak najwyższa władza państwowa w Wiedniu a prawdopodobnie nawet lepiej od niej. Niepotrzebuję zatem W. Exc. szeroko przedstawiać, że Galicya w niższych warstwach społecznych posiada ludność szczepu wiernego i rządowi oddanego, w średnich zaś a szczególnie w wyższych klasach liczy wielu zwolenników europejskiego stronnictwa przewrotu, między nimi wielu zdecydowanych, możnaby nawet powiedzieć desperackich charakterów, że dalej panujące w tych klasach wzburzenie podsycane jest zewsząd przez licznych rossyjsko-polskich wychodźców, którym Austrya w ludzki ale źle odpłacony sposób użyczyła schroniska, że wreszcie węgierscy emissaryusze i węgierskie pieniądze dążą nieprzerwanie do podminowania gruntu we wszystkich częściach Galicyi, że — jednem słowem — czynniki te nie zaniedbują żadnej sposobności do założenia miny, która miałaby na tyłach armii rossyjskiej, szczególnie w razie częściowej klęski jej oddziałów, wybuchnąć i wszystko dokoła gruzami zasypać. Jestto rzecz naturalna, że ten niebezpieczny stan w Galicyi niepokoi Cesarza rossyjskiego, którego wierne wojska mają w Węgrzech rozpocząć walkę o prawo i porządek, jestto, powtarzam, rzecz naturalna, że Cesarz rossyjski zaniepokojony tym stanem rzeczy stawia wobec nas słuszne żądanie, aby ze strony rządu ile możności postarano się o dostateczne zabezpieczenie tyłów jego armii. Na W. Exc. jako na dowódzcy

wojsk w tem, legalnie w stanie wojennym znajdującem się. Królestwie ciąży obowiązek postarania się o takie zabezpieczenie w najpełniejszej mierze a z drugiej strony właśnie ów stan wojenny i wypływające zeń atrybucye rządowe dostarczają W. Exc. wszelkich środków do osiągnięcia celu. W. Exc. otrzymuje zatem niniejszem wskutek najwyższego rozkazu od rady ministrów specyalne upoważnienie i polecenie, aby: 1° wszystkich rossyjskich i polskich poddanych, co do których zachodzą podejrzenia politycznej natury, bez dalszego dochodzenia kazał aresztować i podczas trwania obecnego przesilenia przytrzymał w sposób zabezpieczający przed ucieczką; 2° takich poddanych rossyjskich i polskich, których wydania zażądanoby ze strony Rossyi na podstawie traktatu wydawał władzom rossyjskim w tym celu wskazanym; 3° w wypadkach, w których do wykonania takich zarządzeń w poszczególnych miejscowościach własne środki administracyjne i wojskowe okazałyby się niedostatecznemi, zawezwał cesarsko-rossyjskie wojsko do pomocy; 4° w ogóle podwoił czujność i surowość w tym celu, ażeby wszelkie podburzanie w prowincyi, pochodzące od własnych lub obcych poddanych, zostało poskromione, winnych zbrodni tego rodzaju uczyniono nieszkodliwymi przez przykładne ukaranie a wiernych poddanych cesarza zabezpieczono przed nieszczęsnemi następstwami chybionych spisków."

Reskrypt ten, wydany po za plecyma szefa kraju, musiał być skrycie przez generała Hammersteina wywołany. Wielkorządcy wojskowemu zależało bowiem bardzo na tem, aby jaknajwięcej wojska z Galicyi wysłać do Węgier, gdzie kampanię rozpoczęto wcale niedostatecznemi siłami. Br. Helfert w dziele swojem o r. 1848 wynosi pod tym względem generała Hammersteina jako wzór niedościgniony a ponieważ autor ten rozporządzał całem archiwum domowem ks. Windischgrätzów, więc zapewne ztamtąd mianowicie z tajnych raportów br. Hammersteina i pochwalnych listów ks. Alfreda Windischgrätza czerpał swoje informacye. W skutek znacznego osłabienia załóg galicyjskich wypadło pomyśleć o zabezpieczeniu tyłów armii rossyjskiej w inny sposób. I pod tym względem br. Helfert daje autentyczne wyjaśnienie, nadmieniając, że generał Hammerstein liczył na pomoc wojska rossyjskiego. Br. Helfert mówi o tem wszystkiem tak spokojnie, jakgdyby to nie uchybiało Austryi, że rząd jej obcemu mocarstwu pozwalał wyręczać się w pełnieniu funkcyi policyjnych, że zatem poniżył mocarstwowe stanowisko Austryi tak, jakgdyby ona spadła do roli ówczesnych księstw naddunajskich, otwartych na oścież gospodarce

rossyjskiej. Hr. Gołuchowskiemu przypomniał się może bliższy przykład analogiczny, nieszczęsne czasy przedrozbiorowe w Polsce, kiedy to w podobny sposób rossyjscy generałowie i dyplomaci rozgospodarowali się w upadającem już państwie. Analogia ta narzucać się musiała hr. Gołuchowskiemu zwłaszcza wtedy, kiedy nie wiedząc nic o tych zarządzeniach Bacha bawił jako szef kraju w Żmigrodzie, gdzie car Mikołaj I. oglądał i żegnał wojska swoje do Węgier idące. Tam na audyencyi pożegnalnej u cara usłyszał hr. Gołuchowski z ust jego allnzye o wchodzącej w życie dyktaturze rossyjsko-Hammersteinowskiej mniej więcej w tych słowach: Oczyszczeniem kraju z żywiołów porządek zakłócających zajmie się już sam generał Hammerstein! Gdy dotknięty przebiegiem tej audyencyi i w ogóle przyjęciem u cara Mikołaja I.[1]) hr. Gołuchowski powrócił do Lwowa, miał już w aresztowaniach, dokonanych bez jego wiedzy i to przy rossyjskiej interwencyi wojskowej, fakta pozytywne, usprawiedliwiające najprzykrzejsze przypuszczenia. Największą sensacyę wywołało aresztowanie generała Józefa hr. Załuskiego. Poczucie osobistej godności, draśnięte widocznie już na audyencyi u cara Mikołaja I., łączyło się ze świadomością, że chodzi tutaj także o zagrożone interesa moralne kraju i państwa, o powagę władzy krajowej, którą sam reprezentował, i o powagę państwa, o której nie pamiętano w Wiedniu w chwili wzywania pomocy wojskowej przeciw Węgrom. Nadeszła zatem chwila i sytuacya, w której hr. Gołuchowskiemu zmysł polityczny i rozum stanu kazały postawić kwestyę na ostrzu i zmierzyć się z potęgą dyktatury wojskowej generała Hammersteina, aby albo ocalić okrojoną już przez sam fakt stanu wojennego władzę swoją, albo paść z honorem. Postawił tedy hr. Gołuchowski wprost kwestyę gabinetową pismem do ministra Bacha z 22. czerwca 1849 r., trzymanem w tonie stanowczym i energicznym. Oto dosłowny przekład tego pisma:

---

[1]) Z opowiadań osób wtajemniczonych w ówczesne wypadki i stosunki hr. Gołuchowskiego wiadomo autorowi, że car Mikołaj I. miał jeszcze powód osobisty do niechęci lub co najmniej oziębłości do szefa Galicyi. Kiedy bowiem na jednym z obiadów dworskich car Mikołaj I. odezwał się o generale Skrzyneckim niechętnie jako o zdrajcy, hr. Gołuchowski nie zawahał się zasłonić go temi słowy: Najj. Panie, z generałem Skrzyneckim łączą mię węzły pokrewieństwa! Car umilkł na te słowa, ale w następnych zaproszeniach na obiady t. j. przy wyznaczaniu miejsc przy stole dał hr. Gołuchowskiemu uczuć swoje niezadowolenie.

„Kiedy 17. czerwca 1849 r. po raz ostatni stanąłem w Żmigrodzie przed Najjaśn. Cesarzem rossyjskim, raczył tenże nadmienić, że generał komenderujący br. Hammerstein otrzymał jaknajrozleglejsze pełnomocnictwo co do oczyszczenia kraju z żywiołów porządek zakłócających. Oznajmienie to zdziwiło mię bardzo, gdyż zgoła nic o tem nie wiedziałem a p. generał komenderujący, jakkolwiek obecny w Żmigrodzie, nic mi o tem nie wspomniał i do tej chwili unika wszelkiej sposobności, przy której w rozmowie ze mną chociażby słówkiem mógł dotknąć tej sprawy. Po powrocie do Lwowa dowiedziałem się z pisma prezydyum generalnej komendy, że wskutek polecenia Cesarza rossyjskiego i reklamacyi ks. Paskiewicza komenda ta zarządziła przez komendę miasta Krakowa aresztowanie Moszyńskiego, który przed laty za polityczne przestępstwa przebywał w zakładzie karnym na Uralu a obecnie zajmować się ma zbieraniem zapomóg pieniężnych dla polskiej emigracyi. Dalej dowiedziałem się z relacyi starosty tarnowskiego, że wskutek podobnego polecenia na rozkaz generała komenderującego w Siedliszowicach został przez c. k. wojsko przy interwencyi rossyjskiego oficera oraz urzędnika kameralnego uwięziony i do twierdzy Zamościa w Królestwie Polskiem wywieziony Józef hr. Załuski, starzec przeszło 60-letni, który posiada obywatelstwo austryackie, nie wdawał się, ile mi wiadomo, w żadne knowania a natomiast na kilkakrotną wyraźną prośbę J. Exc. hr. Stadiona objął w kwietniu z. r. komendę gwardyi narodowej we Lwowie i złożył ją w sierpniu z. r. z własnego popędu, aby usunąć się do majątku swojego. Hr. Załuski napisał do mnie z Rzeszowa list, który w załączeniu przedkładam W. Exc. Nieznając ani właściwego przebiegu ani powodu powyższych do mojej wiadomości podanych faktów, które według mojego przypuszczenia opierać się musiały na powyżej wspomnianych instrukcyach, zamierzałem właśnie co do ich treści zasięgnąć informacyi u Wys. Ministerstwa spraw wewnętrznych, kiedy tymczasem radca kameralny Weiss [1]) przyniósł mi pismo W. Exc. z kopią pisma wystosowanego do br. Hammersteina a zawierającego potrzebne mi informacye. (Następuje cytat całej powyżej podanej instrukcyi) . . . Według dalszego brzmienia tego pisma zostało ono jedynie do br. Hammersteina z tego powodu wystosowane, że kraj znajduje się w stanie wojennym a na br.

[1]) W aktach niema wyjaśnienia powodu, dla którego pismo ministeryalne doręczone zostało hr. Gołuchowskiemu tą w każdym razie niezwykłą drogą.

Hammersteinie jako na komendancie wojsk w kraju cięży obowiązek dażenia do wytkniętego celu wszelkiemi z mocy stanu wojennego służącemi mu atrybucyami rządowemi. Dotąd zarządzenia, zmierzające do utrzymania spokoju, porządku i bezpieczeństwa w kraju, wydawały i przeprowadzały obie władze krajowe w najściślejszem porozumieniu. Wydalenie polskich wychodzców i innych obcych żywiołów przeprowadzało prezydyum krajowe a generał komenderujący otrzymywał odnośne referaty do przejrzenia. Że postępowałem przytem, mając głównie interesa kraju na oku, z wszelką energią i nie powodując się niewczesnemi względami, o tem wiadomo Wys. Ministerstwu z moich poprzednich relacyi, stanowiących dowód, że nie kierowałem się takiemi względami nawet wtedy, gdy samo Wys. Ministerstwo zdawało się skłaniać do pewnej powolności. Faktycznie przebywają w kraju tylko tacy wychodźcy, którzy albo od kilku lat posiadają specyalne pozwolenie na pobyt w kraju a obecnie otrzymali nowe karty pobytu, albo dopiero w roku ubiegłym przybyli do kraju i na podstawie zapewnionego utrzymania, spokojnego zachowania się i kaucyi 1000 złr. m. k. w gotówce złożonej uzyskali pozwolenie na pobyt stosownie do poleceń ministeryalnych. Że przy wystawianiu kart pobytu a nawet przeciw osobom, posiadającym już takie karty, postępowano z wszelką surowością, na to dowodem ta okoliczność, że nawet osoby, na mocy dawniejszych zezwoleń od lat już osiadłe i pożytecznie zatrudnione, oraz osoby, które świeżo uzyskały karty pobytu, zostały bezwzględnie uznane za pozbawione tych kart i z kraju wydalone, skoro tylko ich zachowanie się nie odpowiadało wymaganiom, jakie wśród dzisiejszych stosunków politycznych słusznie wobec nich mogły być stawiane. Pojmuję dobrze nieodzowną konieczność, żeby tyły armii ces. rossyjskiej, jeżeli ona ma na Węgrzech z powodzeniem operować, były zupełnie zabezpieczone przed wszelkiem niebezpieczeństwem niepokojów. I to także jasnem jest, że rząd ces. austryacki w dzisiejszych stosunkach okazuje się wobec rządu rossyjskiego skłonnym do niejednego ustępstwa, które w innych czasach nie byłoby przyznane. Jednakże w razie niezmiennego utrzymania w mocy i jaknajkonsekwentniejszego przeprowadzenia powyżej przytoczonych postanowień ucierpiałby nasz rząd — muszę to otwarcie wyznać — na uczciwości i godności *(Redlichkeit und Würde)*, więc na zaletach, które go zawsze i wśród wszelkich stosunków zdobiły a które świat zawsze mu przyznawał, kiedy tymczasem ta ujma mogłaby być ominięta a cel zostałby mimo to osiągnięty. W kraju przebywają osoby, które niegdyś były podda-

nymi rossyjskimi i wskutek nieszczęsnych zaburzeń ojczyznę opuściły a którym nadano bądź to specyalne pozwolenia na pobyt, bądź to nawet obywatelstwo austryackie. Osoby te wskutek tego już od lat przebywają spokojnie w kraju. Wobec obu tych kategoryi osób ma rząd obowiązki, mianowicie obowiązek ochrony wolności osobistej. Nikogo z obu tych kategoryi rząd nie mógłby osłonić, lecz wszyscy byliby zdani na łaskę dowolności, od której byłoby zależnem, czy kto ma być uwięziony i trzymany w więzieniu w kraju lub w pewnej miejscowości Rossyi, czy wreszcie ma być formalnie Rossyi wydany. Sposób wykonania takich zarządzeń, które nastepowałyby teraz niezależnie od politycznej władzy krajowej, nie daje zgoła żadnej rękojmi, że wszystko dokona się bez wszelkich uprzedzeń, bez powziętego z góry postanowienia i bez wszelkiej namiętności. Władza polityczna, której należy się co najmniej takie same znaczenie, jak wojskowej władzy krajowej, zostanie w sprawach wchodzących w właściwy jej zakres zupełnie pominięta a nawet wystawiona na samowolne kompromitowanie ze strony władzy wojskowej, gdyż od ostatniej zależeć będzie odbieranie kart pobytu, nawet za zgodą komenderującego generała wydanych. Wskutek takiego postępowania prezydyum krajowe stanęłoby wobec kraju w fałszywem świetle, którego reflex na cały rząd musiałby być najniepomyślniejszy. Prezydyum krajowe bowiem, działając tylko w wykonywaniu wyższych rozkazów, ściągnęłoby na siebie podejrzenie, że nadużyło zaufania w tym celu, aby z tym pewniejszym skutkiem wymierzyć cios zgubny. Emigracya pozostawiona w kraju za zezwoleniem rządu w regule składa się z osób, które z biegiem czasu ochłonęły i orzeźwiwszy się stoją zdala od dalszych działań politycznych. Jeżeli rząd pod naciskiem okoliczności danej chwili nie jest już w stanie dotrzymywać dłużej przyrzeczenia tym osobom danego, to należało raczej każdemu to otwarcie i bez ogródek powiedzieć oraz stanowczo zarządzić skonfinowanie każdego w innej prowincyi, lub nawet stosownie do zachodzących okoliczności zupełne wydalenie z monarchii. Niewątpliwie każdy byłby się pogodził ze swoim losem chętnie i bez oporu, gdyż każdy zrozumiałby to dobrze, że w stosunkach danej chwili pewne zarządzenia okazać się mogą nieodzownemi. Prezydyum krajowe byłoby przestrzegało takiego postępowania a skutek byłby osiągnięty bez ujmy dla godności i prawości rządu. Czas jeszcze opinię tę w części ocalić. Uważam przeto za mój obowiązek otwarcie przedstawić moje zapatrywania i odwołać się do potężnego wpływu Waszej Excellencyi w tym

celu, aby wybrana została droga przezemnie wskazana i aby wykonanie powyższych ciężkich wprawdzie ale nieodzownych zarządzeń poruczone zostało władzom politycznym, które jak dotąd tak i nadal działałyby zawsze w najściślejszem porozumieniu z p. komenderującym generałem. Całe życie moje służyłem cesarskiemu rządowi z najszczerszą uległością, wszędzie starałem się w miarę sił bronić i przestrzegać interesów, powagi i godności rządu, co też rzeczywiście powiodło mi się wobec nieuprzedzonych i otwartych obywateli, chociażby oni z sympatyami nie zwracali się ku rządowi austryackiemu. Mniemam, że dotąd nie dałem żadnego powodu do jakiegokolwiek powątpiewania o moich szczerych i uczciwych zasadach a wytrwanie w nich do końca jest mojem najsilniejszem postanowieniem. Jednakże muszę przytem otwarcie wyznać, że w razie, gdyby postanowienia zawarte w piśmie do p. komenderującego generała miały być niezmiennie utrzymane w mocy, nie mógłbym już dłużej z godnością pozostawać na czele tej prowincyi i musiałbym prosić o dymissyę z mojego stanowiska urzędowego.“

Gdyby z owych czasów smutnych ten jeden tylko dokument pozostał był dla historyka, już ztąd mógłby on tak samo, jak anatom z odgrzebanej kości zwierzęcia przedpotopowego układa cały szkielet, odtworzyć obraz a przynajmniej główne rysy obrazu ówczesnej sytuacyi. Narzucają się bowiem niejako same następujące rysy charakterystyczne: po pierwsze anarchiczny system rządzenia, w którym naczelna władza krajowa poddana zostaje niejako pod komendę naczelnika siły zbrojnej, powtóre nielojalność osobista albo raczej konspiratorska skrytość tego naczelnika, który nawet w poufnej rozmowie z szefem kraju nie zdradza się ze swojemi wyjątkowemi atrybucyami, po trzecie brutalizm ówczesnej dyktatury wojskowej, po której dowolności szef kraju obawia się wprost kompromitacyi władzy cywilnej i rządu, po czwarte nizki poziom rozumu stanu u góry, gdzie początkowo nie raziło tak widoczne poniżenie godności państwa, jakiem było oddanie Galicyi pod policyjny protektorat cara Mikołaja I., po piąte wreszcie wyższość hr. Gołuchowskiego w ówczesnym świecie urzędowym monarchii, wyższość polityczna, objawiona w tem tak stanowczem ujęciu się za powagą i honorem państwa, i wyższość moralna oparta na świadomości lojalnego spełniania obowiązków, więc umożliwiająca postawienie kwestyi gabinetowej. Żeby ten konflikt skończyć się mógł dymissyą br. Hammersteina, o tem hr. Gołuchowski nawet myśleć nie mógł. Samo wydobycie się z pod jego komendy, samo uznanie

równorzędności szefa kraju z generałem komederującym było w ówczesnym składzie rzeczy już wielkim tryumfem.

Stawiając kwestyę gabinetową, hr. Gołuchowski działał nie *ab irato*, lecz z męzką determinacyą. To też przerzuciwszy się raz w rolę zaczepną, idzie dalej w tym kierunku i pisze w cztery dni później (26. czerwca 1848 r.) do ministra Bacha:

„Dokonane na rozkaz Cesarza rossyjskiego przez samą tylko władzę wojskową przy interwencyi rossyjskiego oficera uwięzienie i wywiezienie do Zamościa byłego generała polskiego Józefa hr. Załuskiego wywołało w kraju wielką sensacyę. Opinia podnosi słabość rządu i mniema, że Galicya odtąd pozostawać może będzie podobnie jak Mołdawia i Wołoszczyzna pod protektoratem rossyjskim a rząd austryacki może już nigdy nie odzyska dawnej niezależności w tym kraju. Wskutek tego mieszkańcy kraju w wielkiej liczbie czują się zagrożeni w swojej wolności osobistej, uważają się za oddanych obcej samowoli i nie oczekują żadnej opieki od własnego rządu. W tem położeniu znajdują się szczególnie wszyscy, którzy dawniej zostawali w stosunkach z rządem rossyjskim a później zostali obywatelami austryackimi. Celem uniknięcia nieprzyjemności i zawikłań, osoby tej kategoryi starają się kraj opuścić i schronić za granicę lub w innej prowincyi monarchii. W tym ostatnim wypadku jednak osoby te zawsze jeszcze byłyby przejęte obawą, czy także w innych prowincyach nie będzie do nich zastosowane takie samo postępowanie. Proszą tedy o wydanie paszportów, których żadną miarą odmawiać im nie mogę. Książę Leon Sapieha otrzymał już paszport do Anglii a były komendant gwardyi narodowej we Lwowie, c. k. generał-major *ad honores* Roman Wybranowski, do Marienbadu; pierwszy wyjechał już z jaknajwiększym pospiechem a drugi także niezwłocznie odjedzie. Książę Adam Lubomirski prosił o wydanie paszportu do Niemiec. Ponieważ jego zachowanie się w r. z. nie było całkiem legalne, przeto wystawiłem mu paszport do dolnej Austryi.“

Najbliższem następstwem energicznego wystąpienia hr. Gołuchowskiego w sprawie wywiezienia hr. Załuskiego było udzielenie się sensacyi nawet Wiedniowi. W usłużnej dla rządu prasie ówczesnej próbowano uspokoić opinię twierdzeniem, że hr. Załuski nie jest poddanym austryackim, lecz rossyjskim. Ze stanowiska zajętego przez hr. Gołuchowskiego, ze stanowiska powagi i godności państwa, szczegół powyższy był właściwie pozbawiony znaczenia, bo państwo niezależne nigdy nie powinno zezwalać na to, żeby na jego terytoryum obcy rząd chociażby co do swoich własnych

poddanych wykonywał akta władzy państwowej. Dla Bacha jednak szczegół ten był pożądanym pretextem, aby na energiczną reklamacyę hr. Gołuchowskiego odpowiedzieć na razie przynajmniej w sposób wymijający, albo raczej obliczony na takie przewlekanie sprawy, aby zatarło się pierwsze wrażenie faktu a zarazem uśmierzył się dymissyjny impet hr. Gołuchowskiego. Ale ten nie dał się zepchnąć ze swojego silnego stanowiska, nietylko nie przyłożył ręki do zamierzonego zabagnienia sprawy, lecz przeciwnie zaraz nazajutrz po otrzymaniu wymijającego pisma albo raczej listu prywatnego od ministra Bacha odpowiedział nań urzędową relacyą, która stanowczą obroną obywatelstwa austryackiego i w ogóle praw hr. Załuskiego tak pokrzyżowała zamiary Bacha i tak w ogóle odbija od zwykłych w sprawach tego rodzaju kruczków biurokratycznych, że godzi się ją tutaj w całości przytoczyć:

„Hr. Józef Załuski — pisze hr. Gołuchowski 5. lipca 1849 r. do ministra Bacha — syn zmarłego c. k. tajnego radcy, podkomorzego i kuchmistrza koronnego, Teofila hr. Załuskiego, urodzony w Ojcowie (położonym w dawnej Galicyi a obecnie należącym do Królestwa Polskiego) w r. 1787, wychowywany był w c. k. terezyańskiej akademii szlacheckiej, udał się w r. 1807 nielegalnie do ówczesnego Xięstwa Warszawskiego, wstąpił tam do służby wojskowej, był żołnierzem francuskim, od utworzenia Królestwa Polskiego zostawał zawsze w polsko-rossyjskiej służbie a przed wybuchem powstania polskiego w listopadzie 1830 r. ustanowiony został za zgodą trzech mocarstw opiekuńczych kuratorem uniwersytetu w Krakowie, gdzie też zamieszkał. Zaraz po wybuchu powstania polskiego oświadczył się za sprawą narodową, pospieszył do Polski, gdzie przebywał dłuższy czas bez funkcyi a w końcu został szefem polskiego biura informacyjnego i w tym charakterze oddał komendantom ważne usługi swoją bystrością i trafnemi pomysłami kombinacyjnemi. Po upadku powstania Józef hr. Załuski udał się z korpusem Rybińskiego i w listopadzie 1831 r. przybył za pasportem pruskim do Galicyi, gdzie oprócz jego ojca, zmarłego w r. 1831, stale przebywał także teść jego, hr. Przerębski. W drodze kupna nabył J. hr. Załuski dobra Jasienica (w obwodzie sanockim), które przedtem jego ojciec posiadał i opierając się na posiadaniu dóbr a przedewszystkiem na swojem pochodzeniu od poddanego austryackiego, wniósł prośbę o uznanie obywatelstwa państwowego. W traktowaniu tej sprawy rozstrzygającym szczegółem było nie posiadanie dóbr w Galicyi, lecz właśnie to pochodzenie w połączeniu z dalszą okolicznością, że przeciw J. hr. Za-

skiemu nie wdrożono postępowania emigracyjnego z powodu samowolnego wydalenia się z kraju. Uchwałą gubernium z 15. stycznia 1833 r. został zatem J. hr. Załuski uznany za obywatela austryackiego a uchwałę tę zatwierdzoną przez Arcyksięcia Ferdynanda zakomunikowano mu 23. lipca 1833 r. za pośrednictwem sanockiego urzędu obwodowego. Józef hr. Załuski jest tedy rzeczywiście austryackim poddanym a dzienniki wiedeńskie mylnie uważają go za poddanego rossyjskiego. Co najważniejsza, to fakt, że obywatelstwo austryackie nie zostało hr. J. Załuskiemu dopiero po powrocie do kraju jako obcemu poddanemu nowo nadane, lecz uznano, iż obywatelstwo to posiadane przezeń z tytułu urodzenia a niestracone z powodu chwilowego pobytu w Polsce i nadal jest w mocy. Od tego czasu Józef hr. Załuski zawsze stale mieszkał w Galicyi i w czasie pobytu swojego nietylko nie dał żadnego powodu do niekorzystnego spostrzeżenia pod względem politycznym, lecz owszem zawsze zachowywał się jako powolny prawom, spokojny i poważny obywatel państwa. Te przymioty w połączeniu z okolicznością, że podczas zeszłorocznych zamieszek pomiędzy c. k. generałami nie było w Galicyi ani w stanie czynnym ani w pensyi żadnego krajowca, spowodowały byłego gubernatora hr. Stadiona w kwietniu z. r. do ustanowienia generała Józefa hr. Załuskiego komendantem gwardyi narodowej we Lwowie. W tym charakterze Józef hr. Załuski aż do dymissyi, udzielonej mu we wrześniu z. r. na własną prośbę za zezwoleniem ministerstwa spraw wewnętrznych, zachowywał się zawsze nieskazitelnie. Józef hr. Załuski w ostatnich czasach przebywał w Siedliszowicach, w powiecie tarnowskim, i został tamże na polecenie komenderującego generała hr. Hammersteina, który w tej mierze otrzymać miał rozkaz od Cesarza rossyjskiego, przez c. k. generał-majora Kargera przy interwencyi c. k. komisarza straży skarbowej i jednego oficera rossyjskiego w własnem pomieszkaniu uwięziony a potem zaraz do Zamościa wywieziony. Według najświeższych wiadomości hr. Załuski został na rozkaz Cesarza rossyjskiego z Zamościa do cytadeli warszawskiej odstawiony, gdzie jako byłemu cesarsko-rossyjskiemu generałowi ma mu być proces wytoczony. Nie są mi dobrze znane szczególne powody, dla których rząd rossyjski uważa uwięzienie hr. Załuskiego za rzecz tak ważną. Jakiekolwiek jednak przestępstwo ciężyłoby na nim, zawsze niewątpliwym faktem pozostanie, że hr. Załuski jest poddanym austryackim a jego wydanie Rossyi zostało, chociażby nawet uwięzienie miało być potrzebnem, dokonane w sposób sprzeczny z tra-

ktatami. Reklamacya zatem w tej sprawie leży w interesie powagi c. k. rządu austryackiego.“

Nie pomogły wszystkie wykręty ministra Bacha wobec faktu, że hr. Gołuchowski przyparł ministerstwo do muru w imię takich interesów politycznych, jak powaga i honor monarchii, na co ówczesny premier austryacki, generał-dyplomata Felix ks. Schwarzenberg, marzący o wyniesieniu Austryi na pierwsze stanowisko pomiędzy mocarstwami europejskiemi, szczególnie musiał być drażliwy. Narzuca się niejako domysł, że to śmiałe wystąpienie hr. Gołuchowskiego zjednało sobie uznanie ks. Schwarzenberga pomimo skrupułów, które ostatecznie i w nim odezwać się musiały na myśl o reklamacyi dyplomatycznej na rzecz polskiego generała, które jednak w takim dumnym patryocie austryackim, jakim był ks. Schwarzenberg, przed względami na powagę i honor państwa umilknąć musiały. Trzeba było na tym punkcie bezwarunkowo kapitulować t. j. wejść za pośrednictwem ambasady w Petersburgu na drogę reklamacyi dyplomatycznej. Car Mikołaj I. ustąpił ale w ten sposób, żeby krok jego miał charakter nie ustępstwa, lecz aktu wspaniałomyślności. Hr. Załuskiego kazał car stawić przed sąd wojenny w Warszawie a wydany przezeń wyrok śmierci ogłoszono skazanemu równocześnie z oznajmieniem, że zostaje ułaskawiony. Skończyło się na tem, że hr. Załuskiego władze rossyjskie odstawiły do granicy, zkąd go odwieziono do Siedliszowic, na to samo miejsce, gdzie nastąpiło nielegalne aresztowanie. Zabawnie wygląda forma, w jakiej minister Bach zawiadomił o tem wszystkiem hr. Gołuchowskiego. Na pozór negował do ostatka obywatelstwo austryackie hr. Załuskiego, ale w końcu dodał, że rząd ze względu na wzburzenie umysłów wywołane tym faktem w Galicyi skłonił się do interwencyi. Niechżeż tedy hr. Załuski — tak mniej więcej napisał Bach — zawdzięczając tylko naszej wspólnej energicznej obronie życie i wolność, będzie przynajmniej za to wdzięczny i niech się teraz lojalnie zachowuje!

Równocześnie ze zwycięztwem w sprawie hr. Załuskiego odniósł hr. Gołuchowski także w sporze kompetencyjnym z generałem Hammersteinem takie zwycięztwo, jakie tylko odnieść mógł w danych warunkach. Bach w reskrypcie bardzo uprzejmym prosił go, aby nie zrażał się przyznaniem Hammersteinowi wyjątkowych atrybucyi ze względu na stan wojenny. W atrybucyach tych zresztą zrobiono równocześnie z wszelką formalnością biurokratyczną taki wyłom, jakiego żądał hr. Gołuchowski w końcowym ustępie swojej relacyi z 22. czerwca 1849 r. Zarządziło bowiem

ministerstwo, że wydalenie i konfinowanie niebezpiecznych osób przeprowadzane być ma przez władzę wojskową tylko w porozumieniu z szefem kraju i za pośrednictwem władzy politycznej. To też w lipcu 1849 r. hr. Gołuchowski zawiadomił o tem władze obwodowe, wskazując imiennie tych poddanych polsko-rossyjskich, którzy ze względu na stosunki wyjątkowe i ich skompromitowanie wobec rządu rossyjskiego (udział w powstaniu z r. 1831) muszą Austryę opuścić. Wszystkim przyznano termin dwutygodniowy i kazano przez Tryest za granicę się wydalić, „o ile kto z tych osób nie przenosił wydania władzom rossyjskim nad takie wydalenie.“

Tak tedy hr. Gołuchowski zasłonił bawiących w Galicyi emigrantów przed brutalną dowolnością generała Hammersteina, o ile to tylko możliwem było w tych smutnych czasach. A jednak właśnie z tej sfery działalności hr. Gołuchowskiego i z tych czasów jego przeciwnicy polityczni czerpali najczęściej materyał do oskarżeń. Opinia publiczna była przystępną dla tych oskarżeń, bo nie znała dobrze zakresu działalności Hammersteina, który w oczach jej był tylko odpowiedzialny za zbombardowanie Lwowa i wybryki żołnierskie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dr. Bronisław Łoziński.

KORESPONDENCYA
JÓZEFA BOHDANA ZALESKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Do Pana Antoniego Celińskiego.

Paryż, 27. kwietnia 1846 r.

Kochany Antoni, dłużny ci jestem odpowiedź na twój miły list z Florencyi. Pamiętam o tem, alem się tak znużył, zużył, pisząc do Ludwika, że jakoś mi dziś aż wstrętno jąć się do pióra. Z tem wszystkiem przezwyciężam lenistwo, bo lękam się, abyś nie pomyślił sobie, że mam w sercu żal do ciebie. Nasamprzód dziękuję ci najuprzejmiej, najserdeczniej za życzenia na św. Józef, dziękuję i wierzę im, że szczere, tyś bowiem sam żywa, chodząca szczerość. Antoni, ty nie wiesz, ile ja cię cenię . . . .

Prawda, o! prawda, kochany Antoni, „że aby nie omdleć w dzisiejszych ciężkich próbach, potrzeba nam żyć w połączeniu serc, w jednej wierze i miłości, potrzeba żyć w zbrataniu się jaknajtrwalszem.“ Pisałem o tem obszerniej do Ludwika, pisałem, co myślim robić, to niech ci ten ustęp listu mego przeczyta. Oj! czas nam podnieść krzyż Pański oburącz! Czas wygrzmieć nowe słowo na nowe czyny, ku nowej epoce miłosierdzia, co tuż, tuż. Wam młodym, wam silnym przystoi wziąć w niej początkowanie. My spracowani długą walką żywota i w skwarach tułackich zwiędliśmy w myślach i w ciele. Powtarzać nam jeno z królem lutnistą: „Dni moje zeszły jako cień — a jam usechł jako siano!“ — Na kolana, młodzi bracia, i w Imię Boże do pracy na pole, co złoci się żniwem, i jakby nawołuje samo na kosarzy! Młode pokolenie, Izraelu nowy, na Sion Panu ponieś pierwszy snop! I nam, i nam nie stać

z założonemi rękoma. nam dano może będzie, choć zacząć pokos dla inszych żwawszych, co przybiegną za nami. W chórze Moabitek, co przyjdą zbierać kłosy po żniwie, ozwie się dopiero nowa pieśń moja. Nie pochlebiajcie mi jednak zbytnio. Jać świeciłem jakiś czas łaską Pańską. Prawda. Byłem, och! jak wieża nadmorska, co z gwiazdą na czole, a wewnątrz ciemna, pusta i gady się w niej gnieżdżą, że ani przystępu. Zgasła tedy dla żeglarzów, ale Pan mocen ją oczyścić i zapalić na nowo, jeśli będzie Jego wola! Temu Panu poruczam ciebie i całe pokolenie młode i kończę pozdrowieniem i uściskiem.

J. B. Zaleski.

Do Hrabiny Czosnowskiej.

12. maja 1846 r.

Mam prośbę i arcyważną dla mnie. Jeśli pani Kalerdzi bawi w Dreznie, proszę do niej napisać, aby raczyła się tam wywiedzieć o panią Konstancyę Rzewuską. Co się z nią dzieje? Czy wyjechała do domu? albo też może chora? Ja i mój brat wielceśmy niespokojni o naszą korespondentkę, od kilkunastu już dni nie mamy o niej ni wieści, ni słychu. Polecam ten interes gorliwości mojej kochanej Pani, a upraszam zarazem o wszelką ostrożność. Nie trzeba czynić w liście żadnej wzmianki o nas.

Życzliwy

J. B. Zaleski.

Do Pana Ludwika Jankowskiego.

Paryż, maja 1846 r.

Dytynko ty nasza stepowa, Ludwiku serdeczny! Kiedy Bohdan mój przeszłą razą do ciebie pisał, ja nie miałem czasu podziękować ci za twoje, za wasze dla mnie życzenia: źle się wysłowiłem, chciałem powiedzieć, nie miałem czasu napisać do was, bo podziękowałem wam zaraz po przeczytaniu niegodnem mojem westchnieniem za wami do Boga. Do Niego nam wzdychać teraz gorąco i nieustannie potrzeba, bo po wszystkiem, co się na świecie dzieje, zdaje się, iż sądy Jego się przybliżają; bądźmy gotowi, zagrzewajmy się wzajemną miłością, modlitwą, pokorą. On Pan wszelkiego miłosierdzia i wszelkiej łaski, a czemużbyśmy Mu ufać nie mieli? On grzechy w nas ukarał, sam ofiarując się za nie na krzyżu, a teraz, kiedy

nas sprawiedliwie karze, nie miałby być miłosierny. O nie! On nigdy a nigdy być miłosiernym nie przestanie. Żywie dusza moja, że tak wierzę i tak ufam, i wy, moi kochani, i ty, mój serdeczny chłopcze stepowy, tak wierz i tak ufaj. Wyście młodsi odemnie, wy będziecie mieli czas jeszcze tutaj oglądać dziwy, o jakich się dzisiaj nikomu nie śni. Tylko miłujmy się i wierzmy, i w Kościół nasz jak w tęczę patrzmy, a to wszystko zrobić możemy, czyśmy daleko od siebie czy blisko, bo przed miłością i wiarą nikną wszelkie przestrzenie i wszystko za ich pomocą zlewa się w jedność w Panu naszym Najmiłosierniejszym, jakbyśmy się dłoń w dłoni trzymali. Gdziekolwiek tedy, Ludwiku nasz, będziesz, możesz nas mieć przy sobie, jeśli o nas w modlitwie wspomnisz, i my też z tobą, bądź pewny, będziemy co dzień. Smutno i nam tu było po waszym wyjeździe, aleśmy na to już przeznaczeni, ażeby się nigdy i niczem długo nie cieszyć, i dobrze tak, bo człowiek tak wątły i tak łatwo pokusom ulega, iż gdyby mu się wciąż dobrze i wesoło działo, mógłby łatwo o Bogu zapomnieć i powtórzyć historyę Adama, bo ten grzech nasz pierworodny wciążby chciał, jak korona nad głowami naszemi świecić. Dzisiaj wyjeżdża ztąd nasza Ukrainka G., moja biedna Ko. już musiała z Drezna wyjechać, cierpiąca i daleko gorzej na zdrowiu i na sercu wraca do domu, aniżeli ztamtąd wyjechała. Święć się wola Boża! We wszystkiem nic się tutaj nie dzieje bez przyczyny, a dlaczego się tak dzieje, dopiero się gdzieindziej dowiemy. Nie godzi się przesądzać, bo przesądzaniem ujmujemy miłości, lepiej więc modlić się i prosić za tymi, którzy się tu do cierpień drugich przyczyniają, bo nie wiedzą, co czynią.

Cóżbym to ja wam, moi kochani, ztąd jeszcze napisał. Oto Zosia, rozbita bieżącemi okolicznościami, cierpi i na zdrowiu czasem zapada. Ona taka impresyjna i taka tkliwa.

Do serca się tulę i t. d.

Twój stary ojczyk

Józef Zaleski.

Kochajcie nas i kochajcie się wzajem, bo w tem cała tajemnica szczęścia naszego i tutaj i nawet żywota przyszłego.

Do Pana Ludwika Jankowskiego.

Wielka Trappa, 19. czerwca 1846 r.

Kochany mój Ludwiku, słówko jedno dziś, na jakie zdobyć się mogę w czasie i okolicznościach. Gdzieindziej za to obszerniej do

ciebie napiszę. Od kilkunastu dni zamieszkałem w Trappie. Dobrze mi tu między świętymi, dobrze, cicho i błogo jakby w domu, jakby gdzieś na rodzinie. Odebrałem twój list z Kaltern, ale ów rzymski zapowiedziany dawno i tęskliwie wyglądany, podobno że zaginał na wieki wieków. Nie wiesz jeszcze zapewnie o arcysmutnej przygodzie Artura [1]) i Aleksandra [2]). Bandyci włoscy oskoczyli ich w Apeninach i co do nitki złupili. Mniejszać o stratę materyalną, ale Artur z przerażenia dostał recydywy dawnej słabości. Obłożnie chory w Nicei Żal mi niezmiernie kochanego naszego poczciwca.

Główny powód pisania mego do ciebie jest, że chcę ci dać dobrą radę. W powrocie do Berlina jedź na Drezno. W hotelu ruskim dowiedz się o adres mieszkania naszej Kostusi. Wstąp do niej; najsamprzód spełnisz miłosierny uczynek, nawiedzając chorą, a potem będzie zapewne miała coś nakazac do domu żywym głosem. U niej zastaniesz nasze listy. Oprócz tego za powrotem do swoich, zapoznasz się oto z całem mojem gronkiem.

Czem serce nasiąkło tu na świętej pustyni, miłością, pokojem, duchem Bożym, dzielę się z tobą w pełni, mój drogi, mój poczciwy, mój serdeczny Ludwisiu! Łaska z tobą Pańska! gdziekolwiek się ruszysz! Rano i wieczór ty i twoi przytomniście mi w modlitwach.

Sciskam cię jak ojciec rodzony.

Wujaszek.

Do Pana Ludwika Jankowskiego.

Paryż, 1. lipca 1846 r.

Kochany mój Ludwiku, serdeczny! Dawnoś już musiał list twego wuja odebrać, ja z nim nie napisałem, bośmy nie byli razem. On ze swojego zacisza, gdzie głos ludzki słychać tylko w modlitwie, z Trappy, sercem zapewnie całem, które Bóg tak ślicznie usposobił, musiał ci śliczne popisać rzeczy; małą mam próbkę przed oczyma z tego, co do mnie o tobie napisał: ja, ze zgiełkliwego miasta, ze zbałamuconej na wszystkie wiatry duszy, nie wiele ci budujących rzeczy powiedzieć mogę. Nie umiem nawet, mój serdeczny, słowem przyodziać tego, co czasem rzewnie przez serce przeleci. Owóż w pokorze i prostocie powiem ci, mój Ludwiku, żem cię pokochał i błogosławię. Błogosławieństwo przyjm jak od ojca, bom ci i stary i już-

[1]) Kościelskiego.
[2]) Potockiego.

bym twoich lat miał był synów, gdyby żyli ci, co pomarli, i wiem, jak wam młodym w trudnych a szerokich waszych obowiązkach wiele błogosławieństwa potrzeba. Błogosławię ci powtóre i po trzykroć na żywot pracy i znojów tutaj, na odpoczynek w łasce i pokoju kiedyś, kiedyś wszystkim nam w lepszej i szczęśliwszej ojczyźnie.

Nieskończony dał nieskończone duszom naszym własności, pracujmyż wszyscy wedle tego, co komu z darów Bożych przypadło, a pracę naszą harmonizujmy miłością. Ty, mój Ludwiku, który z taką prostotą i wdziękiem umiesz kochać, jedno z pierwszych w tej harmonii musisz zająć miejsce. Proszę cię, poznaj się z tymi, których jeszcze nie znasz, i pokochaj ich, oswój się z nazwiskami mamci, cioci J., Nisi, Munia i t. d. i t. d., a żyjcie z sobą, jakbyście jednem sercem byli. U tych, do których ciebie posyłam, znajdziesz, wierz mi, dla siebie miłość, a chociaż oni wiedzą, że i my tu miłością dla nich żyjem, wszakże miło im i mnie będzie, kiedy im to ustnie od nas powtórzysz. Duch nasz dla nieskończonej swej natury wieje, gdzie chce i gdzie zamierzy, ale gdzie wieje miłością, tam radby zawsze w słowach się objawiać, a lubo ludzie wielkie poodkrywali rzeczy, nic jeszcze nie odkryli na dosłyszenie głosu w przestrzeniach: to własność samego Boga i Bóg też tylko słyszy nas z każdej przestrzeni, kiedy się do niego modlim, a wysłuchiwa w miarę naszej miłości i wiary. Och! wierzcież i miłujcie się, moi wy kochani, wszyscy tam społem, bo nam wysłuchania Bożego, jak wiecie i widzicie, wiele potrzeba. Jak będziesz u cioci J., pozdrów ją słowem serdecznem i proś, niechaj nie płacze, co płacz pomoże, kiedy sądy Boże! Wyjdźcieno tam w ogród ponad jary i posłuchajcie, czy stare drzewa szumią dzisiaj tak tęskno, jak dawniej szumiały? O tak, tak szumi w duszy mojej tęsknota za tymi, co płaczą. Szkodażby było te drzewa rzucać, bo i znajomi to dawni, i wiele lat przy nich błogo przeżyło się . . . .

. . . Pisząc ten list, dumka mi dumku pobywaje i ot wchodzi ktoś smukły, młodziutki, krasny, cóż ty powiesz na to? Ukrainka, ot tylko co przyszła na wygnanie. Myśli się moje rozwiały, pióro z rąk wyleciało i muszę kończyć, a pójść poszukać dla nich mieszkania. Dajże mi tu, Ludwiku mój młody, głowę, niech cię przy błogosławieństwie jeszcze raz pocałuję i podziękuję ci za serdeczność którąm od ciebie doznał. Bóg z tobą niech za to będzie, mój ty stepowcze miły. Niech ci w zamiarach twoich pomyślnościami odpłaci, abyś za cześć wyrządzoną staremu doczekał się czci od dzia-

tek swoich i stał się patryarchą poważnym i kochanym w rodzinie. Całuję cię i t. d.

Twój *Józef Jan Zaleski.*

Powiedz tam moim, że mi na bierzmowanie przybyło imię Jana i że odtąd zawsze się dwoma imiony podpisuję. Mój druh za dwa dni dopiero wróci z Trappy, jak wróci, pewno Antosiowi odpisze, a tymczasem ja go najserdeczniej całuję.

Do Pana Ignacego Domeyki.

Paryż, 30. lipca 1846 r.

Kochany nasz bracie Ignacy, ... Adam nasz kochany zerwał z Towiańskim, a raczej odłączył się z jakąś częścią uczniów na swoją rękę; ten odłamek wraz z Adamem stał się dla nas przystępniejszy, dałby Bóg, żeby i do Kościoła przystąpił. Drugi odłamek, gdzie jest Różycki i Goszczyński, trwa w starowierstwie sektarskiem pod mistrzem, trzeci, jak nazywają, teologiczny, złożony z 10 osób, stoi pod Retlem. A między nimi wszystkimi, jak odyniec w łomach litewskich, stoi Kołyszko sam jeden i woła: „póty do was nie przejdę, póki się nie pogodzicie.“ W emigracyi po wypadkach krakowskich zaszła rewolucya. Zjednoczenie z pod Lelewela, Zwierkowskiego i Worcela rozłamało się także na trzy części: część niewielka weszła do 3. maja, większa z Ordęgą, Ponińskim i ich dziennikiem weszła do towarzystwa demokratycznego i jakbyś podsypał do ciasta drożdży, tak się tam teraz burzy; trzecia formuje się w zastęp pod dyktaturą Tyszkiewicza. Ledóchowski z całym swoim sztabem wszedł także do demokracyi. O innych znajomych napisze ci zapewne Laskowicz, ja dodam o nas, iż jak nas, drogi nasz Ignacy zostawiłeś, tak stoimy na jednem miejscu, może niegodnie upokorzeni, a jeszcze niegodniej poddani woli Bożej, ale stoimy, modląc się za siebie i drogich nam, jak ty, po świecie rozsypanych i wyglądamy miłosierdzia z gotowością przyjęcia wszelkiego, co Bóg na nas dopuści . . . . Stefan nasz przed wyjazdem był u Adama, ale skończyło się na prostej wizycie, niepodobna jeszcze na Adamie wymódz co więcej i my niedawno z nim widzieliśmy się; był serdeczny, lecz zawsze prawił swoje. My pojutrze wyjeżdżamy nad Ren. Mój Bohdan może będzie co pisał. Kiedy to, kochany nasz Ignacy, zobaczymy się z sobą.

Całuję cię i t. d. *Józef Zaleski.*

Kochany mój Żegoto, wstyd mi i żal, że zawsze cię zbywam ledwo słówkiem. Oto i teraz jesteśmy na wyjezdnem, a radbym szeroko się rozpisać. Kiedyś może Bóg mi da pogodniejszy po temu czas. Ściskam cię i pozdrawiam najczulej. Jutro twoje święto, św. Ignacego, to w kościele polecę cię Bogu z całą miłością.

Twój

Bohdan.

Do Panny Zofii Rosengardt.

Paryż, wrzesień 1846 r.

Zofio, słówko jeno dziś, Józef niech ci powie o mojem rozradowaniu. Jakieś bezimienne, niewysłowione a błogie uczucie wypełnia pierś od chwili, jak mi oznajmił Stefan, żeś moja. Święty Michał Patron i Stróż Ukrainy mojej, przyniósł mi oto gościniec z nieba, gościniec na żywot, święty Patron tknął cudownie serce moje, że rozwiośniło się w niem, rozciepliło po długiej, chłodnej mgle. Czuję się jakoby przemieniony, jakoby odnowiony w całem jestestwie. Wierzę, miłuję i spodziewam się bez granic. Jako chcesz, Zofio, bez obawy, bez żalów, powierzam ci szczęście moje. Nie oglądając się już na nic, chcę iść z tobą dłoń w dłoni. Zofio, ja kochałem zawsze, kochałem wiele, ale nie wierzyłem w szczęście swoje ziemskie. Zdziczałem był w osamotnieniu mego stepu, który zamieszkiwałem od tylu, tylu lat, potrzeba było, ażebyś mnie gwałtem zeń wyprowadziła. Podbiłaś serce moje, panujże w niem, panuj sama jedna. Nie pożalisz się odtąd na miłość moją. Długoletnie moje udręczenia, boleści, smutki były dla mnie jakoby straszną inicyacyą, jakoby wkupowaniem się w raj, który mi otwarłaś. Niech będzie pochwalon Bóg mój i Pan mój teraz i na wieki! Zofio, Zofio, ja twój.

Bohdan.

Do Pana Stefana Witwickiego. [1])

Paryż, 7. listopada 1846 r.

Mój drogi Stefanie! Nie pisaliśmy długi czas dlatego, żeś ty bujał gdzieś na burzliwych falach, a my tu uwięźlismy byli na

[1]) Cała korespondencya Bohdana Zaleskiego do Stefana Witwickiego od r. 1831 do 1846 została prawdopodobnie zniszczona.

całme płat. Cały miesiąc nie mieliśmy zniskąd listów, to umilali śmy sobie różnie nudne *status quo*. Naraz z początkiem listopada jak liście jesienne posypały się listy ze wszech stron. Wiemy z relacyi ks. Aleksandra o trudnej przeprawie, jakiej użyłeś na morzu, ale dzięki Bogu jesteś już w Rzymie, to wywczasujesz się i odżyjesz nam rychło. Dzięki teraz Bogu, przyszły listy od rodziców Zosinych, którzy błogosławią nam z rozradowaniem. Rzecz tedy główna co do małżeństwa jest załatwiona, biedzim się teraz z formalnościami francuskiemi. Onegdaj byłem w *Mairie* z siedmioma świadkami dla sporządzenia aktu, który ma mi zastępować metrykę i sepulturę rodziców. Za świadków miałem Adama, Seweryna, Sienkiewicza, Plichtę, Hłuśniewicza, Kamieńskiego i Józefa. Teraz kilkanaście dni potrwa oblata tego aktu przed urzędem sądowym: bieganiny i kosztów będzie co niemiara. Tymczasem zapowiedzi z ambon w Notre Dame de Lorette i w St. Louis poczną się od jutra. Krzątamy się tedy, jako widzisz, pospiesznie. Chcemy, ażeby ślub nasz nastąpił przed adwentem. W tej chwili Józef z ks. Edwardem poszli do arcybiskupstwa po różne informacye i po dyspensę na ślub polski przez którego z naszych księży. Krzątamy się wszyscy. Zosia pomimo niedomagania na zdrowiu biega po sklepach, po szwaczkach, to obszywa się sama w domu. Ja kłopocę się, skąd wydostać pieniędzy, zanim fundusze nadeślą z kraju. Nielada to trudność na emigracyi. Jakoś to jednak będzie, stąd czy z owąd przyjdzie mi ktoś w pomoc. Zdaje się, że 25. listopada [1]) będziemy już mogli

[1]) Ślub odbył się 26. listopada. Bohdan liczył wtedy 44 lat życia, jak świadczy następująca autentyczna metryka.

Tłómaczenie z rossyjskiego

Z rozkazu Jego Cesarskiej Mości.

Wyciąg z ksiąg metrycznych parafii Stawiszcze z r. 1802, przechowanych w archiwach konsystorza, następującej treści:

Z łacińskiego:

Roku 1802, trzeciego lutego, ja, Simeon Kwiatkowski, wikary kościoła parafialnego w Stawiszczach, chrzciłem dziecko imienia Józef, syna szlachciców Wawrzyńca i Maryi Anny, z domu Burkat, Zaleskich, cześników smoleńskich, prawnych małżonków, syna urodzonego 2-go tegoż miesiąca. Rodzice chrzestni do św. Sakramentu byli: szlachcic Eliasz Zaleski, cześnik smoleński, i Anna Zaleska, żona cześnika smoleńskiego.

Niniejszy wypis z aktów parafii, napisany po łacinie, rejestrowany i sprawdzony przez komissyę ustanowioną Najwyższym Rozkazem, podpisany i opieczętowany jest zgodny we wszystkiem z aktem, wpisanym w księdze, a autentyczność aktu i książki nie podlega żadnemu wątpieniu.

wziąć ślub: między 10 a 11-stą ślub cywilny, a między 11 a 12-stą ślub w kościele, ślub-sakrament. Dzień wielki, święty, uroczysty dla mnie. Mój drogi, pamiętaj o tym dniu, o 25. listopadzie. Uproś ks. Hieronima, ażeby odprawił mszę na intencyę mego małżeństwa, uproś matki Makryny, aby się pomodliła za nas i ty się pomódl, mój zacny, mój świątobliwy, mój wierny stary bracie i druhu, aby Bóg pobłogosławił stadłu, któreś sam kojarzył, abyśmy w pokoju, wierze i miłości wytrwali sobie na żywot. Kochamy się oboje gorąco i w Bogu mamy jak najlepsze przeczucia, ależ łaski, co najwięcej łaski wymódlcie nam z nieba, iżbyśmy ani na chwilę nie ostygli dla siebie. Nie uwierzysz, drogi Stefanie, jaka błoga ufność napełnia dziś pierś moją. Nie poznałbyś nas obojga, tak nas łaska Pańska przemieniła. Wespół z miłością porządną, chrześciańską zstąpiły na nas pokój chrześciański i pogoda chrześciańska. Niech ci powie Józef, jak się kochamy i jak żyjem z sobą. Nie powstydzisz się, mój drogi, nigdy proroka swego w sercu, który ci powiedział, żeśmy dla siebie, doskonale dla siebie oboje . . .

Józef mój spisał się po swojemu. Poszedł niby za interesami, a tymczasem u księży ukradkiem wyexpedyował list do ciebie. Ja tymczasem czekam i czekam, i oto mimo woli musiałem się opóźnić. Nie wiem nawet, co ci popisał w swoim liście, ażeby się darmo nie powtarzać. Ale mniejsza z tem.

Mój drogi, dziś tedy w niedzielę rozległa się z ambony pierwsza zapowiedź o naszem małżeństwie. Józef słyszał na własne uszy. Nie zdołam tego wyrazić, co się dzieje w mej duszy, zarazem błogo i rzewnie. Kończy się oto żywot bezcelny, burłacki, ale z którym jużem się był oswoił, a rozpoczyna się nowy zawód, zawód trudny, pełen kłopotliwych obowiązków, zwłaszcza dla mnie, znarowionego przez tyle lat poezyą i marzycielstwem. Nie straszam się jednak, bo kocham, bom kochany, czuję tylko w sercu potrzebę ciągłego doskonalenia się, ciągłego czuwania nad sobą w modlitwie. Bez osobnej łaski Bożej nie potrafię sam pozbyć się mnogich wad swoich, a potrzeba się ich pozbyć, potrzeba koniecznie. Rozmyślałem o tem we dnie i w nocy, rozmyślam smutnie, ale z wielkim duchowym pożytkiem. Zosia mi podpomaga z całych sił. Da Bóg, że związek

---

Wydając na żądanie proboszcza parafii rzyszczewskiej z dnia 26. maja bieżącego roku nr. 39, konsystorz łucko-żytomierski poświadcza go należycie.

11. czerwca 1886 r. Miasto Żytomierz

Podpisano: kanonik Chapurski.

L. S. Pełniący obowiązki sekretarza: Nesterenko.

nasz będzie zbudowaniem dla ludzi, bo chcemy się zbawić oboje i jedno przez drugie. Zosia uspokoiła się, a więc wyszlachetniała i wypiękniała do niepoznania. Strach patrzeć, jak czasem bezsilna i piersi pobolewają po dawnemu. Lekarze radzą mi co prędzej wyjechać z nią na południe. Stanęło na tem, że zaraz po ślubie wyjedziem na noc do Orleanu, a ztamtąd krótkimi etapami ku Marsylii. Trwoży mię nieco pora zimowa, a jeszcze więcej, ażeby się ślub nie spóźnił do Bożego Narodzenia i po śniegach nie przyszło nam podróżować.

Nie masz wyobrażenia, mój Stefanie, kłopotów z formalnościami. Błogosławieństwo na przykład rodziców Zosinych, dlatego że nie przed urzędem zrobione i niepoświadczone przez konsula francuskiego, niema żadnej wartości. Musieliśmy pisać do Warszawy po nowe prawne błogosławieństwo. A czy je urząd miejscowy pozwoli wydać dla idącej za mąż za emigranta? Nowa niepewność i co najgorzej zwłoka. Mam jednak w Bogu nadzieję, że wszystko się załatwi do końca listopada, a w ostatnim razie zawezwę siedmiu świadków i podam Zosię za emigrantkę. Tak tedy, mój drogi Stefanie, zbliżym się znowu ku sobie. Może być nawet, że zjedziem się gdzieś w Neapolu albo w Rzymie. Radbym, ażeby Kostusia [1]) poznała moją żonę, a Kostusia dziś w Wenecyi i ciągnie pomalutku do południowych Włoch. Wypadnie nam zatem pojechać do naszej chorej i po drodze zahaczyć o Rzym. Wszystko to jeszcze w projekcie, ale lubuję się w nim, bo mi daje otuchę widzenia się z Kostusią i z tobą.

Z powodu moich ślubowin widuję się teraz często z Adamem i Sewerynem, którzy są ze mną jaknajserdeczniej. Adamowa wróciła niedawno od mistrza i ma się zdrowo. Adam jest dla niej w adoracyi, powiada, że dopiero teraz ma żonę, że poczęła żyć życiem wewnętrznem, duchowem. Ja widzę jeno, że spoważniała, ale zarazem zwiędła i zestarzała się. Opowiem ci kiedyś ustnie rozmowy nasze.

Szlachty tu z kraju huk: Lubomirscy Józef i Kazimierz, Walewscy, Karwicki, Czarnowscy, Moniuszkowa, Pruszakowa itd. i mój dawny znajomy poseł Sabatyn. Nowiny zresztą paryskie nieciekawe i dowiesz się o nich z listów księży.

Przepraszam cię za Zosię, że nie pisała. Chora i zbiedzona wczorajszem bieganiem po mieście, to wolałem, żeby raczej zwlokła się i poszła na mszę. Kiedyś ci to Zosia wynagrodzi, bo przesławna improwizatorka, jednym tchem zdolna jest arkusz zabazgrać i to

[1]) Rzewuska, siostra pani Dyonizyi Poniatowskiej.

śród zgiełku i hałasu rozmów. Dopiero od kilku dni odkryłem w niej ten nowy talent. Co osobliwsze, że w takowej improwizacyi znalazł się sens i serce.

Spieszę się na Batignolles do Seweryna, którego chcę zaprowadzić do Zosi, a więc na dziś urywam.

Całuję cię i ściskam

Twój

Józef Bohdan.

Do Pana Stefana Witwickiego.

Hyères, 8. grudnia 1846 r.

Piszę do ciebie, mój Stefanie, z nowej siedziby, w której niby-śmy to już rozgospodarowali się na prawdę. Najęliśmy śliczny apartament z przepysznym widokiem na morze i na gaje pomarańczowe, a najęliśmy na półrocze aż do końca maja. Mamy swoją kuchnię i kucharkę, mamy słowem dom ze wszystkiemi wygodami, dom wprawdzie na cudzej ziemi, ale zawsze to coś osobliwego dla mnie, com, jako wiesz, nie zaznał nigdy tego dobra, co się nazywa u nas swoim chlebem. Tułacz od dziecka, po raz pierwszy oto używam wczasu domowego przy młodej żonie. Dziękuję też Bogu za wszystko z niewysłowionem rozrzewnieniem i jestem szczęśliwy, szczęśliwy o tyle, o ile mi jako Polakowi wolno. Och! Polska, Polska nasza, straszna to zmora, Stefanie! Czuję ją dziś na piersiach dolegliwiej, może dlatego, że w rzeczywistości lepiej mi niż inszej braci.

Pięknie tu, cicho i ciepło, piękniej, ciszej i cieplej niż nawet u was we Włoszech. Raduję się tem jak dziecko, a jeszcze bardziej raduję się, że okolica podobała się żonie mojej i służy ku jej zdrowiu. Istotnie, od kiedy tu zamieszkaliśmy, kaszel jej i inne biedy ustały, jakby je kto odjął ręką. Wyładniała mi i wypogodziła się od razu. Daj tylko Boże, ażeby taki stan zdrowia i humor trwał jaknajdłużej. Musiał ci mówić Staś Koźmian, jak się nam była Zosia rozchorowała w Marsylii. Owóż potem nastąpiła gorsza jeszcze kryzys i nielada mieliśmy strach. Zdaje się, że to te niesłychane zimna i mistral [1]) prowancki tak ją nagle uciemiężyły. Na łeb, na szyję potrzeba ją było przewieźć pod cieplejsze niebo. I podróż, choć krótka, dała się nam we znaki. Możesz sobie wyobrazić nasze rozradowanie, kiedy tu w Hyères złe Zosine znikło bez śladu i znaku.

[1]) Wiatr bardzo silny na południu.

Teraz mi żona krząta się i od rana do nocy na nogach, że aż serce rośnie.

Imieniny twoje, kochany Stefanie, obchodziliśmy tu pobożnie i radośnie. Z rana byliśmy na mszy z Józefem, wieczór spełniliśmy kielich na zdrowie spólnego przyjaciela, kielich dobrego wina, ale nie szampana zgoła. A był to *nota bene* pierwszy nasz obiad u siebie w domu, który sama Zosia musiała sporządzić, bo nie miała jeszcze wtedy kucharki. Rozpoczęliśmy więc nasze gospodarstwo na św. Stefan: dzień ten będzie nam zawsze pamiętny. Widzisz tedy, że pamiętamy o tobie przed Bogiem. A w sercach naszych co czci i miłości dla ciebie? to ani potrzeba, ani godzi się rozdrabiać na słowa. Zosia wszakże, wsiadając dziś do powozu, poleciła mi bardzo cię pokochać... Następny list do ciebie pójdzie przez okazyę. Spodziewamy się w tych dniach ks. Hipolita Terleckiego, który obiecał zboczyć z drogi, aby się widzieć z nami. Daj Boże, aby mu tam w Rzymie poszło pomyślnie. Projekt jego missyi może nieco za zuchwały, ale missyonarz nasz ma dobrą wolę i dużo zapału szczerego, to nie godzi się go zrażać. Zresztą co jest niepraktycznego w projekcie, zmodyfikuje się potem łatwo przy robocie. I ks. Hieronimowi jestem dłużny odpowiedź na miły liścik, jaki odebrałem na wyjezdnem z Paryża, ale dziś ani myśleć, mam insze gwałtowniejsze na głowie, od których zależą moje interesa finansowe.

O Kraków hałas po dziennikach, ale póki Ludwika Filipa skończy się jeno na hałasie. Do czasu jednak dzban wodę nosi. Kto wie, czy z tej małej chmurki nadwiślańskiej nie wypadnie straszliwy grom? Co się święci w Rzymie? Napisz mi o Ojcu świętym i o jego reformach, bo z dzienników trudno coś wyrozumieć. Czytałem list ks. Aleksandra o posłuchaniu Matki Makryny, czytałem z pociechą i zbudowaniem. A Bludow, Gurowski co porabiają?

O Adamie naszym wiesz zapewnie od ks. Hieronima wedle raportów księży paryskich. Ja od wyjazdu z Paryża nie miałem żadnej wieści o nim. Radbym, ażeby pojechał do Rzymu, jak miał wolę i ochotę. Może do niego napiszę, biorąc assumpt, że nie miałem czasu podziękować mu osobiście za spółczucie, jakie okazał dla mojej żony przed ślubem i podczas ślubu. Seweryn mi skrewił, chociaż wciąż był jaknajserdeczniej ze mną.

Czy nie dostał się tam do Rzymu którędyś Artur Kościelski? Popłynął nie wiedzieć po co do Tunis, Tripolis i Maroko przed dwoma miesiącami. Miał wrócić do Marsylii na początku grudnia i po dziś dzień ani słychu. Jesteśmy o niego trochę w obawie. Pozdrów odemnie Koźmiana, obiecał do mnie pisać, a Koźmiaństwo to

żywa kronika i nieoszacowana dla nas tułaczów. Wszystko bo wiedzą, co się dzieje gdzie w kraju i za krajem. Proś bardzo, ażeby ci dał swoje notki do twego listu.

Całuję cię z całego serca, polecam się też raz na zawsze modlitwom twoim i księży naszych.

Twój

Józef Bohdan.

(Ciąg dalszy nastąpi).

UPOSAŻENIE
DUCHOWIEŃSTWA RZYMSKO-KATOLICKIEGO
NA KRESACH UKRAINNYCH
w końcu XVIII. w.

W historyi Kościoła rzymsko-katolickiego w dawnej Rzeczypospolitej braknie niejednej karty — szczególnie na kresach. I nic w tem dziwnego nie ma. „Stepy — światoburców droga“ — mówił słusznie Bohdan Zaleski. Chadzali niemi Tatarzy i nie o wiele lepsi od Tatarów, a pokrewni im nienawiścią wszelkiej kultury państwowej, kozacy. Po gospodarstwie zagonów tatarskich i kozackich pozostawały ruiny i złomy zamków, kościołów, miast, kurzyły się i tlały popieliska, a w tym popiele ginęła nieraz długowiekowa praca cywilizacyjnego dorobku moralnego i materyalnego całego kresowego społeczeństwa. Po wichrach i burzach, które przelatywały nieraz jak orkan przez kraj cały, trzeba było znowu nakładać siłą i energią, ażeby budować to, co w dzikich walkach niszczyli kozacy i Tatarzy. Przyjaźń Chmielnickiego z „jasnym sokołem“ Tuhaj-bejem była drogą wytyczną dla walk tego dziwnego związku wojskowego, który, wywiesiwszy sztandar obrony chrześciaństwa, niszczył chrześcian swoich i nie-swoich z bezwzględnością co najmniej — tatarską. Pod ciosami tych walk rozsypywały się w gruzy lub z wiatrem leciały po stepie szczątki domów bożych i świątyń, płonęły w ogniu pergaminy zapisów i nadań, a ziemię, która zniszczyć się nie dała, rozmaici hetmanowie kozaccy rozdawali na prawo i na lewo — prawem kaduka.

Nic dziwnego, że po takiem gospodarstwie mało co pozostawało, ale ofiarność polskiego społeczeństwa kresowego i świadomość

potrzeby tej ofiarności z ruin podnosiła budowle i nowemi szerokiemi nadaniami uposażała powołane do życia fundacye.

W końcu XVIII. w. Rzeczpospolita polska, jako państwo samoistne, wykreśloną została z mapy Europy, a burzliwe kresowe prowincye ruskie w znacznej większości dostały się Rossyi. Rząd rossyjski postanowił spisać inwentarz dóbr duchownych, klasztornych i świeckich w nowo-przyłączonym kraju. Książę Aleksy Kurakin wydał rozporządzenie, ażeby wpisane zostały nietylko dobra, będące w posiadaniu rozmaitego duchowieństwa rzymsko-katolickiego, lecz także starostwa, sołtystwa i wójtowstwa. Niewątpliwie spis taki sporządzony został dla województw wołyńskiego, kijowskiego, podolskiego i bracławskiego. Co się z tymi opisami stało? Niewiadomo. Nie weszły one do żadnej grupy aktów, wydanych dotychczas, a żaden z historyków z nich nie korzystał. Wolno tedy przypuszczać, że znajdują się w archiwach gubernialnych śród t. zw. materyału nieużytecznego lub może przeszły do archiwum centralnego w Kijowie. Co do ostatniego przypuszczenia, łatwo je byłoby sprawdzić, nie posiadam wszakże na razie pod ręką księgi archiwum kijowskiego; to tylko jest rzeczą niewątpliwą, że w archiwum kijowskiem całości nie ma [1]). Część dokumentów, odnoszących się do tej sprawy, znajduje się w mojem posiadaniu i na podstawie tego materyału właśnie, niekompletnego w stosunku do całości dóbr duchownych, wyczerpującego jednak i dokładnego w stosunku do części, zamierzam opracować stan i położenie dóbr duchownych ku

[1]) W bibliotece mojej posiadam rękopis, mieszczący się w dwóch tekach, p. t. *Sprawa dotycząca dóbr duchowieństwa rzymsko-katolickiego po rozbiorze Rzpltej Województwo kijowskie.* Zawiera on około 300 arkuszy pisma, obejmującego współczesną korespondencyę sądów ziemskich powiatowych, zorganizowanych już przez Rossyę, z kazionną pałatą, której gubernator cywilny kijowski, Bazyli Miłaszewicz, reskryptem z d. 22. paźdz. 1797 r. polecił zrobić opisy kościołów i dóbr, należących do rzymsko-katolickiego duchowieństwa. W ten sposób w tekach moich znajduje się nietylko korespondencya z odnośnemi władzami, lecz także wiarogodne inwentarze dóbr posiadanych, wiarogodne odpisy nadań, darowizn i uposażeń. Materyał, podany tutaj w streszczeniu, będzie tem ważniejszy, że do klasztorów i kościołów, o których pisać będę, z wyjątkiem może humańskiego bazyliańskiego („O Bazylianach w Humaniu“ przez Wołyniaka. *Przewodnik nauk. i liter.*, maj 1899), prawie nigdzie nie ma, oprócz dorywczych i niezupełnych, innych wiadomości. Muszę się ograniczyć na opracowaniu i streszczeniu posiadanego materyału, gdyż wydanie jego mogłoby być podjęte chyba przez jakąś instytucyę naukową — na co liczyć nie mogę.

(Przypisek autora).

końcowi XVIII. w. w województwie kijowskiem. Nadmienić muszę, że nie jestem w możności objąć całego województwa kijowskiego. Materyał drukowany, bądź opracowany, jak u ks. Tomasza Dobszewicza (*Wiadomość historyczna o biskupstwie kijowskiem*), bądź doryweczy i pamiętnikarski raczej niż naukowy i ścisły, jak u Platera (*t. IV. Pamiętniki*), u Helleniusza (*Wspomn. polskich czasów t. II.*), bądź też źródłowy pierwszorzędny, jak Tomasza Pirawskiego (*Relatio status almae archidioecesis Leopoliensis*), Bzowskiego i innych nie jest wystarczającym do opracowania historyi Kościoła na Rusi. To przeto, co dać zamierzam, będzie o tyle miało wartość, że zachowując charakter przyczynku, będzie równocześnie streszczeniem wiarogodnych i pierwszorzędnych materyałów, że ustali niejedną datę, sprostuje gołosłowne twierdzenia i ustali granice i doniosłość stanu uposażenia i posiadania.

W opisie kościołów i klasztorów zachowam porządek geograficzny, posuwając się z północy ku południowi.

1. m. Owrucz.

W prastarej siedzibie Rurykowiczów, w Owruczyznie, a osobliwie w Owruczu, istniały dwa klasztory bazyliańskie: Wniebowzięcia N. P. Maryi, zwany Zaruczański, i Przemienenia Pańskiego. W końcu XVIII. wieku do Archimandryi owruckiej należały jeszcze cerkwie, w samym Owruczu położone: Zmartwychwstania Pańskiego, św. Bazylego Wielkiego, zbudowanej na ruinach dawnej cerkwi, fundacyi Włodzimierza Wielkiego, księcia kijowskiego, świętych Joachima i Anny i w zamku św. Eliasza. Klasztory powyższe należały do najbardziej uposażonych. Szlachta owrucka, dbała o chwałę Bożą, bogato obdarzyła te monastery, z początku należące do obrządku grecko-wschodniego a potem unickiego. Złożyły się na tę fundacyę rodziny Romanowiczów, Surynów, Pawszów i Trypolskich, a później, jak obaczymy, innych. Opactwo owruckie posiadało majętności swoje w późniejszym powiecie radomyślskim, jakoteż w gub. wołyńskiej i mińskiej. Rozpatrzymy tedy najprzód nadania a następnie ekonomiczny stan posiadanych włości tylko w późniejszej gubernii kijowskiej.

Najdawniejszy dokument, dotyczący klasztorów owruckich, sięga czasów króla Michała. Jest to przywilej i konfirmacya przywilejów innych królów polskich, udzielonych klasztorom owruckim. Nosi on datę 23. lipca 1670 r. List ów jest pełen pochwał dla ówczesnego

Archimandryty Teofana Krechowieckiego. Król Michał, przyrzekłszy w czasie koronacyi „klasztory, monastery i inne miejsca święte, na pomnożenie chwały Bożej dedykowane, w osobliwym zachować respekcie“, przedewszystkiem pragnął nagrodzić zasługi Ojca Teofana, archimandryty owruckiego, który *in hostico* w krajach województwa kijowskiego i *protunc* zostając, wiary niczyjej, żadnej nie chwytając się protekcyi, szczególnie zachowując wrodzoną swą cnotę szlachecką, żądał w sprawach, należytościach i krzywdach monasteru owruckiego u majestatu naszego klemencyi i zaszczytu, który, że Najjaśniejszemu anteceserowi naszemu, nam i Rzpltej naszej życzliwość stateczną — lubo nigdzie od nikogo żadnego, przy wielkiem spustoszeniu, przez te wojenne lata, politowania i przytuliska nie mając, — zawsze wyswiadczał i do żadnych rad, nam i Rzpltej niechętnych, nie wiązał się“ — przeto król Michał chętnie do jego próśb i instancyi innych przychylił się. Przyrzekł przeto ojcu Teofanowi „zachować go całe i nienaruszenie przy archimandryi owruckiej“, przy monasterach, cerkwiach do nich należących, a także przy należących „zdawna wioskach Denysowicz i części we wsi Biłcze“. Potwierdził także posiadanie „poddanych, danin miodowych i pieniężnych tak w starostwie owruckiem, jako i od różnych ziemian powiatu owruckiego do tych monasterów zdawna nadanych, wszelkie grunta w mieście Owruczu i powinności mieszczan“ przyrzekł; „pomienionego Archimandrytę od Archimandryi i cerkwi do niej należących nie oddalić i nikomu na oddalenie nie pozwolić“, uwolnił „od żołnierskich exekucyi wszelkich tak koronnych jak i W. Ks. Litewskiego ludzi, od stancyi (tak), stanowisk, chlebów, noclegów, popasów i podwód.“

Drugi przywilej pochodzi od Jana III. z dnia 11. sierpnia 1695 r. „Wiedząc o znacznej dezolacyi monasteru święto-Preczysteńskiego Zaruczańskiego, do Archimandryi owruckiej należącego, częścią przez inkursye nieprzyjacielskie, częścią przez ogniowe przypadki zniszczonego — czytamy w owym przywileju — umyśliliśmy fundacyę jego z ruiny i popiołów do lepszej przyprowadzić perfekcyi.“ Stało się to na „usilną“ prośbę, wniesioną do tronu przez Surynów, Remigiana, stolnika żytomierskiego, Jana i Marcina, Teodora Pawszy, podstolego owruckiego, jakoteż innych obywateli wojew. kijowskiego, fundatorów i kolatorów tego monasteru. Przychylając się do tej prośby, Jan III. postanowił „dobra monastyrskie, które przodkowie ich na monaster św. mikulski kijowski nadali byli, to jest Szepieliczc, Ostapy, Litki, Mołoczki i Ostrów, daniny miodowej do tego monasteru św. mikulskiego należące, którego (tak) ucziwy

Żeliszkowie, mieszczanie nasi owruccy zażywają, Wielebnemu Klemensowi Domarackiemu, Archimandrycie owruckiemu, dla osobliwej jego ku nam i całej Rzpltej przysługi, dać i konferować. Jakoż niniejszym listem naszym — czytamy dalej — jeżeli insze jakie prawa albo przywileje od nas albo Najjaśniejszych antecessorów naszych, królów polskich possesorów *juste et legitime* nadane *non obstat* ze wszystkiemi *in genere et speciae* (tak) gruntami, polami, sianożęciami, uroczyskami, ostrowami, otczynami, lasami, borami, stawami, rzekami, jeziorami, sadzawkami, młynami na nich będącemi, karczmami, poddanymi, ich czynszami, daninami, robociznami, powinnościami i przynależnościami, zdawna do tychże dóbr Archimandryi owruckiej nadanych i przyłączonych należącemi, dajemy i konfirmujemy aż do ostatniego życia jego kresu.“

August II., przychyliwszy się do supliki Steckich, Trypolskich Pawszów, Surynów, kolatorów i patronow monasteru owruckiego, d. 20. sierpnia 1698 r. we Lwowie, na prośbę Ojca Klemensa Domarackiego, archimandryty owruckiego, wydał nietylko akt konfirmacyi powyższego nadania, lecz nadał jeszcze archimandryi owruckiej dobra Zubkowicze, Zubrowicze i Zarzewicze „w dyspozycyę i aktualną posessyę wielebnego Ojca Domarackiego“ dożywotnie. W roku zaś 1726 d. 18. listopada August II. potwierdził przywileje i nadania Jana III., jakoteż własne z roku 1698 na imię Andrzeja Bienieckiego, archimandryty owruckiego, i jego „sukcessorów“.

Gdy rząd Rzpltej w krytycznej chwili zażądał finansowego współudziału podatkowego od duchowieństwa, opactwo owruckie przedstawiło w r. 1789 sumaryusz trzyletniej intraty z dóbr posiadanych. Sumaryusz ten objął całość dobr, w posiadaniu OO. Bazylianów będących, daje przeto dokładne pojęcie zarówno o ich zamożności, jak i o intratności gospodarstw w pasie poleskim położonych. Z tego sumaryusza biorę liczby przeciętne za lat trzy. Jakkolwiek szczegóły, składające się na te liczby, są bardzo ciekawe, gdyż dają pojęcie nietylko o cenach współczesnych dzierżawy, jakoteż rożnych produktów codziennego użytku, mogłyby być zatem przyczynkiem do charakterystyki życia owoczesnego, jego warunków i cech, muszę je opuścić. Zajęłyby mi one zbyt dużo miejsca, a w każdym razie nieproporcyonalnie dużo w stosunku do głównego tematu mojej pracy.

Większa część dóbr, należących do Archimandryi owruckiej, była we własnej administracyi. Dowodzi to chyba, że Ojcowie Bazylianie chętnie trudnili się gospodarstwem, acz mozolnem i mało rentownem na Polesiu. Dodać muszę, że grunta, będące w ich po-

siadaniu, nie były jeszcze ku końcowi XVIII. wieku wymierzone - nigdzie przynajmniej nie są podane obszary folwarków i wsi wydzierżawionych, a tam, gdzie wypadło bliżej posiadanie określić, zadowalano się — jak obaczymy — wskazaniem granic i liczbami bardzo, że tak powiem, elastycznemi.

Przejdźmy teraz do rachunków.

I. Dochody z klucza Szepielickiego wynosiły:					
	ze wsi Szepielic nowych	złot. pol.	2544	groszy	$4\frac{2}{3}$
	„ Koszarówki	„	980	„	$28\frac{1}{2}$
	„ Bieniówki	„	1523	„	$12\frac{1}{3}$
	„ Szepielic starych	„	1495	„	$28\frac{1}{3}$
	„ Czystohałówki	„	1507	„	$4\frac{1}{2}$
II. Dochody ze wsi Pohonnego		„	261	„	$5\frac{2}{3}$
	ze wsi Druniek	„	302	„	$21\frac{1}{3}$
	„ Mołoczek	„	371	„	$\frac{2}{3}$
III. Dochody z Rudni Sahanu		„	106	„	—
	ze wsi Bodaszu	„	28	„	—
	„ Denisowicz	„	922	„	18
	„ Rudek	„	371	„	17
IV. Oprócz tego do parafii owruckiej należały następujące wsie:					
	Łukiszki	złp.	333	groszy	16
	Kiedany	„	134	„	24
	Jelatycze	„	134	„	24
	jakoteż Jurydyka podklasztorna	„	248	„	23
	z parafii wielednickiej część wsi				
	Bielca	„	345	„	18
V. Dochody ze wsi Litek		„	403	„	$17\frac{1}{3}$
	„ Radohoszczy	„	327	„	$12\frac{2}{3}$
	„ Ostapów	„	824	„	11
VI. Dochody ze wsi Zubkowicz		„	2190	„	$20\frac{1}{3}$
	„ Zubrowicz	„	1508	„	$\frac{2}{3}$

Niezależnie od kompleksów gospodarskich, które zebraliśmy w osobne grupy, znaczone liczbami łacińskiemi, opactwo owruckie miało jeszcze ogromne — stosunkowo do intraty z gospodarstwa wiejskiego — dochody z arend, czyli, mówiąc po prostu, z karczem.

Karczmarze, żydzi oczywiście, występowali tutaj w roli pośredników handlowych i dostarczycieli wszelkich produktów spożywczych, jakich tylko od nich klasztor potrzebował. Od wina i mięsa aż do owsa dla koni dostarczali klasztorowi. Z tego wynika, że umówiona suma intraty była tylko nominalną. Notowali ją z sumienności mnisi, ale skrupulatnie odliczali to wszystko, co w ciągu roku wzięli, redukowali na cenę bieżącą i odtrącali od sumy umówionej, a w ten sposób zmniejszoną intratę wstawiali jako pozycyę dochodową. Nie potrzebuję dodawać chyba, że rachunek taki był błędny, bo gdyby pobożni Ojcowie wybrali całą intratę z arendy w produktach, według ich rozumowania arenda nie przynosiłaby żadnego dochodu. Zresztą bogato uposażonym Ojcom Bazylianom chodziło w tym wypadku nie o to, ażeby najprawdziwszy możliwie zrobić rachunek swoich dochodów, ile o to, ażeby najmniejszy wypłacić procent na rzecz i na potrzeby skarbu publicznego. Brakiem obywatelskiego poczucia grzeszyli, niestety, nietylko Ojcowie Bazylianie pod koniec XVIII. w.

Oto dochód z arend przedstawiał się w ten sposób — po potrąceniu rozmaitych naturaliów:

Z klucza szepielickiego mieli	złot. pol.	6619	gr.	10
Z dóbr Pohonnego, Drunick i Mołoczek .	„	610	„	—
Z arendy Denisowskiej	„	680	„	—
Z propinacyi karczmy Podklasztornej .	„	783	„	$29^2/_3$
Z arendy Lidkowskiej	„	489	„	—
„ Zubkowyckiej i Zubrowyckiej .	„	1824	„	—
Wyprzedzanie lnu z dworskiego przędziwa	„	104	„	10
Stróżowszczyzny	„	325	„	—

W powyższy sposób rachując, cała intrata z dóbr, należących do opactwa owruckiego w r. 1789, wynosiła 28.254 złot. pol. 17 groszy, a z sumy tej skrupulatnie Ojcowie odliczyli na rzecz skarbu złp. 2825 gr. 13 i szelągów $1^1/_2$. Właściwie Bazylianie powinni byli zapłacić 20%. Na instancyę wszakże opata Józefata Ochockiego i licznych obywateli powiatu, komisya, wyznaczona do szkontrowania dochodów, mając na względzie, że OO. Bazylianie po skasowaniu Jezuitów wzięli w posiadanie po nich budynki klasztorne i szkolne, w których szkoły publiczne prowadzą, że w tych szkołach utrzymują własnym kosztem 5 profesorów i 7 uczniów szlacheckiego stanu, dzieci ubogich, zupełnie bezpłatnie, przychyliła się do wyznaczenia Bazylianom tylko 10% na rzecz skarbu.

Tak rzeczy stały aż do ostatecznego rozbioru Rzpltej. Jaki był całkowity majątek i uposażenie OO. Bazylianów wówczas — nie wiemy dokładnie. Powiat owrucki w całkowitym dawnym składzie już do województwa kijowskiego nie należał. Posiadamy ścisłe daty tylko do tej części ich posiadłości, która się znalazła w powiecie radomyślskim, nowoutworzonym, a opisaną została na mocy reskryptu księcia Kurakina, „inne zaś — powiada opisywacz — acz są wyrażone w prawach konfirmacyjnych przez królów i prawach nadawczych prawem funduszowem, z których jedne należą do gubernii wołyńskiej, drugie do gub. mińskiej, więc w tabeli nie wyrażają się.“

Posiadlosci te były następujące:

	dworów chłopskich	mężczyzn	kobiet	intrata
W Szepelicach nowych	78	273	242	2411 zł. 23 gr.
W Rudni Sahan . . .	9	30	30	74 „ — „
W Szepielicach starych	45	134	125	1505 „ 29 „
W Bieniówce	38	153	133	1519 „ 25 „
W Czystohalówce . .	64	233	180	1491 „ 20 „
W Koszarówce . . .	23	69	57	912 „ 16 „
W Denisowiczach . .	23	60	71	922 „ 18 „
W Rudkach	12	34	40	371 „ 17 „
Razem	292	986	878	9209 zł. 28 gr.

Oprócz tego mieszkało w tych wsiach lub karczmach, do nich należących, 12 żydów i 9 żydówek. We wsiach powyższych z wyjątkiem Rudni Sahańskiej było 6 gorzelni, 6 karczem wjezdnych, trzy młyny grobelne i dwa na łodziach.

Jaki obszar obejmowały te posiadłości — także nie wiemy, jak nie wiedzieliśmy o innych. Wiemy tylko, że Szepielice nowe leżały nad rzeką Prypecią, Koszarówka i Bieniówka nad jeziorem Głuszycą zwanem, które łączyło się z Prypecią. Położenia innych wsi nie określono bliżej. Ludność tych wsi „zdawna zabudowanych“ w większej części trudniła się przemysłem, głównie chadzała „na płytach“ na Ukrainę i najmowała się na parobków majdannych, zapewne do potaszu i węgli, gdyż z tej pracy miała większy pożytek niż z uprawy „własnej“ roli. „Dobra te wszystkie — piszą Ojcowie — mają gruntu rozległości na mil trzy“ — oto jedyna głucha i niewyraźna wskazówka co do obszaru. Ziemi do uprawy nie więcej wszakże było, „jak na trzy ćwierci mili“, reszta zaś pod lasami, błotami, bagnami, piaskami i mchami zajęta, które żadnego

nie przynosiły pożytku. Lasów, jakkolwiek było dużo, „nie są jednak zdatne na budowlę korablową“ — uskarżają się Bazylianie.

Wsie powyższe były w posiadaniu klasztoru od dawnych czasów, nadane przez fundatorów Romanowiczów, Surynów, Pawszów i Trypolskich w r. 1522 wiecznymi czasy monasterowi owruckiemu, a aprobowane i konfirmowane przez królów polskich, to jest Zygmunta w r. 1531, Jana III. d. 11. sierpnia 1691 r., Augusta Wtórego 20. sierpnia 1698 r. Z dokumentów, które mieliśmy pod ręką, przytoczyliśmy extrakt tylko z ostatniego.

Powinności włościan, do tych wsi należących, były wcale nie uciążliwe: każdy gospodarz odbywał tygodniowo dwa dni pańszczyzny, a płacił 2—3½ złp. rocznie.

Opactwo owruckie, mając w dziedzicznem władaniu te dobra, posiadało „dwóch opatów, uprzywilejowanych przez królów polskich, z których jeden, X. Józef Stroynowski, dobrami i klasztorem zarządzał, będąc uprzywilejowany do tego rządu przez Stanisława Poniatowskiego.“ Utrzymywał także szkoły publiczne, szpital ubogich, konwikt dla biednych 20 młodzieńców, zostających bez żadnego sposobu do życia, zgromadzenie księży, osób 13, profesorów czterech, udzielających nauki młodzieży synom obywatelskim.

Takie było materyalne uposażenie i takie obowiązki publiczne Bazylianów owruckich.

(Ciąg dalszy nastąpi).

FR. RAWITA - GAWROŃSKI.

HISTORYA MALARSTWA
NA PÓŁNOCY I W HISZPANII.

(Ciąg dalszy).

W Harlemie pracował Jan Mostaert (1480? — 1550). I u niego odzywa się germańska skłonność do karykatury, był to jednak malarz wcale różny od Boscha. W Trybunie florentyńskiej Galeryi Urzędów *(dei Uffici)* zwisł jego Chrystus w ciernowej koronie, szlachetny, piękny, smutny, odmalowany w gorących barwach, nasyconych misternemi cieniami; otaczają go kaci, którzy mu złorzeczą, którzy się zeń naigrawają i z których Mostaert zrobił śmieszne karykatury, darząc ich niemożliwą, dziecinną, cielesną brzydotą.

Nie znamy nazwiska największego z tych Holendrów, a jest tylko rzeczą możliwą, że pochodził z Harlemu i że się nazywał Jan Joest. Wiemy o nim na pewne, że pracował około r. 1515 w Kolonii, a znany jest w historyi sztuki pod nazwą Mistrza od Uśpienia (po niemiecku *Meister vom Tode Mariä).* Otrzymał tę nazwę nie po najlepszym obrazie, tylko po obrazie, który najpierw wyróżniono, a który się znajduje w Starej Pinakotece monachijskiej. Jest to kompozycya rodzajowo pojęta; postacie w niej jeszcze kańczasto rysowane, dość grubo malowane; barwa ceglasta we wszystkiem przeważa, najlepszemi są perspektywa pokoju i drobne szczegóły. Rzecz po prostu przedstawia konanie kobiety, chrześcijanki; leży w łóżku, kołdrami przykryta, a widziana w śmiałem skróceniu, bo łóżko nogami do nas zwrócone: ksiądz i służba kościelna odbywają przy niej obrzędowe czynności, przepisane przy konaniu chrześcijanina. Ta kobieta to Matka Boska, ci duchowni to apostołowie.

Zupełnie podobne, rodzajowe, dość słabe obrazy tego samego pęzla można widzieć w niejednem miejscu: można także dostrzedz jak mistrz wyrabiał się, szlachetniał i wreszcie stanął na równi prawie z Massysem, któremu przecie nigdy w zupełności nie sprostał

W Muzeum neapolitańskiem można oglądać dwa nierównie już lepsze i już wcale nie rodzajowo pojęte obrazy mistrza: Ukrzyżowanie pełne figur, gotyckich jeszcze i do zbytku w czerwone szaty przyobleczonych, ale już pełnych wdzięku i wyrazu; a potem Matkę Boską odbierającą hołd trzech króli. Tu już Madona o rysach wyraźnie germańskich, dość blada i blade dziecko mają typ — bądź co bądź bardzo pociągający — choć wcale nie klasycznie piękny Madon i Chrystusików bezimiennego mistrza; tu już pochyla się śliczne ciałko Chrystusowe ku jednemu z trzech króli z wdzięcznym ruchem, temu tylko mistrzowi właściwym, a włosy płowe, rozpuszczone Maryi, spływając na jej szaty, rozchodzą się wreszcie na drobne złote niteczki, których niezmiernie subtelne malowanie znowu Mistrzowi od Uśpienia jedynie właściwem bywa.

W Muzeum Prado w Madrycie klęczy taka sama Marya o niezmiernym wdzięku i trzyma takie samo dziecko, miękko wygięte a bawiące się cudnie wykonanym łańcuszkiem korali. Druga Madona, także klęcząca, a z rozpuszczonemi arcymisternie włosiętami karmi Dziecko Boskie, patrząc przy tem na nie z miłością nieopisaną. Takich Madon znajdziesz na świecie więcej, jaśniejących czasem wiośniana dziewiczą barwą, zawsze uroczych, namacalnych; jedna z nich zdobi Muzeum książąt Czartoryskich w Krakowie. Często, ale nie zawsze, odmalował przy nich Mistrz cytrynę przeciętą i nożyk, jakby swój podpis, który także rad na innych mieści obrazach; często przyjmują hołdy wspaniale wystrojonych trzech króli, jakto dwa razy możesz widzieć w drezdeńskiej Galeryi, na jednym mniejszym a drugim znacznie lepszym większym obrazie.

Ale arcydzieło naszego malarza zdobi Nadworne Muzeum wiedeńskie. Jest to tryptyk, na którym odmalowano Maryę z rodziną nieznanego nam z imienia fundatora, istne cudo subtelnego, drobnostkowego, niederlandzkiego malowania, owianego pełnym duchem renesansu, łączącego największą wytrawność rysunku i pędzla z pięknością linii i z poezyą dziecinnej baśni.

Na środkowym głównym obrazie siedzi Madona z dzieckiem na tronie, przed wspaniałym łukiem renesansowym. I u matki i u dziecka twarz zbyt blada, ale pełna miękko miłościwego wyrazu, a wykonanie rąk, włosów i szat Maryi i ciałka nagiego Chrystusika na największy zasługują podziw. Niezrównanym dalej jest staruszek o ogolonej dość otyłej twarzy, zapewne ojciec fundatora tryptyku. Siedzi sobie na niskim stołeczku, w czarnej szubie i trzyma w pomarszczonych rękach książkę, na której kartki policzysz; przy nim leżą drewniane chodaki, a Jezusik uśmiecha się do niego dziecinnie, a jednak ro-

zumnie. Nie piękny, blady, kędzierzawy anioł w białej, błękitnawej, długiej szacie przylatuje, niosąc dla Chrystusika na talerzyku wiśnie Trudno opisać niezrównaną dokładność, z którą tu wszystkie odmalowano przybory i drobnostki, a zielony krajobraz w głębi pachnie wiosną. I na ten krajobraz możesz patrzyć długo, a odróżnisz i góry i gaje drogi, pola, domy i różnych pieszych i konnych przechodniów.

Piękniejszemi jeszcze od głównego obrazu, któremu przecie bladość świętych postaci przeszkadza, są dwa skrzydła tryptyku; na obydwóch ciągnie się dalej ten sam cudowny, zielony, słoneczny krajobraz. Na lewem skrzydle klęczy donator, mąż chudy, twardy, śniady, w czarnej sukni, a za nim stoi św. Jerzy, niezrównany rycerz, w połyskującej cudownie zbroi. Na prawem skrzydle klęczy żona donatora, także czarno ubrana, poważna, szczupła, z czepcem na głowie, a za nią stoi przecudnie hoża, bosko uśmiechnięta św. Katarzyna w sukni haftowanej złotem, która sama już jest cudem malarstwa. I sukno na szatach klęczących donatorów tak namalowane, że się namacalnem wydaje, i w otwartych modlitewnikach zda ci się, że możesz czytać słowa, a twarze donatorów i ręce takie, że przypisałbyś je rad Holbeinowi.

Nadmienię jeszcze, że brano niegdyś w sposób dla mnie zupełnie niezrozumiały obrazy Mistrza od Uspienia za dzieła Dürera i że późniejsza ręka namalowała na wielu z tych obrazów monogram wielkiego norymberskiego malarza. I dziś Niemcy chcą z naszego mistrza koniecznie zrobić Niemca: gdyby nie to, zgodzonoby się pewno od dawna, że nazywał się Jan Joest i że żył w Harlemie.

Młodszym o wiele był sławny znów rytownik, Łukasz Jakobsz z Leydy, zwany pospolicie Łukaszem z Leidy, z włoska Luca di Leda. Rycinom głównie zawdzięczał sławę, a przypisywano mu długo różne obrazy innych niederlandzkich mistrzów. Sam malował często na płótnie, a zawsze blademi, suchemi farbami, — nie był przeto wcale kolorystą. Także jego arcydzieło znajduje się w Wiedniu, a mianowicie w Akademii i wyobraża Sybilę z cesarzem Augustem. Wśród ulic dziwnego, średniowiecznego miasta ukląkł staroniemiecki, płowy, kędzierzawy, brodaty cesarz w bogatym stroju, a podobnie strojna średniowieczna dama stoi nad nim i pełna świętego zapału pokazuje mu zjawioną w niebie Bogarodzicę z dzieckiem. Jeszcze trzech dworzan patrzy na to widzenie, stojąc dokoła cesarskiego niemieckiego sztandaru, a chart leży na pierwszym planie po środku obrazu. Barwy są blade, postacie przedługie, ale jednak poezya szczera, rycerska, wierząca średnich wieków przemawia potężnie z tego płótna

Trzecią grupę tworzą malarze francuskiej mowy, którzy się jednak po największej części pod burgundzkiem berłem w Belgii rodzili. Jan Gossart, zwany pospolicie Mabuse, rodem z Henegawii, podróżował po Włoszech, pracował najwięcej w Besançon, usiłował naśladować Leonarda da Vinci, jednak psuł swoje kompozycye niespokojnem fałdowaniem szat i niesmacznem przeładowaniem architektonicznego tła.

Większe miał znaczenie Joachym Patenier z Dinant, który już w roku 1524 umarł w Antwerpii, a znaczenie jego pochodzi ztąd, że podobnie, jak Altdorfer w Niemczech, Giorgione i Previtali w Wenecyi, kładł nacisk na krajobraz, a ludzkich postaci używał jako sztafaży. Najlepszy może, z pewnością najbardziej charakterystyczny jego obraz znajduje się znów w Nadwornem Muzeum wiedeńskiem, a wyobraża Chrzest Chrystusów. Dość okrągło rysowane a z pewnością włoski wpływ zdradzające postacie biblijne stoją wprawdzie na pierwszym planie, ale oko widza goni w dal wzdłuż błękitnej Jordanu strugi, płynącej przez niemożliwie rozszarpane, nagie, niepiękne skały.

Milsze są krajobrazy Henryka de Blès, rodaka Patenier'a. Są to jednak jeszcze zupełnie staroniederlandzkie góry, gaje i łąki, przerywane fantastycznemi architekturami, a na pierwszym planie tłoczy się często mnóstwo drobnych, przedługich, kańczastych postaci w barwnych szatach, — jak to ujrzysz najlepiej na Hołdzie trzech króli w Pinakotece monachijskiej.

Franciszek Clouet wreszcie, z przezwiskiem Janet (1510?—1571), był rodowitym Paryżaninem i nadwornym królów francuskich malarzem. Doszły rąk naszych tylko rzadkie jego portrety i nie w Paryżu, tylko w Wiedniu można go poznać najlepiej; wiedeńskie bowiem Muzeum Nadworne posiada wizerunek Karola IX. w wielkich rozmiarach a w opiętej, jedwabnej francuskiej odzieży, na którym poznasz, jak Clouet malował subtelnie a sumiennie z lekka zielonemi barwami twarze i ręce. Widziałem niegdyś w Warszawie większe i bardzo ciekawe i subtelne Clouneta dzieło, w którem król francuski Henryk II. wraz z żoną, metresą i dziećmi występują jako św. Józef, Matka Boska, Marya Magdalena, Chrystusik i św. Janek. Obraz, modelowany przecudnie, zdradza wyraźny wpływ włoski; całość ułożona klasycznie i klasyczne są postaci draperye; tylko portretowe, nieidealizowane głowy dość dziwne robią wrażenie.

Wyżej wypada podobno postawić innego portrecistę, Mikołaja Neuchatel z Mons (1510?— 1584). Płynnym, świetnym kolorytem tworzył portrety naturalnej wielkości, uderzające prawdą i cha-

rakterystyką. Jakby żywi występują w Akademii peszteńskiej: młoda, przystojna kobieta i mąż brodaty w sile wieku, we wspaniałe, barwne, renesansowe szaty przyodziani. Do najznakomitszych portretów, jakie istnieją, należy przechowany w starej Pinakotece monachijskiej portret matematyka Neudörfera. Stary to, suchy jegomość o orlim nosie: w czarnej odzieży zasiada wraz z kilkunastoletnim synem przy stole i wykłada rozumnie słuchającemu chłopcu naturę dwunastościanu. Trudno o bardziej żywe głowy i wyrazy; nawet żylasta ręka starca uczy; widać, jak ojciec tem zajęty, co wykłada, a syn tem, co słyszy. Choć Neuchâtel nic nie podobny do Holbeina, przezwano go nie bez słuszności francuskim Holbeinem, jeśli miano na myśli wartość portretów. Tylko, że zamiast siły dziwnej rysunku, modelowania, kolorytu, zamiast idealizowania charakterów, znajdziesz u Neuchâtela płynną, świetną prawdę i rozmaitość. Dzieł jego jest mało, a nie masz ich dziwnym sposobem ani w Luwrze, ani w brukselskiej galeryi. Tłomaczy się to tem, że Neuchâtel spędził większą część życia to w Pradze, to w Niemczech, gdzie jego imię przekręcono na Lucidel.

Francuzi zawiedli nas już głęboko w drugą szesnastego wieku połowę. Był to w Niederlandach, podobnie jak we Włoszech i w Niemczech, czas naśladowców Rafaela i Michała Anioła. Wymienię pomiędzy nimi tylko imiona Strangera, Florisa, Coxie'go i Josta von Wingen i powiem, że malowali mnóstwo utworów zimnych a przeładowanych, w których germańska ciężkość, germańska drobnostkowość i germański realizm szpeciły tylko jeszcze manieryzm epoki, malującej na pamięć i nie patrzącej w naturę a tylko w źle zrozumiane wzory. Jednak trafiały im się czasem dobre obrazy; i tak Florys dał obok kaskad dyabłów i potępionych, które dziś nikogo nie zajmą, spokojne drezdeńskie Boże Narodzenie z sielankowymi pasterzami z włoskiej komedyi. Coxie odmalował silnie i po prostu Adama i Ewę wypędzonych z raju, których w wiedeńskiem Muzeum Nadwornem oglądać możemy. Jost v. Wingen stworzył piękną Dianę, która spoczywa w peszteńskiej Akademii, wśród leśnej dziedziny swojej, jaśniejąc pięknością nagich kształtów; twarde nimfy o pięknych twarzach stoją przy niej, a satyr, do szekspirowskiego podobny Kalibana, ubitą przynosi zwierzynę.

Istotniejsze znaczenie w dziejach sztuki niederlandzkiej posiadali współcześni portreciści, tudzież zwiastuny nowych w sztuce kierunków, pejzażyści i malarze rodzajowi, którzy zaczęli podówczas występować całkiem samodzielnie.

Obok wymienionych już Francuzów zasłynęli pod koniec stulecia jako portreciści Antoni Mor i rodzina Pourbusów.

Antoni Mor, z Utrechtu, bywał w Rzymie i w Madrycie na dworze Filipa II., a umarł w Antwerpii w sile wieku w r. 1578. Malował zazwyczaj portrety swoje w czarnej odzieży, a twarzom nadawał barwę gorącą a prawdziwą i wyraz potężny. W madryckiem Muzeum Prado patrzy na nas królowa Marya Tudor niewzruszonem wejrzeniem; w Muzeum w Hadze odznacza się siłą Holbeinowską prawie portret złotnika, ubranego wyjątkowo w barwną odzież renesansową.

Z Bruggii pochodziła rodzina Pourbusów. Dziad Piotr urodził się w r. 1510, a miał syna Franciszka i wnuka, znów Franciszka, który umarł w r. 1620 (?). Malowali także obrazy religijne, w których szli za zmienną czasów modą; z zawodu byli dobrymi, ale nieco zimnymi portrecistami.

Z Malines pochodziła rodzina Valkenborgh, której głowa Łukasz urodził się około 1540 r., a umarł w bardzo późnym wieku w roku 1622. Miał brata Marcina i syna Fryderyka, a włóczył się całe życie po Bożym świecie. Najwięcej krajobrazów, wykonanych przez tę rodzinę, posiada Nadworne Muzeum wiedeńskie. To podobno pierwsze zupełnie samoistne krajobrazy, w których nie ma wcale postaci ludzkich, albo w których ludzie się gubią w głębi, i żadnych scen biblijnych lub mitologicznych nie wyobrażają. Rzecz dziwna, wiele krajobrazów rozkosznych podziwiamy w głębi obrazów dawniejszych, włoskich, niemieckich, niederlandzkich, a w chwili, w której krajobraz wraz z Valkenborghami usiłuje wystąpić samodzielnie, wydaje się, że to sztuka, pozostająca jeszcze w dzieciństwie. Panoramicznie rozciągają się przed nami zimno zielone doliny górskie, ponad któremi zwisło jednostajnie szare niebo, a nic nie przenosi nas bezpośrednio na łono przyrody, żadna gra świateł i cieni nas nie zachwyca; cieszymy się tylko bajeczną subtelnością, z którą odmalowano każdą gałązkę, każdy listek prawie na mikroskopicznych drzewach, choćby na tych, które są gdzieś w głębi obrazu. Świat przedstawia się tak, jakby był widziany przez perspektywę, a na obraz możesz bezpiecznie patrzyć przez lupę. Dzieło to wreszcie martwej cierpliwości.

Także to samo wiedeńskie Muzeum Nadworne posiada najliczniejsze i najbardziej charakterystyczne obrazy trzech Piotrów Breughelów, zwanych chłopskimi Breughelami, znów dziada, ojca i wnuka. Najdzielniejszy z nich dziad urodził się około roku 1530, wnuk żył daleko w głąb siedemnastego wieku, nie odstępując w ni-

czem od prymitywnej maniery dziada, mimo że wówczas sztuka ojczyzny Breughelów Antwerpii do najwyższego doszła rozkwitu i święciła klasyczną swoją dobę. Piotr Breughel starszy jest twórcą malarstwa rodzajowego, zupełnie samoistnego, tak samo, jak Łukasz Valkenborgh stworzył samoistny krajobraz. Bywało nieraz pierwej, że malowano i we Włoszech i na Północy obrazy rodzajowe, nieraz bardzo dzielne, ale wydawano je za sceny biblijne. Trafia się to czasem także Breughelom, ale rzadko, a jeśli biblijną scenę malują, korzystają z tego, aby panoramicznie wyprowadzić poprzed widza rzesze różnie scharakteryzowanych ludzi, przechadzające się pośród archaicznego krajobrazu; wtedy stąpają Breughele jeszcze zupełnie po tradycyjnych torach i choć nie dorównywają w niczem Memlingowi i choćby Altdorferowi, tworzą przecie obrazy wielce zajmujące, jak na przykład w Wiedniu Budowa wieży babilońskiej i Dźwiganie Krzyża. Na tych już obrazach dostrzeżesz jednak z zadziwieniem, że miejsce niederlandzkiej subtelności zajęła u Breughela powierzchowna pospieszna robota; kontury są grubo naznaczone, barwy nieprzyjemnie jaskrawe, zaniedbano zupełnie modelowania i cieniowania. Wszystko się rusza, widać niezawodne dowody talentu skłonnego do karykatury, ale trafiają się często bardzo grube błędy rysunku i wszystko robi wrażenie jakiegoś dużego, bardzo ordynaryjnego olejodruku. Te wszystkie wady występują jeszcze wybitniej tam, gdzie Piotr Breughel szczerze już rodzajowe maluje obrazy, maluje rubasznie karykaturę chłopskiego życia, grubą szkaradną przekupkę, chłopów głupio uśmiechniętych a haniebnie rysowanych, choć przecie mających znamię życia, bójki karczemne, albo Flamandów niezgrabnych, ślizgających się zimą po lodzie wśród jaskrawo i ciężko naszkicowanego krajobrazu. A czasem puści wodze wyobraźni dzikiej, idącej w ślady Bosza, i w dużych rozmiarach nasmaruje jaskrawo niemożliwe maszkary, jak na przykład w tak zwanym „Wiedeńskim Karnawale". — Tak jak Valkenborghi, tak i Piotry Breughele mają tę zasługę, że wyszukali nowe dla sztuki drogi; mieli talent, nie stworzyli jednak obrazów, któreby zasługiwały na miano pięknych dzieł sztuki. Piotr zwłaszcza Breughel produkował tanio a obficie dla potrzeb ludzi mniej subtelnych, których bawił. Bywał też bardzo pilnym i płodnym rytownikiem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wojciech Dzieduszycki.

NOWY SĄCZ
W EPOCE WAZÓW.

(Ciąg dalszy).

Rozdział V.

Duchowieństwo. — Szkoła. — Zakłady dobroczynne.

W epoce Wazów zdobiło miasto Nowy Sącz 7 kościołów, obsługiwanych przez duchowieństwo tak świeckie, jako i zakonne. W samem mieście, w obrębie fortecznych murów, znajdował się klasztor Franciszkanów fundacyi króla Wacława czeskiego jeszcze z roku 1297, dalej opactwo Premonstratensów czyli Norbertanów, wzniesione i wyposażone przez Władysława Jagiełłę w roku 1409, wreszcie kollegiata, dźwignięta hojnością Zbigniewa Oleśnickiego w r. 1448. Inne zaś 4, skromniejsze rozmiarem kościoły: św. Wojciecha, św. Mikołaja, św. Krzyża i św. Walentego, stały na przedmieściach [1]). Kollegiatę składali 4 prałaci, 4 kanonicy, z których jednak większa część mieszkała stale na swych probostwach w Sandeckiem, i 8 wikarych. Dość spory zastęp swych członków liczyły również zgromadzenia zakonne. Wizyta kanoniczna kardynała, Jerzego Radziwiłła, wymienia w r. 1597 u Norbertanów 6 kapłanów, a u Franciszkanów 10 zakonników [2]). Widzimy z tego, że ducho-

---

[1]) Te wszystkie przedmiejskie kościoły, zniesione pod koniec XVIII. wieku, odległej sięgały starożytności. I tak o kościele św. Wojciecha posiadam pewną, na dokumentach opartą wiadomość już w roku 1305. — Przy kościele św. Mikołaja mieszkali pierwotnie przez czas jakiś OO. Norbertanie w r. 1409. — O kościele św. Krzyża wspominają akta miejskie w latach 1499 i 1535 — O kościele szpitalnym św. Walentego najdawniejszą wzmiankę napotykam w roku 1541, lecz istniał on niezawodnie już pod koniec XV. wieku skoro w roku 1490 stał już szpital trędowatych (leprosorum), którzy przy kościele św. Walentego „trans portam hungaricalem in suburbio majori“ po wszystkie czasy, jak skądinąd wiadomo, odprawiali swe nabożeństwa. — Rozebrano również do szczętu wspaniały kościół Franciszkanów po r. 1789.

[2]) Archiw. kapitulne przy katedrze krakow. ks. IX. in fol.

wieństwo sandeckie przy swem wyższem wykształceniu, przy duchu ogólnej pobożności w narodzie XVII. wieku, zwłaszcza od chwili rozstrzygnięcia zwycięstwa katolicyzmu nad różnowierstwem, cieszyło się wielkiem znaczeniem i szacunkiem w mieście. Stąd owa nabożność, owa ofiarność dla kościołów, przedewszystkiem zaś dla kollegiaty, ten bowiem kościół należał do tych słynnych świątyń, ku którym zwracała się szczególnie hojność i ofiarność zamożnych mieszczan i szlachty. Oprócz głównej obszernej nawy, mieścił w sobie 8 pobocznych kaplic i ogółem 14 ołtarzy, każdy zaś ołtarz i kaplica wyposażone ofiarnością mieszczaństwa i szlachty. Bywało też w nim pełno modlących się, co w pokorze ducha, przejęci uczuciem nicości swej wobec Boga, padali krzyżem na zimne posadzki głazy, pod którymi leżały prochy ojców i dziadów, odpoczywających w Bogu snem wiecznym. W owych bowiem czasach pełno było trumien w sklepieniach grobowych, a kościół stał dosłownie na kościach wiernych swych wyznawców [1]). Do tego dawniej większa u ludzi bywała pobożność, więc trudno było myśleć lub mówić w kościele o marnych zbytkach, kiedy się czuło rodzicielskie prochy pod swemi stopami, a myśl mimowolnie tonęła w pośmiertnych wspomnieniach.

Odwzajemniając się za hojność i ofiarność duchowieństwo mieszczaństwu, obchodziło z wielką okazałością uroczystości kościelne, zwłaszcza w kollegiacie. Msza wielka z wystawieniem Najśw. Sakramentu odbywała się przy huku kotłów i dźwięku muzyki, a kantor zawodził w licznem zebraniu śpiewaków. Cechy klęczały z chorągwiami i światłem, a w formach radzieckich czyli stallach modliła się starszyzna miejska. Tak bywało co niedziele i święta według kanonów kościelnych.

Lecz i miasto w pewnych czasach chwaliło Boga uroczystemi wotywami. Najuroczystszą była wotywa wyborcza w dzień św. Agaty (5. lutego), zwłaszcza jeżeli pan starosta grodowy osobiście wyborom przewodniczyć raczył. Lecz i w jego nieobecności zwykle było grono szlachty, z ramienia jego zesłanych lub dobrowolnie przytomnych. Z chorągwiami i światłem uroczyście szli z ratusza do kollegiaty i napowrót, a panowie szlachta i starszyzna miejska nieśli pstro malowane świece. Prócz tej wotywy były jeszcze inne kwartalne: na

[1]) Przy wszystkich kościołach sandeckich, wymienionych powyżej, grzebano umarłych aż do roku 1784. Matrica vel consignatio sepultorum in insigni ecclesia colleg. sandec. an. 1777—1784. — Przy kopaniu fundamentów pod kamienicę obok kościoła farnego w lipcu 1897 r. wydobyto ogromne stosy kości umarłych, które przewieziono na cmentarz.

św. Trójcę, św. Małgorzatę, św. Marcin i św. Łucyę; a dnia 19 czerwca odbywała się wotywa w rocznicę pogorzeli miasta w r. 1611

Tak zwane 40-godzinne nabożeństwa odprawiały się u fary Franciszkanów i Norbertanów, a cała starszyzna miejska, z świa tłem w ręku klęcząc, śpiewała litanie. Takie samo nabożeństwo od prawiało się podczas każdego sejmu. Od każdego dostawali księża na ofiarę. I tak w r. 1623 „muzyce, gdy 40 godzin odprawowano w kościele św. Ducha, na godzinę naszą będąc na nabożeństwie daliśmy 1 złp. 2 gr.“ — W r. 1641 podczas 40-godzinnego nabożeństwa w Zielone Świątki dano muzykantom i organiście ogółem we wszystkich 3 kościołach 5 złp. 18 gr., kantorowi 24 gr. — W r. 1647 „na litanią podczas 40 godzin odprawowania kantorowi i księżom farnym dałem 2 złp. 22 gr. 9 denar.“ — W r. 1648 kantor, co podczas 40 godzin litanię śpiewał, dostał 24 gr.; Ojcowie Franciszkanie 2 złp.; księża Świętoduscy [1]) 1 złp. 15 gr. Za świece, które dawano panom rajcom z kościoła, płacono zwykle kilkanaście groszy. Tak n. p. w r. 1647 „na świece dla wszystkich panów podczas 40 godzin u św. Ducha, dałem 13 gr. 9 denar.“ [2]).

Prócz tych uroczystości były procesye w dzień św. Małgorzaty z kollegiaty, w dzień Narodzenia Matki Boskiej z kościoła Franciszkanów, w Zielone Świątki z kościoła Norbertanów, a w Boże Ciało przy udziale całego duchowieństwa świeckiego i zakonnego z kościoła kollegiackiego św. Małgorzaty. Jeżeli każdej uroczystości towarzyszyły bębny i trąby, to na obchody Bożego Ciała wszystko, co tylko mogło dodać okazałości, spoiło się z sobą. Całe miasto wyroiło się w najlepszych szatach. Cechy stanęły pod bronią z regimentarzem na czele, a działa i organki ponabijane zatoczono pod ratusz. Ołtarze przybrano w obrazy i firanki, drogi umajono brzeziną, uwieńczoną w kwiaty, a całą drogę, którędy obnoszono Przenajśw. Sakrament, wysadzono szpalerem drzew zielonych, zwykle z brzóz jedna przy drugiej, i wysypano szuwarem, na którym szczebiotała dziatwa wesoło i krzykliwie. Podczas obchodu „puszczał puszkarz strzelbę“ pod ratuszem, t. j. dawał ognia z muszkietów i dział, dobosze bębnili, trębacze trąbili, a regimentarz regimentował miejskiej piechocie. Jeśli możliwem było, zaciągano na tę uroczystość trębaczy i dobosza „dragańskiego“ lub innego wojskowego, a kantor zaciągał muzyków i śpiewaków, zaco wszyscy odbierali stosowne

[1]) Tak nazywano powszechnie Norbertanów, mieszkających przy kościele św. Ducha.

[2]) Distributa f. 502, 47, 34, 60—62, 35.

honorarya. I tak w r. 1626 „puszkarzowi, który puszczał strzelbę pod ratuszem na dzień Bożego Ciała w processyi, dano 1 złp.“ — W r. 1628 „w dzień Bożego Ciała dla ozdoby processyi i chwały Bożej, dało się porucznikowi, który regimentował pospólstwem, 2 chorążym, 2 bebenistom, 2 puszkarzom i trębaczom kontentacyi 3 złp. 7 gr.“ — W r. 1638 „trębaczowi, korneciście i puzanistom [1]) dwom, którzy w processyi w dzień Bożego Ciała grali, kontentacyi 1 złp.“ — W r. 1647 „dla trębaczów Imci pana starosty, którzy w processyą Bożego Ciała trąbili, dałem na miód 1 złp. 6 gr.; dla szyposzów Jegomości starosty w tenże dzień na miód 1 złp. 6 gr.; regimentarzom miejskim kontentacyi wedle zwyczaju pod tenże czas 18 gr.; kantorowi według dawnego zwyczaju 2 złp., bębeniście 12 gr.“ [2]).

W mniejsze procesye tylko sam bębenista przewodził, tak jak po dziś dzień po wsiach gdzieniegdzie. Musieli zaś ci bębeniści nie żałować rąk, bo po każdej prawie uroczystości nowemi skórami obciągano bębny i kotły i lutrowano śruby.

W Wielki Piątek i Wielką Sobotę stali przy grobie Chrystusowym w pysznych mundurach żołnierze starosty grodowego, a w Zmartwychwstanie Pańskie puszczali strzelbę, zaco dostawali od księdza proboszcza stosowne honoraryum. Tak n. p. w r. 1697 „żołnierzom, gdy stali przy grobie, na piwo z rozkazania Imci księdza proboszcza, 1 złp.; doboszowi za pracę na jutrzni Zmartwychwstania 1 złp.; czeladzi żołnierskiej, co strzelali na jutrzni, na beczkę piwa 8 złp. 20 gr.“ [3]).

Grano zaś i bębniono także na pasterską mszę, na św. Stanisław i Wniebowstąpienie Pańskie, Zielone Świątki i św. Małgorzatę. W r. 1625 „bakałarzowi i młodzieńcom szkolnym na obiad w Boże Narodzenie dano 15 gr., bo nie mieli co jeść i śpiewać nie chcieli.“ — W r. 1646 „muzyce szkolnej na Święta Wielkanocne, za pozwoleniem pospólstwa, 2 złp.; muzyce zaciągnionej na Zielone Święta 2 złp.; muzyce zaciągnionej przez kantora przez całą oktawę Bożego Ciała kontentacyi, za pozwoleniem pospólstwa, 2 złp.“ [4]).

Do chorego poprzedzało księdza dwóch chłopców w czerwonych kapkach, dla których istniał osobny fundusz. I tak w r. 1630 „od

---

[1]) Kornet z włoskiego cornetto, piszczałka z rogu, róg do trąbienia. Kornecista, grający na kornecie. — Puzanista, trębacz na puzanie czyli trąbie.

[2]) Distributa f. 84, 145, 250, 38.

[3]) Regestr. expens. eccles. colleg. sandec. an. 1697.

[4]) Distributa f. 69, 7—10.

dwóch kapek czerwonych, w których chodzą do chorych przed Najśw. Sakramentem, młodzieńcom szkolnym za kwartał według wyroku i przywileju króla Jegomości dano 24 gr." [1]).

Kościoły miewały własne instrumenta muzyczne. W r. 1657 Jędrzej Płakutowicz, tkacz, zapisuje w testamencie: „Wiolę nową swoją własną kościołowi do używania, także skrzypce dyszkantowe temuż kościołowi farnemu, aby ich do chwały Bożej używano, a nie przedano ani od kościoła oddalano. Leguje także skrzypce basowe i skrzypce złupane starsze do kościoła Franciszkanów do Oblicza Pańskiego" [2]). — O kapeli, istniejącej przy kościele kollegiackim, franciszkańskim i norbertańskim, wspominają zapiski i inwentarze z XVIII. wieku.

Duchowieństwo było też w wielkiem poszanowaniu u mieszczan. Począwszy od wizytatora dyecezyi aż do najmłodszego nowo wyświęconego kleryka, gdziekolwiek w towarzystwie ksiądz się pojawił, czczono go uniżonem słowem i gościnnością. Tak n. p. w r. 1638 „witając Jegomościa księdza sufragana krakowskiego [3]), który ołtarze w kościołach naszych poświęcał i ludzi przez kilka dni bierzmował, za łososia i wino *in rim honorarii* 14 złp. 24 gr." [4]). Podobnie kosztem miasta podejmowano biskupa krakowskiego, Andrzeja Trzebiekiego, w sierpniu 1659 r., jak notuje burmistrz, Stanisław Wilkowski: „Na przywitanie Jegomości księdza biskupa krakowskiego daliśmy na honoraryum za czterech szczupaków 7 złp. Dla pana Jana Marcowicza, który go witał, na półgarnca wina 1 złp. 15 gr."

Prymicye kapłańskie wszystkich księży rodem z Nowego Sącza starszyzna miejska odwiedzała oficyalnie; także prymicye księży, którzy byli bakałarzami w mieście. A zawsze dla gości, tak świeckich jako i duchownych, stawiano po kilka garncy wina według potrzeby [5]). Ulubionych księży zmarłych także przy winie żałowali panowie rajcy. Tak n. p. w roku 1649 na pogrzebie ks. wikarego, Tomasza Jędrysowicza, dobrze przez kilka lat zasłużonego miastu i kościołowi, wypito na wikaryówce 6 garncy wina za 14 złp. 12 gr. [6]).

[1]) Distributa f. 40.

[2]) Act. Scabin. T. 63. p. 751.

[3]) Był nim podówczas Tomasz Oborski, biskup laodycejski, sufragan krakowski.

[4]) Distributa f. 251.

[5]) Zobacz powyżej str. 62.

[6]) Distributa f. 82.

Nawet dyakon podróżny otrzymywał od panów rajców 12 groszy; chociaż i to prawda, że kiedy „przywędrował mistrz szerokiego rzemiosła, dała się mu powinność 12 gr.“

Po odzyskaniu niektórych plebanii i dochodów kościelnych z rąk różnowierców w Sandeckiem (1604 r.), duchowieństwo miejskie i wiejskie wzmogło się w dostatki, i niejedna setka złotych polskich szła na pożyczkę do Nowego Sącza W razie nieoddania długu nabywali tam księża własności nieruchome. I tak n. p. w r. 1633 ks. Jakób Wistalicki (*recte* Wystała z Proszowic), pleban ujanowicki, pożycza Jędrzejowi Fabrowiczowi, malarzowi, 175 złp., zapisując ten dług na domu i wólce, i wymawiając sobie wszelkie zwłoki prawne, choćby nawet listy królewskie. Upłynął czas, Fabrowicz nie płacił, więc ksiądz uzyskał współposiadanie jego domu. — Ks. Fabian Ociecki, kapelan zakonnic w Starym Sączu, imieniem sługi klasztornego, Mateusza Majerza, skarży Adama Liszkowicza, malarza, i żonę jego, Szczęsną Mazurównę, o dług 40 złp. Malarz nie płacił, więc przysądzono księdzu posiadanie domu jego, i posiadł go wraz z panem Mikołajem Stadnickim, wierzycielem Liszkowicza. — Ks. Jan Witaliszowski, podkustoszy kollegiaty, pożycza Krzysztofowi i Barbarze Jopkom 100 złp., zapisując ten dług na 3 jatkach rzeźniczych[1]). — Ks. Sebastyan Wileziusz, pleban z Kamionki, kupuje w r. 1638 od Marcina Zielińskiego w Nowym Sączu jatkę szewską za 110 złp.; tegoż roku ks. Mikołaj Kownacki, dziekan kollegiaty i proboszcz starosandecki, kupuje browar za 350 złp. od Stan. Rogalskiego, rajcy i organisty; od Raków[2]) zaś kamienicę, wszystko niegdyś po Wojciechu Łopackim — przeciwko czemu protestuje Magdalena Łopacka[3]).

Do miejscowych i okolicznych księży, którzy w latach 1631—1650 pożyczali pieniędzy mieszczanom, a za niespłacenie długów stawali się nieraz właścicielami ich nieruchomości, należeli także: ks. Adam Textoris, pleban jazowski i przyszowski; ks. Bartłomiej Fuzoriusz, kustosz kollegiaty; ks. Maciej Matusik, wikary kollegiaty; ks. Wojciech Sowiński, komendarz w Wielogłowach; ks. Grzegorz Królikowski[4]), dziekan kollegiaty, proboszcz grybowski i dobczycki; ks. Jerzy Cezary, przełożony szpitala św. Walentego; ks. Stanisław

---

1) Act. Scabin. T. 54. p. 121, 120, 172.

2) Maciej Rak, krawiec, zięć Wincentego Kłodawskiego et nobilis Zusannae de Kruczów.

3) Act. Scabin. T. 55. p. 794, 796.

4) Dziekan sandecki, proboszcz grybowski i dobczycki 1627—1647, archidyakon sandecki 1648—1659.

Rozmusowicz, kustosz kollegiaty; ks. Szymon Jaroszowski, proboszcz kollegiaty [1]); ks. Wojciech Żołądkowski, proboszcz z Tęgoborzy; ks. Roch Światłowicz, podkustoszy kollegiaty; ks. Marcin Stryjowski, proboszcz z Nawojowej; wreszcie ks. Jakób Zajączkowicz, proboszcz z Chomranic, zabity okrutnie mieczem (*framea truculentissime trucidatus*) od organisty własnego w r. 1658, wrzekomo z namowy parafian, aby się dłużej nie prawował z nimi [2]). Z powodu tego zdarzenia Andrzej Trzebicki, biskup krakowski, rzucił interdykt na parafię chomranicką 10. grudnia 1658 r. — Nawet folwarki, domy i jatki przechodziły z czasem w posiadanie księży, ale drogą prawną, t. j. kupna i sprzedaży.

Nie obeszło się jednak bez starcia, mianowicie przy egzekucyach i poborach. Dłużnicy, nie mogąc oddać, wzywali litości a srogością i okrucieństwem obwoływali wywłaszczenie z mienia. Miasto zaś, obowiązane składać pobory i dziesięciny z wszystkich łanów, domów i jatek, żądało ich od księży posiadaczy. Ci zaś wraz z szlachtą odwoływali się na wolność od wszelkich ciężarów [3]) i zdarzało się nawet, że zato wyklinali rajców! Tak n. p. w r. 1647 ks. Maciej Matusik, senior wikarych, wstąpił na kazalnicę, i przypomniawszy ogólnie, że dobra księży wikarych uwolnione są od wszelkich ciężarów miejskich i Rzpltej, otworzył potem księgę praw i przywilejów, nadanych kollegiacie przez kardynała Zbigniewa Oleśnickiego; wkońcu przeczytał odnośny ustęp z soboru trydenckiego [4]), że ktoby naruszał dobra kościelne jakimkolwiek sposobem: *Excommunicetur*, niech będzie wyklęty! Przytomni na kazaniu rajcy i ławnicy omal nie spłonęli ze wstydu i sromoty, boć wszyscy na nich spoglądali w kościele. Zaraz tedy po nabożeństwie udali się do księdza seniora, aby sprawę złagodzić, wymawiając mu przytem, iż ich tak srodze zgromił i niesłusznie zagroził wykluczeniem z łona katolików wiernych. Powstawało stąd wielkie rozjątrzenie w mieście, a ludzie, nie przejęci powinnym szacunkiem dla duchowieństwa, nie wahali się głośno narzekać na to. Między innymi słynnym był zatarg Łopackiego z księdzem kustoszem kollegiaty. Rzecz tak się miała.

---

[1]) Piastował tę godność od r. 1642 — † 1653.

[2]) Ecclesiae Chomranicensis Liber Memorabilium. saec. XVII.

[3]) Długi spór i proces między miastem a wikarymi o podatki, których płacić nie chcieli w latach 1647 i 1673, obejmuje 66 stron in folio. Ex protocollo actorum Nicolai Oborski episc. laodicensis suffraganei cracoviensis extractum.

[4]) Tridentinum: Sessio XXII. Decretum de Reformatione cap. XI.

W r. 1632 Wojciech Łopacki, balwierz i rajca, wyrugowany przez pana Adama Trzcińskiego z domu swej babki, sprowadził się do browaru swego podle domu księdza Bartłomieja Fuzoriusza, oficyała i kustosza kollegiaty. W murze księdza kustosza było okno do browaru, a Łopacki używał dotąd światła z niego. Chcąc korzystać z oporu mieszczan w robieniu piwa, warzył je sam bez ustanku, nie zważając na dni świąteczne. W dzień Zwiastowania Najśw. Maryi Panny (25. marca) warzył piwo, a w niedzielę kazał beczki do piwnicy wtaczać. Nawet, przysposabiając świeżą warkę, kazał w święta nosić do browaru wodę.

Ks. Fuzoriusz, zgorszony tą nieobyczajnością i nieuszanowaniem przykazań Bożych i kościelnych, wytykał na kazaniu bezbożność piwowarów, którzy nawet świąt uroczystych nie święcą. Nazwisk wprawdzie nie wymienił, ale tak Łopackiego opisał, że natychmiast wszyscy odgadli.

Łopacki był rajcą. Nazajutrz były wybory urzędu. Tam publicznie jęli mu panowie bracia wymawiać bezbożność jego i karcić zgorszenie, jakie daje. Rozgniewany Łopacki, wychodząc z ratusza, spotyka Jana Ziębę i rzecze: „Widzicie panie bracie, co mnie spotyka od tego niecnego syna popowskiego.“

— „Od którego?“

— „A od tego oficyała! ale przysięgam Bogu, iż mi przyjdzie do tego, że mu w łeb strzelę!“

Słyszeli to i drudzy, Zięba zaś poszedł do księdza Fuzoriusza i opowiedział mu rzecz całą. Ksiądz kustosz, zgniewany i zgorszony, woła murarza i każe mu zamurować browarne okno, nie chcąc patrzeć na bezbożność Łopackiego. Na to nadchodzi Łopacki, rozpędza murarza i pomocniki jego, grożąc, iż im ręce poobcina, jeżeli dalej robić będą. Przytomnego zaś księdza kustosza poczyna lżyć najohydniej [1] . . .

Ksiądz Fuzoriusz z obowiązku swego miewał kazanie co niedziele. Nadchodzą święta, ksiądz kustosz kazania nie ma; nadchodzi niedziela, kaznodzieja milczy. Zapytany, żąda ukarania Łopackiego i oczyszczenia siebie z obelg. Urząd miejski nie wie, co począć. Sprawa pokrzywdzenia osoby duchownej należy pod sąd kościelny — a tu kościół ludowi całemu ujmuje słowa Bożego, a winowajcy nie karze. Miasto wysyła o poradę posłańca do sądu zadwornego królewskiego [2].

---

[1]) Act. Consul. T. 53. p. 20.

[2]) Wypadek ten wpisał do księgi wydatków Andrzej Adamowicz, burmistrz: Panu Janowskiemu, praktykowi, który był instygatorem

Tymczasem wdali się w tę sprawę ludzie godni: ks. Stanisław Paszyński, przełożony szpitala św. Walentego; ks. Jan Witaliszowski, wikary; wielmożny Jan z Kruźlowej Pieniążek: Krzysztof z Będzieszyny Marek i inni, i złożono sąd polubowny. Ksiądz Fuzoriusz okazał dawniejszy wyrok na Łopackiego za nieuszanowanie osób duchownych; przytoczył sprawę ks. Pawła Wójtowicza, którego 13. października 1624 r., wówczas kleryka, Łopacki, pochwyciwszy oburącz za głowę, bił o mur, aż mu krew z nosa pociekła, i suknię na nim podarł; przytoczył ks. Stanisława Zupkę, którego Łopacki w r. 1627 uderzył pięścią w bok tak mocno, iż w błoto wpadł; księdza Alexandra Prutena, którego w r. 1628 policzkowano w domu mansyonarzy, a Łopacki, chociaż mógł, nie bronił; księdza Marcina Ćwiklinskiego, podkustoszego, któremu Łopacki zadał różne nieuczciwości niesłusznie; wkońcu przytoczył siebie i krzywdy swoje. Łopacki, jako mógł, wymawiał się ze wszystkiego, a co do księdza Fuzoriusza twierdził, iż gadał po pijanemu, mając rozogniony mózg.

Sąd polubowny zasądził go naprzód na 3 tygodnie więzienia za kratą; potem 10 grzywien czyli 16 złp. na kościół kollegiacki; dalej przebłaganie księdza Fuzoriusza naprzód w kapitule kollegiackiej, następnie na ratuszu, i ślubowanie uroczyste, iż więcej nikogo nie obrazi pod winą 100 grzywien, czyli 160 złp. [1]).

Ksiądz Fuzoriusz przyjął ten wyrok, lecz Łopacki nie przyjął, rzucił na stół burmistrzowskie klucze i mrucząc, odszedł. Ksiądz Fuzoriusz zaprotestował przeciwko temu.

Łopacki cały swój gniew zwrócił na księdza kustosza i na Ziębę, który go przed nim oskarżył; groził, iż obu zabije. Żona jego, równie namiętna kobieta, nie szczędziła gróźb i obelg i sama męża jątrzyła. Ludzie rozumni byli tego zdania, że dyabeł może naprowadzić do złego, starali się przeto koniecznie nakłonić go do zgody. Zaręczyli zań, a wkońcu przywiedli go do pokory, bo też całe miasto było oburzone, że kazań nie bywało.

Zapłacił więc 72 złp.; odsiedział dwa tygodnie w więzieniu wolnem ratusznem; przeprosił księdza kustosza wobec duchowieństwa; a przez resztę postu co niedziele oboje Łopaccy klęczeli przed

---

od wszystkiej rzeczypospolitej przeciwko panu Wojciechowi Łopackiemu, rajcy sandeckiemu, dla którego występku przeciwko Jegomości księdzu oficyałowi i kaznodziei naszemu słowa Bożego w dni święte i niedzielne słuchać nie mogliśmy, dało się za promowowanie tej sprawy, która się pro informatione do sądu Króla Jegomości wytoczyła, 3 złp.“ (Distributa anni 1632 f. 77).

[1]) Act. Consul. T. 53. p. 22.

wielkim ołtarzem podczas podniesienia z gorejącemi świecami. Prócz tego najuroczyściej zaręczyli bezpieczeństwo życia i czci księdzu Fuzoriuszowi i panu Ziębie. Czterech mieszczan dało zań rękojmię i wyznaczono zakład 200 złp. [1]).

Wdzięczny zato miastu ks. Fuzoriusz, legował w r. 1636 panom rajcom rostruchan, czyli puhar pozłacany, waloru $3\frac{1}{2}$ grzywny, i pierścień złoty w tym jedynie celu, ażeby go każdoczesny burmistrz dzierżył i nosił dla użytku i potrzeby Rzpltej. Mile przyjęło miasto ów wspaniały dar, panowie zaś rajcy nałożyli 200 grzywien kary na tego, którýby śmiał sprzedać te dary [2]).

W owych czasach w Nowym Sączu cześć dla księży była tak wielka i powszechna i takiego używali znaczenia, że na wstawienie się duchowieństwa, mianowicie wyższego, rajcy i ławnicy ułaskawili czasem nawet na gardło skazanego. Ale też znowu innym razem księży, mieszających się do spraw miejskich, ofuknął jaki rajca, jak zaraz zobaczymy.

Adam Łukowiecki, organista, człek niesłychanie porywczy, za lada powodem brał się do kija lub szabli. Kilka razy był już o to sądzony. Podczas gajnych sądów na ratuszu w r. 1638 w czemś mu tam ubliżył woźny miejski. Łukowiecki, nie zważając na powagę sądów ani obecność panów radziec, pochwycił woźnego i bił go zawzięcie, mimo urzędowego upomnienia. Owszem wygadywał jeszcze na cały urząd.

Uwięziono go natychmiast i wytoczono proces. Występek podobny łatwo można było głową przypłacić. Wójt i cała ławica bardzo byli oburzeni tą nieswornością, bo też wszystkim sprzykrzyły się owe ciągłe niepokoje w mieście. Szczepan Cholewicz i Jakób Poławiński dzielili powszechne oburzenie i żądali przykładnego ukarania, rozszerzając zdanie i przekonanie swoje między cechową bracią, podczas kiedy za Łukowieckim ujmowali się księża zakonni. Przypadła schadzka bracka u Jakóba Poławińskiego, rymarza, a bracia, zebrawszy się licznie, radzili, coby wypadało czynić.

Podczas schadzki cechowej przyszedł na wino do sklepu Poławińskiego ks. Stanisław Rozmusowicz w towarzystwie ks. Jana, zakonnika Premonstratensa. Żył on w przyjaźni z organistą i mocno za nim obstawał. Ścierał się już nawet z Poławińskim i przymawiał zbytniej surowości jego i drugich ławników. Obecnie słysząc, iż zebrani bracia cechowi radzą nad losem więźnia, a Poławiński na uka-

---

[1]) Act. Consul. T. 53. p. 29—33.
[2]) Act. Consul. T. 53. p. 295.

ranie nastawa, wchodzi do izby, wołając, aby mu wina podali, a właściwie chcąc orędować za organistą.

Na wyrzeczone: *Laudetur Jesus Christus!* — odrzekli przytomni: *In saecula saeculorum!*, a ksiądz Jan zapytał o los Łukowieckiego, czy go myślą karać czy nie?

— „Patrzcie panowie swego piwa i picia w sklepie!... tu nie macie nic do czynienia!.. — przerwał w gniewie Poławiński.

Właśnie niesiono wino dla księży. Zwrócił się napowrót do sklepu, mówiąc: „Ten ksiądz rad przymawia po trzeźwemu. a cóż po pijanemu!“

Ksiądz Jan, oburzony tem lekceważeniem osoby i stanu swego, począł go lżyć i gromić, wymawiając: iż łakną krwi niewinnego!...

— „*Non est tibi datum*, mnichu, przymawiać nam! Mamy też swoje kapłany i pasterze, oni nas powinni upominać!“...

Zagadniony w ten sposób zakonnik, nie wiedział co odpowiedzieć; odszedł zmieszany i zaniósł skargę, żądając przeproszenia. Lecz Poławiński nie chciał przeprosić, mówiąc: iż nie obraził. I na tem się skończyło.

Za Łukowieckim wstawiała się szlachta, bo im żal było bitnego organisty — i wyprosili go u panów rajców. Natomiast księża świeccy potępiali jego zaczepność i wcale orędować nie chcieli. Ławnicy zaś protestowali przeciwko temu uwolnieniu, ponieważ winowajca już był pod sądem i władzą wójtowską [1].

Po kapłanach wyświęconych w godności następowali dyakoni-bakałarze. Zdarzało się bowiem często, że taki dyakon-bakałarz, czyli uwieńczony wawrzynem [2], po ukończeniu nauk na przesławnej Akademii krakowskiej był jeszcze małoletnim, albo pragnął nabrać doświadczenia w obrzędach kościelnych, albo doskonalić się w naukach, wtedy przyjmował urząd nauczyciela szkoły publicznej, a po większych miastach nawet każdy nauczyciel musiał być wprzód bakałarzem filozofii i nauk wyzwolonych, *artium et philosophiae baccalaureus.*

Taka szkoła znajdowała się i w Nowym Sączu. Najdawniejszą wzmiankę o szkole nowosandeckiej spotykamy z początkiem XV. w. Już bowiem na dokumencie z r. 1412, w którym rajcy (z polecenia Władysława Jagiełły) odstępują 5 wsi Norbertanom na korzyść szpi-

[1]) Act. Consul. T. 53. p. 359, 368, 377.

[2]) Bacca laurea, bobek wawrzynowy, stąd baccalaureus, bakałarz, nauczyciel szkoły. W aktach sandeckich XVII wieku nazwę bakałarza wyrażano także: magister scholae, scholirega, director, rector scholae, scholiger, institutor juventutis.

tala św. Ducha i zrzekają się do nich wszelkich pretensyi, figuruje: *Jacobus de Dąbrovica, civitatis Sandecz notarius scholarumque rector* [1]). Była to szkoła wyłącznie dla chłopców, czysto parafialna, pod zarządem kollegiaty. Uczono w niej zasad wiary, czytania i pisania, śpiewu [2]), rachunków i gramatyki łacińskiej [3]).

Budynek szkolny znajdował sie naprzeciwko plebanii, na samym rogu dzisiejszej ulicy św. Ducha i innej ulicy, prowadzącej od rynku do kościoła farnego. Szkoła mieściła się w dwóch izbach: w wielkiej izbie i izdebce, która służyła zarazem za pomieszkanie bakałarzowi; okna, drzwi, piece i zawiasy często w nich naprawiano. Tak n. p. w r. 1626 „za 300 szyb i półkamienia ołowiu do błon szkolnych w wielkiej izbie 3 złp." — W roku 1628 „garncarzowi Marszałkowi za piec zielony w szkole do izdebki panu bakałarzowi 6 złp." — A w r. 1647 „garncarzowi za dwie kopy kafli szklanych do szkoły 6 złp.; za proste kafle 1 złp. 10 gr.; temuż od roboty od obudwu pieców 4 złp. 24 gr." [4]).

Bakałarz szkoły nowosandeckiej w XVII. wieku wielkie miał poważanie w mieście, w kościele zasiadał z duchowieństwem w czasie kanonicznych pacierzy, podczas sumy co niedziele i święta śpiewał na chórze z młodzieżą szkolną. Wspomina o tem wyraźnie Zbigniew Oleśnicki w swym dokumencie erekcyjnym kollegiaty (1448 r.), tudzież *Statuta Vicariorum* z r. 1605. gdzie między innemi rzeczami zastrzeżono, *ne inter vicarios et scholares contentio in ecclesia oriatur*, ażeby nie powstawała kłótnia w kościele między wikarymi a żakami szkolnymi [5]). Bakałarzami bywali synowie najznakomitszych patrycyuszów sandeckich, a kiedy który z nich miał zjeżdżać do Sącza, to jeden z rajców albo sam burmistrz miejską kolasą jeździł po niego do Krakowa i przywoził wraz z kantorem. Tak między innemi czytam w księdze wydatków miejskich pod rokiem 1643: „Bakałarz i kantor Lokuta w gospodzie Stan. Widza

---

[1]) Dokum. pergam. w bibl. Ossolińskich we Lwowie nr. 943.

[2]) Niektóre księgi miejskie i cechowe w Nowym Sączu z XVI. i XVII. wieku, oprawione są nutami pergaminowemi z tekstem łacińskim z XV. wieku. Uderza w nich piękne i staranne pismo z inicyałami czerwonymi: były to prawdopodobnie nuty uczniów dawnej szkoły sandeckiej.

[3]) W aktach rządowych z r. 1783 nazywano jeszcze szkołę sandecką: „Lateinische Schule".

[4]) Distributa f. 97, 153, 48.

[5]) Obszerne statuta vicariorum, o 28 stron. in folio, zatwierdził ponownie Konstanty Szaniawski, biskup krakowski, na swej wizycie kanonicznej w Nowym Sączu 19. czerwca 1725.

przez dni kilka strawili 12 złp., a dwakroć byli na obiedzie u burmistrza Walentego Wargulca; nie rachując obiadu, dało się za wino 1 złp." [1]). W r. 1 49 Jana Tymowskiego, bakałarza, kolasą miejską przywieźli panowie rajcy z Krakowa wraz z chłopcem i przez 6 dni płacili obiad, wieczerzę i wina $2^1/_2$ garnca, dopóki poprzednik jego, Maciej Kameski, nie zdał szkolnego urzędowania [2]). Oprócz powyżej wymienionych, byli tu bakałarzami w latach 1630—1678: Teofil Bereza, Paweł Drezgowicz, Wojciech Potrzebowicz, Jacek Mecikowicz, Stanisław Wolski [3]), Jan Stancewicz i Tomasz Domański — wszyscy *artium et philosophiae baccalaurei* [4]).

Szkołę Kościół szczególnie miał zawsze na oku, znając wpływ pierwszego wychowania. Dlatego kardynał, Jerzy Radziwiłł, na wizycie biskupiej w Nowym Sączu 1597 roku polecił rajcom, ażeby o szkołę, owo seminaryum miejskie, staranie mieli — uczniom pomieszkanie wystawili, ażeby po gospodach bez dozoru nie żyli, ani nie zaniedbywali służby Bożej. I nieco później dodał: „Nauczyciele szkoły niech ćwiczą chłopców nie tylko w naukach, lecz także w dobrych obyczajach, i niech ich nakłaniają do częstej spowiedzi i komunii. Chłopcom szkolnym niech nie pozwalają nocować po gospodach, lecz w szkole niech sypiają, ażeby uczciwość między nimi zachowaną była i nie zaniedbywali służby Bożej" [5]). — W podobnym duchu przemawiał episkopat polski na synodach prowincyonalnych, odbytych pod przewodnictwem arcybiskupów gnieźnieńskich, zwłaszcza piotrkowskim (1542) za rządów Piotra Gamrata, i gnieźnieńskim (1561) za rządów Jana Przerębskiego, gdzie wielki nacisk kładziono na potrzebne uzdolnienie bakałarzy, tudzież na wzorowe prowadzenie się młodzieży szkolnej [6]). — Bakałarz, kantor i uczniowie obowiązani byli śpiewać podczas nabożeństw w kollegiacie, czasem nawet o głodzie. Za wotywy prywatne osobno ich wynagradzano. Uczniowie w kapkach usługiwali i grali podczas na-

---

[1]) Distributa f. 107.

[2]) Distributa f. 84.

[3]) Był póżniej proboszczem grybowskim i kustoszem kolleg. sandeckiej (1666—1683).

[4]) Muczkowski: Statuta nec non liber promotionum in univer. jagellon. ab an. 1402—1849. Cracoviae 1849, p. 311, 316, 326, 327, 333, 345.

[5]) Reformationis Radivilianae Visitationis Decreta. Archiw. kolleg. Vol. II. p. 39, 47.

[6]) Mik. Zalaszowski Jus Regni Poloniae T. I. p. 419—420 in fol. Varsaviae 1741.

bożeństw; w kapkach również usługiwali księdzu, niosącemu do chorego Najśw. Sakrament [1]).

Bakałarze nowosandeccy zadawalniali się skromnem wynagrodzeniem, które pochodziło częścią z fundacyi a częścią ze stałej rocznej płacy magistratu. Między innymi przechowały się dwa takie zapisy z XVI. wieku. Ks. Grzegorz Pakosławski, kustosz kollegiaty sandeckiej, legował na sołtystwie w Kamionce 72 grzywny z roczną prowizyą 5 złp. na utrzymanie wikarych i rektora szkoły. Fundacyę tę zatwierdził Zygmunt August w Warszawie 1556 r. [2]). W pięć lat potem (1561 r.) ks. Zygmunt ze Stężyey [3]), kanonik krakowski i proboszcz sandecki (1546—1582), zapisał na kaznodzieję i rektora szkoły 100 grzywien z roczną popłatą 4 grzywien [4]). Honoraryum roczne bakałarza, które płacił magistrat, wynosiło w latach 1616—1624 złp. 27; nieco później (1626—1639) złp. 32; w r. 1646 już złp. 40, a w r. 1648 złp. 60. W drugiej jednak połowie XVII. w. dochody bakałarskie musiały się znacznie powiększyć, gdy w r. 1683 Jan i Katarzyna Jaklińscy, małżonkowie, zapisali na Siennej, Brzanie i Jasiennej popłatę roczną 70 złp. od suny 1000 złp. na utrzymanie bakałarza, kantora i organisty przy kollegiacie sandeckiej [5]).

Podobnie jak kościoły i szpitale, tak też i szkoła sandecka miała swych dobrodziejów. Ks. Bartłomiej Fuzoriusz, kustosz kollegiaty († 1637), zapisał w r. 1631 złp. 1000 na folwarku Szymona Wolskiego, aptekarza, z których roczną prowizyę 70 złp. przeznaczył na wsparcie trzech uczniów Akademii krakowskiej, z Nowego Sącza, Grybowa i Kamionki [6]). Dla dwóch uczniów z Grybowa istniał

---

[1]) Zwyczaj ten istniał od r. 1456, kiedy Paweł murarz zapisał w testamencie po wiardunku (12 groszy) w suchedniówki 4 uczniom szkolnym, którzy, ubrani w kapki, mieli księdza prowadzić, ilekroć Najśw. Sakrament niósł do chorego. (Dokum. niem. podaje dosłownie Szcz. Morawski: Sądeczyzna II. 217).

[2]) Archiw. kolleg. sand. Volum. I. p. 20.

[3]) Piastował 9 razy godność rektora Akademii krakowskiej; zmarł w r. 1582.

[4]) Oryginał tego dokumentu, wydany przez ks. Andrzeja Przecławskiego, scholastyka i wikaryusza generalnego krakowskiego, znalazłem pomiędzy starymi aktami w archiwum miejskiem. Na pieczęci, dobrze zachowanej, przedstawiony jest w środku herb Glaubicz, w otoku zaś napis: Andreas Przeczlawski Decanus.

[5]) Act. Castr. Inscrpt. T. 62. p. 932.

[6]) Actum in praetorio sandecensi sub judicio necessario bannito fer. II. pridie festi translationis s. Stanislai die 26. septemb. A. D. 1644. — Fundusz ten, „Burcana Fusoriana“ podówczas zwany, istnieje po dziś dzień. Podobne Burkany, borkany, czyli fundusze pro studiosa

od r. 1641 fundusz 1.500 złp. ks. Wojciecha Klisza, komendarza grybowskiego [1]). Kiedy właściwie szkoła sandecka przeszła pod zarząd Akademii krakowskiej i stała się jej kolonią, nie można się dowiedzieć z istniejących źródeł. Z pewnością nastąpiło to już przed r. 1732, w tym bowiem roku Pijarzy, osiedlając się w Nowym Sączu [2]), złożyli wyraźną deklaracyę, podpisaną przez ks. prowincyała Ambrożego Wąsowicza, w Warszawie 6. sierpnia 1732 r., i przez generała zakonu, Józefa od św. Franciszka, w Rzymie 23. maja 1733 r., że żadnej szkoły nie otworzą ani wewnątrz ani zewnątrz swego kollegium, któraby w czemkolwiek uwłaczała, czy to szkole parafialnej sandeckiej, czy też przywilejom Akademii krakowskiej, i to pod karą zburzenia tejże szkoły i zapłacenia Akademii 10.000 zł. węg. [3]). Regina Sreniawska, wdowa po Tomaszu Sreniawskim, sekretarzu królewskim, legowała w r. 1749 dla bursy im. Andrzeja Noskowskiego 12.000 złp. na dobrach Slemieniu w Zatorskiem, przeznaczając z procentu od tej sumy dla kolonii akademickiej w Nowym Sączu na reparacyę gmachu szkolnego 30 złp., a dla dyrektora tejże szkoły 20 złp. [4]). Po zajęciu Galicyi przez Austryę skończył się ten wpływ i zarząd Akademii krakowskiej [5]).

Kantor, czyli stały śpiewak kościelny, niemałą także miał powagę u ludzi. Bakałarza tytułowano: *Venerabilis Domine!*, a kantora: *Domine Cantor!* Kantorzy podgórscy w Krakowskiem i Sandeckiem słynęli z swego dźwięcznego głosu i, równie jak bakałarze, bywali bezżennymi. W pierwszej połowie XVII. wieku dość rozpowszechnieni byli, skoro nawet młodzieńcy szkoły sandeckiej czasami po gospodach odgrywali ich rolę, jak świadczy o tem wyraźna wzmianka w aktach miejskich. W środopoście 1604 r. siedział sobie w gospodzie przy szklanicy piwa pan Mateusz Wyrzykowski,

juventute, były i po innych miastach polskich, mianowicie w Krakowie, gdzie od pierwszego założyciela swego, ks. Stan. Borka, kanonika krakowskiego († 1556), przyjęły nazwę „Borkarny".

[1]) Actum in praetorio sandecensi fer. VI. ante fest. Nativit. s. Joan. Bapt. proxima A. D. 1641.

[2]) Act. Castr. Protocol. Rel. nr. 206. p. 136.

[3]) Act. Castr. Rel. T. 157. p. 1635—1640.

[4]) Ks. Józef Putanowicz: Stan studii wewnętrzny Akademii krakowskiej, przytoczony w dziele Łukaszewicza: Histor. Szkół w Koronie. T. III. str. 282, 471. Poznań 1851.

[5]) W r. 1783 istniała jeszcze colonia academica w Nowym Sączu. Następnego roku otwarto w Galicyi kilka szkół normalnych, a między innemi także w Nowym Sączu. Gimnazyum nowosandeckie istnieje dopiero od r. 1818.

wtem nadchodzą młodzieńcy szkolni, uczniowie nowosandeckiego bakałarza, Teofila Albina[1]), popisujący się swym śpiewem po gospodach na wzór rybałtów[2]), rozumie się niezbyt nabożnie. Pan Mateusz, będąc dobrej myśli, kazał im śpiewać. Śpiewali... a skończywszy śpiew, prosili o nagrodę, lecz zamiast nagrody spotkała ich nagana — widocznie ich śpiew nie przypadł do smaku panu Wyrzykowskiemu. Młodzi śpiewacy umieli podobno i wiele gadać, więc ostro odpowiedzieli. Pan Mateusz zerwał się, a zgromiwszy ich obelżywemi słowami, cisnął szklanicę piwa na jednego z nich i oblał go, potem porwał się do szabli, chcąc rąbać, bić i siec, ale ich obroniono. Nazajutrz pan bakałarz obwieścił urzędowi krzywdę uczniów, sądownictwu swemu podległych — i oświadczył zarazem, że go pozwie, bo mu się nie godzi pomścić swej krzywdy, jako cnotliwemu i spokojnemu człowiekowi. Pisarz wciągnął protest do ksiąg, a pan Mateusz pozwał o to pisarza[3]).

W Krakowie w latach 1620—1635 mieli kantorzy gospodę pod godłem: „U szewca Nogi piwo częstochowskie". Tam to, wraz z rybałtami czyli śpiewakami wędrownymi, topili się w piwie i miodzie, a opitych wiedziono do kościoła rano. Mimo to niejeden, ledwo siedząc, nie zmylił śpiewu. Słynny na Podgórzu rybałt, Marcin Zięba, grał od r. 1619—1640 na wielu instrumentach, miał głos mocny i przyjemny. Z siedmiu towarzyszami obchodził Polskę, grając i śpiewając po dworach i zamkach: a nie pierwej poszedł do dworu, aż odśpiewał mszę w kościele. Wielu panów chciało go zatrzymać przy swoim dworze, ale Zięba nie rad zagrzewać miejsca, wędrował swobodnie. Po kilku latach, opuszczony od towarzyszów, chodził jeszcze samotnie, aż w roku 1640 znaleziono go bez duszy w jednej wsi pod Krakowem[4]). Według wszelkiego prawdopodobieństwa pochodził on z okolic Nowego Sącza, gdzie dotąd pełno rodzin

---

[1]) Rodem z Pilzna, prima laurea insignitus an. 1597. Muczkowski p. 249.

[2]) Rybałt z włoskiego ribaldo, rubaldo, żak psalmista, śpiewak kościelny lub wędrowny. Wyższy stopień śpiewaków klasztornych lub kollegiackich miał nazwę Kantorów; z rybałta bowiem szedł dopiero na Kantora, czyli stałego przy kościele śpiewaka. — Rybałtów nie słusznie mieszano z Klechami. Już bowiem na początku XVI. w. sługę kościelnego na wsi, u nas w Polsce, nazywano Klechą; zarządzał on także szkołą wiejską, gdzie uczył żaków czytać, pisać i śpiewać.

[3]) Act. Consul. T. 26. p. 596; T. 29. p. 244.

[4]) Kazimierz Wójcicki: Stare gawędy i obrazy. T. III. str. 289—295. Warszawa 1840.

tego nazwiska [1]). W latach 1650—1656 kantor sandecki, Stefan Zymbrozowicz, *cantor collegiatae ac scholae sandecensis*, wielkiego miru używał po przedmieściach, często kumował mieszczanom i mógł wywierać znaczny wpływ podczas wypędzenia Szwedów (1655 r.).

W drugiej połowie XVII. wieku znika zupełnie kantorów i rybałtów nazwa, a wraz z nią i ich pamięć u ludu. Starożytne zaś ich śpiewy, owe pomniki dziejów dawnych, pozostawiły w ustach ludu jedynie słabe echo, nie już wspomnień historycznych, ale właściwie słowiańskiego ducha, barwy i myśli. Dziś kobzę rzadko zobaczyć, rzadko napotkać wędrownego z rzemiosła dudarza, a przecież taka ich była mnogość za Stefana Batorego, że na sejmie walnym warszawskim 1578 r. ustanowiono, iż każdy dudarz winien dawać rocznie podatku 24 groszy ówczesnych [2]).

Organiści, a jak się zdaje, zarazem organmistrze, jako rzemieślnicy przemyślniejsi, i umnicy gędziebni [3]) należeli do znakomitości miejskich i wielkiego używali znaczenia [4]). Bo też i gra na organach niepospolitą rolę miała w obrzędach kościelnych. Lud zaś przystępnego organistę uważał niejako za świeckiego plebana, tak jak dzwonnika za wikarego. Ciągle też byli obaj w styczności z ludem i ludźmi i bezpośrednio wywierali na umysły ogromny wpływ. Miasto przyjmowało swych organistów do grona rajców i ławników, a taki Stanisław Rogalski, Adam Łukowiecki i Stanisław Rolka wpływali wielce nawet na losy miasta, używani do różnych poselstw w trybunale lubelskim [5]). Musiało się im też nieźle powodzić, skoro ich liczono do majętnych mieszczan. Pan Rogalski n. p. pożyczył w lipcu 1633 r. księdzu opatowi, Michałowi Morskiemu [6]), poważną sumkę 4.000 złp., którą zaraz w czerwcu następnego roku (1634) ksiądz opat rzetelnie wypłacił [7]). Honoraryum roczne orga-

---

[1]) W r. 1617 przybył z Bobowy do Nowego Sącza rzeźnik, Jan Zieba, i przyjął prawo miejskie.

[2]) Volum. Leg, T. II. p. 192.

[3]) Gędźba — muzyka; gędziebny — muzyczny.

[4]) Specyalnym organmistrzem był tu Jakób Kofemberk, „patricius Cracoviensis artis organariae magister", który w r. 1632 przyjął prawo miejskie.

[5]) Rogalski był organista przy kollegiacie sandeckiej od r. 1627 do 1647; rajcą 1629—1641, zmarł w r. 1660. — Łukowiecki rajca 1646—1654, † 1655. — O Rolce wspominają akta miejskie od roku 1639—1661.

[6]) Rządził opactwem sandeckiem w latach 1633—1640. Potem opuścił zakon i został plebanem w Jakóbkowicach w Sandeckiem.

[7]) Act. Castr. Inscr. T. 46. p. 829, 1938.

nistów sandeckich wynosiło w latach 1616—1624 złp. 20: później znów (1626—1639) złp. 40; w r. 1646 już 48 złp., a w r. 1656 złp. 60. Żony ich dzieliły powagę mężów, a taka pani Szczęsna Łukowiecka kumowała ze wszystkimi księżmi wikarymi [1]).

Dzwonnik, przedostatni w godności kościelnej, więcej też znaczył, niż się spodziewać można, bo lud wierny głos kapłański i kantora, głos organów i dzwonów — wszystko uważał za chwalę Panu. Jak organista z mieszczanami, tak dzwonnik z przedmieszczanami i wieśniakami był w zażyłości i doznawał ich względów; bywał często ich gromadzkim kumem z panią organiściną, a taki Jacek Górski, Jan Piotrowicz, Marcin Nikburowicz i Jan Kutasowicz nigdy nie omieszkał podpisać się: *Campanator ecclesiae collegiatae sandecensis*. Temu ostatniemu kumował nawet ksiądz senior wikarych. Miejsce dzwonników było w zakrystyi lub dzwonnicy, gdzie im pomagali śrotarze. W r. 1597 kardynał, Jerzy Radziwiłł, przykazał podkustoszemu kollegiaty, aby dzwonnicy nie wyrabiali hałasów w zakrystyi i przy drzwiach kościelnych, a opilców i zuchwalców kazał odprawiać ze służby. Prócz „podzwonnego", pobierało dwóch dzwonników 8 złp. z osobnego zapisu Jędrzeja Reczkowskiego [2]). Czasami dzwonnicy nocowali w wieży, a raz o mało jej nie spalili.

Każdy organista, przed przyjęciem obowiązku swego w kollegiacie, składał osobną rotę przysięgi w przytomności prałatów i kanoników kapituły sandeckiej. Ponieważ zdarzało się nieraz, że i dzwonnicy sprzeniewierzali się kościołowi, przeto im również nie dowierzano i żądano od nich przysięgi. Tak n. p. w roku 1704 Marcin Kacała, zastępca dzwonnika kollegiaty, wyjął z organów u fary 30 różnych piszczałek; ukrył je w browarze księdza kustosza, a potem skrycie sprzedawał je żydowi. Wziął też pieczęć srebrną bractwa różańcowego, porąbał ją na kawałki i sprzedawał żydowi [3]).

Ostatnie miejsce w służbie kościelnej zajmowali grubarze, którzy zresztą nie odegrali żadnej ważniejszej roli, owszem niektórzy z nich zostawili po sobie niemiłe wspomnienie, jak Jakób Swierkowicz z Sebastyanem Rozborowiczem w czasie morowego powietrza (1652) [4]).

Oprócz tych instytucyi kościelnych, szkoły i sług, istniały jeszcze zakłady dobroczynne, z których najciekawszym był zakład

[1]) Metric. baptis. eccles. colleg. sandec. an. 1648—1654.
[2]) Act. Scabin. T. 65. p. 242. sub anno 1656.
[3]) Actum in praetorio sandecensi fer. II. ante fest. s. Thomae Apost. proxima A. D. 1704.
[4]) Por. tom I. str. 87.

mniszek Kletek, *vulgo* „Klepki“ — *Viduae Matronae*. Na wzór zakonnic wiodły życie wspólne, oparte na pewnych stałych ustawach. Przyjmowano do nich wyłącznie wdowy mieszczańskiego stanu i to starsze i stateczne białogłowy, które wzgardziły światem a Bogu jedynie służyć pragnęły. Dozór i opiekę nad całem zgromadzeniem Kletek i ich majątkiem miał osobny prowizor, wyznaczony do tego z ramienia rajców. Bywał nim zwykle sam burmistrz lub inny rajca miejski. Ważniejsze powinności i ustawy Kletek, nadane im przeź rajców sandeckich w r. 1602, a uzupełnione w r. 1608 przez ks. Jana Januszowskiego, archidyakona sandeckiego, były następujące:

1) Odmawianie w kollegiacie na Jutrzni 25 pacierzy, na Prymie 7, na Tercyi 7, na Sekscie 7, na Nonie 7, na Nieszporach 15, na Komplecie 7.

2) Każda wdowa, wstępująca do Kletek, składała wstępnego do wspólnej skrzynki 4 złp.: a jeśli nie z Nowego Sącza, ale skądinąd pochodziła, składała 6 złp.

3) Co tygodnia każda wkładała po szelągu do wspólnej skrzynki, od której klucz jeden spoczywał w ręku prowizora, a drugi w ręku starszej matki.

4) Jeśli która zmarła, wszystkie ruchomości, pozostałe po niej, jako to: srebro, pieniądze i t. p., obracano na wspólny użytek całego zgromadzenia, na poprawę domu i drwa.

5) Jeśli się która z konwentu wyniosła, już powtórnie nie mogła być do niego przyjętą, gdyby napowrót wstąpić pragnęła.

6) Jeśli się która trafiła swarliwa, niezgodliwa, była karaną siedzeniem w kunie [1], która była przy piecu w ich izbie przybita.

7) Jeśli się która bawiła gusłami, przelewaniem ołowiu lub wosku, albo w domu szynkownym się pokazała [2], wtedy za pierwszem upomnieniem musiała zmówić 5 pacierzy za pokutę, za drugiem musiała dać 1 gr. do wspólnej skrzynki, za trzeciem karaną była siedzeniem w kunie, za czwartem upomnieniem była na zawsze z konwentu wydalaną.

---

[1]) Kuna była to kara zamknięcia w obręcz żelazną, założoną na szyję. Istniała zaś nie tylko po klasztorach, lecz także przy drzwiach kościelnych, przed ratuszem miejskim, po zamkach i u cechów rzemieślniczych, a nawet w synagogach żydowskich.

[2]) W oryginale stoi tam właściwie: „jeśli się pod rózgami t. j. wiechami pokazała“. W dawnych czasach nie używano w miastach szyldów pisanych lub malowanych, ale umieszczano godła i znaki rozmaite. Tak n. p. nad piwiarnią pomieszczano wiechę zieloną.

8) Żartów nieprzyzwoitych, przekleństw i słów szpetnych wystrzegać się miały, pod winą szeląga za każdym razem do wspólnej skrzynki.

9) Panom uczciwym w mieście, gdy który z nich zachorował, miały usługiwać, tak jednak, żeby żadnego zgorszenia z siebie nie dawały.

10) Z wspólnych pieniędzy, które w skrzynce były, pan prowizor wespół z matką starszą raz w roku, w niedzielę wstępną, wszystkim siostrom zdawał rachunek.

11) Co roku w dzień św. Anny z panem prowizorem obierały starszą matkę, osobę stateczną, bogobojną, przykładną, cierpliwą.

12) Przywileje nadane im przez rajców sandeckich, a uwalniające je od wszelkich kontrybucyi i poborów, tudzież jałmużny wszelakie i pieniądze wspólne chowały w skrzynce pod kluczem prowizora i starszej matki.

13) Jeśli się taka trafiła, coby czytać umiała, powinna była uczyć panienki miejskie w pewnych godzinach codziennie.

14) Z konwentu żadna dowolnie wychodzić nie mogła, ale za opowiedzeniem się matce starszej, zwłaszcza pod wieczór.

15) Jeśli która zachorowała, do infirmaryi była oddawaną, a inne, kolejno cierpliwie, ochotnie, usługiwać jej miały.

16) Co miesiąc i w każde święto Matki Boskiej musiały się spowiadać w kościele farnym u jednego kapłana, wyznaczonego im od księdza kustosza, a potem przyjmowały Najśw. Sakrament.

17) Na sumie miały obowiązek modlić się za Ojca św., za biskupa krakowskiego, za króla polskiego, o zgodę i spokój w koronie polskiej, za swych dobrodziejów, za rajców miejskich i starsze swoje.

18) Wszystkie jałmużny, skądkolwiek otrzymywane, dzieliły pomiędzy siebie.

19) Za robienie świec woskowych płacono im od funta po groszu; połowa z tych pieniędzy szła do wspólnej skrzynki, a druga połowa tym, które robiły świece. Innych zaś robót świeckich, jako to: trefienia, szycia wzorzystego [1]), kresów i t. p. nie mogły przyjmować.

20) Młodsza siostra starszym dopóty usługiwać miała, dopókiby inna na jej miejsce nie wstąpiła, według starego zwyczaju i roztropności prowizora.

---

[1]) Wzorzysty — wyszywany, tkany w rozmaite kolory, kwiaty

21) Stała liczba Kletek miała być zawsze 10. A jeśli która z nich zmarła, pan prowizor na jej miejsce przyjmował nową [1]).

Mniszki Kletki, od założenia swego w r. 1448, mieszkały obok wikaryówki przy ulicy św. Ducha; utrzymywały się zaś z kawałka gruntu na przedmieściu z ogrodem, z zapisu Jana i Urszuli Glazerów, małżonków płócienników (1505 r.), z jałmużn i różnych pobożnych zapisów. I tak w r. 1632 ks. Adam Textoris, pleban jazowski i przyszowski, kupił dla Mniszek Klepek u Kłodawskich, małżonków, wyderkaf na 16 złp. rocznie za 200 złp. Po 100 złp. legowali [2]) Klepkom: Marcin Lutosławski, sędzia grodzki sandecki (1599 r.), Błażej Piotrowski (1633 r.) i Mikołaj Guzień (1636 r.). A po 20 złp. Mateusz Niedziałkowicz, cyrulik (1635 r.) i Kasper Kamycki (1674 r.). — Wielmożna Magdalena Strońska z Korzennej legowała w roku 1648 dwom mniszkom: Przygockiej i Czaplińskiej kilkadziesiąt złp. [3]).

Mniszki Kletki były w wielkiem poszanowaniu w mieście, skoro raz po raz kumowały z księżmi wikarymi, z bakałarzem, organistą i dzwonnikiem mieszczanom, a nawet rajcom sandeckim. Od r. 1648—1658 Agnieszka Rolczyna ciągle kumuje z ks. Swiatłowiczem, podkustoszym; z ks. Matusikiem, seniorem wikarych; z ks. wikarymi: Jędrysowiczem, Warpasowiczem, Chamilcowiczem, Jurczykowiczem, Januszowiczem, albo z bakałarzem Potrzebowiczem; z dzwonnikami: Kutasowiczem i Nikburowiczem. Podobnie Zofia Lubochowska i Dorota Iwkówna.

Stałą rubryką w rachunkach miejskich i księgach cechowych jest: „Mniszkom od robienia świec po kilka groszy“; od malowania świec dla osób zacnych płacono osobno po kilka groszy.

Obszerny dom Kletek, wspólnym ogrzewany piecem *(communi hypocausto)*, spłonął do szczętu 21. września 1669 r., razem z przyległą wikaryówką i szkołą miejską. Z dalszych zapisków dowiadujemy się, że w r. 1679 Krzysztof Puchałka zbudował sobie dom na gruncie Kletek na Hamrach. Zato płacił im corocznie z ćwierci pola 20 złp., a z ogrodu 15 złp. Dopiero pod rokiem 1710 zanotował pan Jan Hanczeński, prowizor i rajca sandecki: „Za rok ten Krzy-

---

[1]) Privilegium consulum sandecensium Viduis Matronis concessum A. D. 1602. MS. w bibl. Ossolińskich we Lwowie nr. 1391. — Powinności wdów nabożnych przy kościele farnym św. Małgorzaty mieszkających. Archiw. kolleg. sandec. Vol. II. p. 67.

[2]) Act. Consul. T. 53. p. 14. — Act. Scabin. T. 25. p. 628. — T. 54. p. 135. — T. 55. p. 125, 169.

[3]) Z aktów kościoła w Korzennej XVII. w.

sztof Puchałka nie zapłacił arendy tak z ogrodu, jako i z ćwierci pola, bo w tymże roku pomarli oboje na powietrze morowe; tylko syn ich został, który tymże matronom Klepkom dał masła pół faski, mąki wiertel i krup wiertel, co czyni, na pieniądze rachując, 12 złp. Reszty u niego według kwitu zostaje złp. 23, których już nie weźmiemy" [1]). W latach 1747—1760 posiadały Kletki grunt z ogrodem, tak zwany „Siciarzowski", który przynosił z dzierżawy rocznego dochodu 29 złp. [2]).

Po roku 1782 cesarz Józef II. skasował klasztory w Nowym Sączu, a temu losowi uległy i Kletki. Majątek ich przeszedł na własność Rządu; na mocy jednak dekretu gubernialnego z dnia 19. marca 1818 r. oddano go Magistratowi, z obowiązkiem utrzymywania z jego funduszów ubogich kalek i starców. Majątek zakładowy składa się z obligacyi państwowych i prywatnych w kwocie 34.776 złr. Dochód z r. 1892 wynosił 3.353 złr. 97 centów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ks. Jan Syganski T. J

---

[1]) Księga przywileju i kwitów konnotowanych, należąca do konwentu św. Klety (sic) r. 1693—1725.

[2]) Kalkulacya Percept z gruntu Siciarzowskiego od r. 1747—1760.

ZARYS POJĘĆ O NARODZIE.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ II.

Idea narodowa w filozofii i poezyi polskiej.

Poświęcając dwa oddzielne rozdziały naszej pracy Fichtemu i Eotvosowi, uczyniliśmy to dlatego, że dzieła obu tych autorów, dotyczące pojęć o narodzie i narodowości, po raz pierwszy wyprowadzały pod rozbiór publiczny szerokiego europejskiego ogółu kwestyę narodowościową, starając się pochwycić i zgłębić bądź pierwiastki społeczne, na których się opiera egzystencya narodu, jak to czynił Fichte, bądź dążności społeczne, wynikające z przeszkód, stawianych rozwojowi swobód indywidualnych w państwie, jak to było zadaniem Eötvösa. Były to pierwsze dwa śmiałe głosy, z których jeden odwoływał się do sił moralnych swego narodu w walce z narzuconą obczyzną, analizując te siły przed publicznością swego kraju i starając się obudzić w niej ufność w swą narodową potęgę; drugi wołał i domagał się przywrócenia historycznym wprawdzie tylko narodom, wcielonym w obręb innego państwa, praw autonomicznych, opartych na ścisłem uznaniu ich narodowej odrębności. Na bliższy i szczegółowszy ich rozbiór oba te dzieła zasługiwały z tego mianowicie względu, że w literaturze europejskiej, poza niemi, nie znajdziemy żadnej innej pracy, któraby się odznaczała tą siłą przekonań i głębokością badań, jaka cechuje obu tych autorów. Nadto przez swe znaczenie, jakie mają dla historyi rozpatrywanego przez nas przedmiotu, zajmują one pomnikowe stanowisko dzieł, streszczających w sobie prądy polityczne danej epoki, a mianowicie dzieło Fichtego odbija w sobie mniemania i dążenia, którym impuls nadały gnębiące ludzkość wojny Napoleona I., dzieło zaś Eötvösa jest niejako streszczeniem dążności narodowych, ujawnionych w epoce rewolucyjnej 1846 roku. Oba przeto te dzieła, służąc odzwierciedleniem

pewnych zwrotnych punktów w historyi bieżącego stulecia, należą do zakresu nie samej tylko literatury przedmiotu, lecz są jednocześnie materyałem politycznego rozwoju kwestyi narodowościowej.

Z kolei rzeczy obecnie, po zwróceniu uwagi czytelników w rozdziale poprzedzającym na olbrzymie znaczenie dla kwestyi narodowościowej ogólnego charakteru, jaki w wieku bieżącym przybrała literatura europejska, i na znamiona kierunków poetyckich myśli, jakie się w niej rozwinęły, wypada nam przejrzeć te mianowicie prace i utwory, które w ciągu bieżącego wieku przyczyniły się do rozjaśnienia pojęć o społeczeństwach narodowych i o zasadzie narodowości dla dokładniejszego poznania ogólnych nabytków wiedzy w tym przedmiocie.

Przegląd ten przedewszystkiem musimy rozpocząć od dzieł polskich, stawiając je na pierwszem miejscu z dwóch mianowicie powodów. Pierwszym jest ten, iż żaden europejski naród nie znajdował się w wieku bieżącym w tak nieszczęśliwem położeniu pod względem zapór, czynionych mu w jego naturalnym rozwoju. Daje on sobą samym żywy przykład ogromu nieszczęść, wynikających z zaprzeczenia mu praw narodowych. a ztąd ma wobec innych narodowych społeczeństw głos pierwszeństwa. Drugim powodem jest ta okoliczność, że w literaturze innych narodowości nie znajdziemy tak gorącego przejęcia się narodową myślą — ideą własnego społeczeństwa, — jakie dostrzegamy w Polsce u jej poetów i autorów. Stajemy tu wobec niezmiernie bogatego i pięknego materyału, zawartego w pojedyńczych dziełach, mających znaczenie dla naszego przedmiotu, ze względu zaś na niemożliwość szczegółowego ich streszczania wysnuć możemy jedynie rys ogólny najgłówniejszego i najbardziej rozpowszechnionego kierunku pojęć, jaki się wytworzył w polskiem społeczeństwie.

Kierunkiem tym było uduchowienie, że tak powiemy, idei narodowej — przeniesienie jej ze świata zjawisk realnych w filozoficzny świat pojęć, a zarazem stworzenie z niej ideału pragnień ludzkości przez dążność ku urzeczywistnieniu w najszerszym zakresie tych wszystkich czynników dodatnich, których znamię w większym stopniu uwydatniło się w przeszłości narodu.

W rzeczywistości dążność podobna nie może być poczytywaną za wyjątkową; dostrzegać się ona daje u wszystkich prawie narodów w dziełach myślicieli i poetów patryotycznego odcienia, w czysto europejskich bowiem społeczeństwach, z których każde w mniejszym lub większym stopniu przyczyniło się do wspólnej pracy w dziele rozwoju cywilizacyi chrześciańskiej, napotykamy wszędzie

w przeszłości znamiona zjawisk dodatnich, stanowiących szczególne odcienia działalności pojedyńczych narodów. Jak widzieliśmy, Fichte w swych „Mowach do narodu niemieckiego“ pragnął przejąć swych ziomków uwielbieniem dla języka niemieckiego, podnosząc zasługę dziejową przeszłych pokoleń w wytworzeniu z rodzinnych źródeł i pierwiastków określeń filozoficznych zrozumiałych dla ogółu; podnosił on dodatnią w życiu Niemców, podług niego, stronę wniesienia w zakres wiary chłodnego rozumowania; twierdził, że absolutyzm monarchiczny nie był samoistnym wytworem Niemców, lecz przeszczepieniem na grunt niemiecki pojęć cudzoziemskich. Anglicy śmiało mogą z dumą się odzywać o doniosłości swej dziejowo-społecznej pracy w sprawie rozwoju swobód, jak niemniej o nowych torach wiedzy i literatury, którym dali początek. Umysłowe życie Francyi położyło wiekopomne zasługi przez opracowanie pojęć, stanowiących podwalinę dzisiejszego ustroju politycznego państw nowożytnych. Włosi, których praojcom Rzymianom przypadła szczytna rola rozkrzewienia chrześciaństwa na Zachodzie europejskim, stworzyli potężną dźwignię oświaty w humanizmie. Udziałem Hiszpanów była obrona cywilizacyi chrześciańskiej Zachodu przeciwko islamowi, pogrążającemu świat w martwocie despotyzmu, opartego na dogmatach wiary. Każdy w ogóle naród z bratniego duchem wspólnej cywilizacyi szeregu narodów europejskich przyczynił się dziejowo w pewnym stopniu do wyrobienia ogólnej kultury, będącej dziś nabytkiem powszechnym.

Ale w działaniach społeczeństwa polskiego następowała odmienna zupełnie kolej, po której miało ono w ciągu wieku bieżącego kroczyć. Straciło ono możność bytu politycznego niezawisłego, a z nią opiekę, jaką państwo udziela zjednoczonym siłom narodu w działaniach jego usposobieniu odpowiednich. Pozostawione odtąd zostało samemu sobie nietylko bez żadnej państwowej dźwigni, lecz wprost w warunkach walki z tysiącznemi przeszkodami w rzeczach, dotyczących rozwoju jego własnej, rodzimej myśli, w urzeczywistnianiu tych zadań ogólnego postępu, które przez toż samo społeczeństwo w epoce poprzedniej były opracowywane i wcielane w życie. Zachodziła przeto obawa, iżby pod naciskiem obcych duchowych potęg, które niem rządziły, pod parciem wymierzonych przeciwko niemu środków wynaradawiania, nie zatraciło ono do szczętu poczucia swej duchowej odrębności i nie spadło na stopień zniedołężnionych w dziedzinie wiedzy helotów, przyjmujących bez myśli to, co im jest danem obcą ręką i wyrzekających się wszelkich roszczeń do wysnucia z własnych duchowych pierwiastków widomego i silnie

odczutego celu swych społecznych pragnień. Zaradczym przeciwko temu środkiem mogło być postawienie dodatnich zasad narodowego życia w kształcie silnej wiary w jego odrodzenie polityczne, w sposobie apoteozy przeszłości, podniesionej na stopień prawie religijny na podobieństwo tej apoteozy, jaką sobie stworzył w rozprószeniu naród żydowski w celu przechowania swej duchowej plemienności.

Pobudki te były powodem, że najwybitniejsi myśliciele polscy i najznakomitsi polscy poeci widzieli przed sobą jeden jedyny dla swego narodu prąd ożywczy w religijnej czci dla tych wszystkich objawów przeszłości, które zostawiły po sobie wspomnienie chluby narodowej, jak niemniej w ożywieniu swego społeczeństwa ideami, które, biorąc swój początek w jego własnych dziejach, mogły dziś przynieść pożytek i usługę nietylko jemu samemu, lecz i całej ludzkości. Ztąd wypływało podniesienie przedewszystkiem zasług, położonych dla ludzkości przez naród, i upodobnienie jego niedoli i krzywd mu zadanych do najwznioślejszej wskazanej przez Zbawiciela ofiary poświęcenia się na krzyżu dla dobra ludzkości. Ztąd wypływała zachęta i bodziec do ponoszenia wielkich i silnych ofiar w imię tegoż dobra, do wcielania w życie męczeństwa Chrystusowego, do głoszenia światu ewangielii odrodzenia narodu a z nim razem ludzkości w imię Chrystusowych zasad miłości i braterstwa.

Dążność tę nazwano messyanizmem. Ujęli ją w swe ręce mężowie — najprzedniejsi w narodzie, nieporównanie czystej myśli i serca — prawdziwi kapłani i prorocy, zbliżający się swym duchem i formą nawet swych wieszczeń do najpodnioślejszych proroków biblijnego świata starych hebrajczyków.

Ztąd przeto w żadnem ze społeczeństw europejskich idea narodowego bytu oraz wyższe, podnioślejsze tegoż bytu znaczenie nie zostały pojętemi i wyobrażonemi tak silnie, jak w Polsce — i nigdzie nie doprowadziły do tak ważnych i idealnych postulatów, jakimi pojęcia owe w Polsce zostały uwieńczone. Śmiało rzec można, że przewodnicy narodu uczynili wszystko, co było w ich mocy, iżby natchnąć swych ziomków najlepszemi i najwznioślejszemi ideami prawdy i miłości — dalekiemi od wszelkiego gwałtu upozorowanego braterstwem, którego złudną pokrywkę noszą na sobie inne apostolstwa bieżącego wieku, jak n. p. socyalizm, słowianofilstwo i t. p.

Jeżeli kiedyś w przyszłości zasady i pojęcia, zaszczepione przez znakomitych owych wieszczów, nie oddadzą za pośrednictwem Polski prawdziwej usługi i korzyści dla ludzkości całej, — będzie to winą chyba tych zgrzybiałych duchowo reprezentantów pewnego odłamu umysłowości polskiej w bieżącej dobie, którzy przez obawę wielkich

czynów i wielkich kapłańskich poświęceń odwracają oczy własnego społeczeństwa od wielkich kart dziejowych wspomnień, obniżając te wspomnienia lub je hańbiąc.

Śledząc początki owego kierunku w Polsce, musimy je odnieść do epoki r. 1831, to jest do wypadków dziejowych, będących najbliższą przyczyną ówczesnego kataklizmu i bezpośrednich jego następstw. Na pierwszem miejscu postawić tu nam wypada Brodzińskiego. Z jego prac, przedmiot nasz obchodzących, najważniejszemi są dwie, a mianowicie: „Mowa o narodowości Polaków“ i „Posłanie do braci wygnańców“. Z tych pierwsza wypowiedzianą była w formie odczytu na posiedzeniu b. Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w dniu 3. maja 1831 r., a więc w chwili największych wstrząśnień politycznych wobec gorącej walki o byt narodowy. Druga, jak wskazuje jej tytuł i treść, napisaną została pomiędzy rokiem 1831 a 1835, w którym nastąpił zgon poety. Dziwne zachodzi w niej podobieństwo co do ducha, jakim jest owianą, z jednocześnie, bo w r. 1832 napisanemi przez Mickiewicza, „Księgami narodu polskiego“. Myśl przewodnia jest tam jedna i ta sama, wypowiedziana nawet w formie podobnej, gdyż jeżeli „Księgi“ pisane były w całości stylem biblijnym, to „Posłanie“ zawiera mnogie ustępy w stylu prawie takim samym a przynajmniej mocno do niego zbliżonym. Dowód to, jak dalece idea przewodnicząca pozyskała przeświadczenie w sercach przodowników narodu, jeżeli dwaj wybitni poeci (z których jeden, podkopany chorobą, stał na schyłku życia, a drugi w męzkiej sile wieku), zupełnie oddzielnie przebywający [1]), bez żadnego na siebie wzajemnego wpływu, wygłaszali jednocześnie swym ziomkom też same prawie słowa namaszczenia i duchowej podniety.

Zobaczmyż, czem jest naród według Brodzińskiego i jak dalece duchowe piętno nosi on na sobie. „Naród — powiada on [2]) — jest wrodzoną ideą, którą członkowie jego, w jedno spojeni, urzeczywistnić się starają. Jest jedną rodziną, mającą swoje rodzinne przygody i powołanie. Uważa się jak jeden człowiek w swojem dążeniu, wyobrażeniach i czuciu. Losy doznane stanowią jego charakter. Bóg chciał mieć narody, jak ludzi, indywidualnymi, przez co na całą ludzkość wpływają i potrzebną tworzą harmonię. Jak cnoty domowe są podstawą narodowych, tak te są zasadą miłości całego

---

[1]) Mickiewicz mieszkał podówczas w Paryżu a Brodziński w Dreznie.

[2]) Mowa o narodowości Polaków i Posłanie do braci wygnańców. Lwów 1878. Wyd. Biblioteki Mrówki, str. 4.

społeczeństwa. Cała różnica między narodem a człowiekiem jest, że człowiek może zginąć dla narodu, ale naród dla ludzkości nie może, gdy ma swoje sumienie, gdy się czuje narodem.“

„Narody są drzewem żyjącem, które rosną wewnętrzną siłą, w których ją każda pogoda i pora rozwija. Naród jest nieodgadniony i niepojęty, jak duch. Nie postrzega go, skąd idzie i dokąd: od pokoleń do pokoleń ożywia dusze i w nich nieśmiertelny jest. Wystrasza tych, co zamek jego osiedli; z dymem pójdzie i spadnie piorunem, z parą pójdzie i spadnie deszczem ożywczym. Hartuje się miotany żywiołami: a gdzie wiele śmierci, tam wiele życia około niego“ [1]).

(Ciąg dalszy nastąpi).

I. Snitko.

---

[1]) L. c. str. 33 w Posłaniu.

PAMIĘTNIK
O STROJU NARODOWYM
W RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

VI.

Czapka.

Pamiętnikarze podają nam różne nazwiska czapek, używanych w Polsce, co może naprowadzać na mniemanie, iż wszystkie są uświęcone zwyczajem, jako narodowe. Według tego mniemania byłoby rzeczą gustu, z pomiędzy tych czapek wybrać to lub owo, a zawsze będzie po polsku. Z założenia pisma naszego wynika, iż nam nie chodzi o nomenklaturę tego, co noszono, nie o to, co było w modzie, lecz o to, co ma za sobą tradycyę jako rzecz narodowa. Dlatego, jak przy żupanie i kontuszu, starać się będziemy o dokładne tej sprawy wyjaśnienie.

W relacyach poprzednich, zaczerpniętych ze Zbioru pamiętników Niemcewicza, przytoczyliśmy nie mało dowodów, jak magnaci i wyższa szlachta hołdowali zwyczajom cudzoziemskim i mieli upodobanie — mianowicie w okazyach uroczystych — figurować w strojach cudzoziemskich. Noszono więc stroje węgierskie, włoskie, hiszpańskie, francuskie, dla okazania obfitości zasobów, czy przez próżność, czy lekceważenie stroju narodowego, który już w owych wiekach miał swoje odrębne cechy i właściwą okazałość. Pamiętną będzie czytelnikowi relacya o poselstwie Gąsiewskiego do Ludwika XIII., króla francuskiego, w której to poseł pisze: „Mogłaby była ta *comitiva* nie małą aparencyą uczynić, we Francyi zwłaszcza, gdzie nie masz między pany zwyczaju kupy ludzi za sobą wodzić, kiedyby była po polsku... Przemawiało nam też wiele cudzoziemców, czemuby my się w takich aktach, gdzie o opinią całej nacyi idzie, wstydzili stroju swego.“

W owych to czasach, w wieku XVI. i do połowy XVII., na głowach Polaków, paradujących w strojach tureckich czy węgierskich, figurują kołpaki, a był przecież jakiś strój narodowy? — i zapewne jakaś właściwa temu strojowi czapka narodowa, nie godząca się ze strojem tureckim czy węgierskim? — Tak przecież wnosić można z przytoczonej relacyi Gąsiewskiego.

Pomimo tej cudzoziemskiej „w legacyach aparencyi“ napotykają się czasem wskazówki, które jakąś odrębność czapki polskiej od kołpaka zaznaczają.

Rękopis Orzelskiego o wyborze Stefana Batorego (Niem.: Zbiór pam. t. II. s. 98) podaje: „Tak gdy się spierali, powitał cały stan rycerski i zdjąwszy czapki, prosili“... (mowa o poselstwie cesarskiem z Rosenbergiem na czele).

Więc gdy Orzelski mówi o stanie rycerskim, spotykamy wzmiankę o czapkach.

Tenże sam Orzelski, pisząc dalej o posłuchaniu, danem na tym sejmie posłom cesarskim, mówi: „Zbliżający się posłowie przyjęci byli z godnością i uszanowaniem, a na pierwsze zaprowadzeni miejsce, powstali wszyscy obecni i zdjęli kołpaki.“ — A działo się to wobec senatu, ponieważ Rosenberg mówił: „Jego święta Cesarska Mość, Pan mój najmiłościwszy, Wam Jaśnie Wielmożni, wspaniali, dostojni Biskupi, Senatorowie.“

Orzelski jako Polak musiał znać dokładnie różnicę nakrycia głowy u Polaków i różnicę ich nazw u rycerstwa i senatorów, kiedy w opisie swoim tę różnicę zaznaczył? — Jakie były te czapki stanu rycerskiego, tego z tej relacyi nie poznajemy, ale widocznie nie były to senatorskie kołpaki.

Pozwolimy sobie jeszcze jedną podobną relacyę przytoczyć, która może jeszcze wyraźniej poszukiwaną przez nas różnicę podnosi.

(Legacya do Zygmunta III. w r. 1596. Niemc.: Zb. p. t. II s. 54). ... „Za hufcy temi jechał Marszałek Wielki Koronny, ubrany w axamicie czarnym (?) z długą laską w ręku, jaką zwykli Marszałkowie zawsze nosić przed królem; niewielka czapka polska na głowie“.

Otóż, jeśli na innem miejscu relacyi tego posła mowa o kołpakach, tamta czapka na głowie Marszałka w. k. musiała być inną, a miała wyraźnie nazwę: czapki polskiej. Tak musiano opisującego poinformować, kiedy się w ten sposób wyraził. O aksamicie czarnym już nie robimy wniosków; w każdym razie i to nie ferezya, nie delia, bo te bywały zwykle karmazynowe i nie chodziły w parze z jakąś czapką polską.

To są ślady, markujące przynajmniej różnicę czapek, jakie były w owych czasach. Bez wątpienia wielcy dygnitarze w reprezentacyach politycznych odznaczali się kołpakami sobolowymi, które obok równie obcych ferezyi i delii stanowiły harmonię stosowną: to zaś wcale nie wyklucza egzystencyi innych czapek u mniej możnych, na niższym stopniu hierarchii społecznej i politycznej stojących, a powyższe — bez celu opisywania zwyczajów — notowane relacye naocznych świadków dowodzą, że istotnie tak było.

Że kołpak był czapką węgierską, oznacza to sama jego nazwa węgierska k a l p a k; a wyraźniej jeszcze następująca, przez naocznego świadka podana relacya: „Zamoyski, gdy pokonawszy Arcyksięcia Maksymiliana, wjeżdżał do Byczyny na białym koniu, miał w ę g i e r k ę ciemnofioletową, rysiami podbitą na sobie, za nim trzymano kołpak węgierski z trzema strusiemi pióram koloru białego.“ (*Gazeta Polska* 1827 nr. 236).

Jaką zaś była owa c z a p k a p o l s k a (w legacyi do Zygmunta III.), z ówczesnej relacyi nie dowiedzieliśmy się; pouczą nas o tem inne podania, wnioski, a nareszcie i żywe przykłady.

W pamiętnikach, których treścią były sprawy dziejowe narodu a nie opisy jego zwyczajów, trudno wymagać tych szczegółów. Jedynym pamiętnikiem, opisującym strój polski — i to w ograniczonym czasu okresie panowania Augusta III. — jest pamiętnik Kitowicza. Jakkolwiek i on grzeszy brakiem ścisłego opisu formy, to jednak podania jego o czapkach będą dla nas zrozumiałe. Powtórzymy więc za nim, co o nich nam podaje, a uznanie wniosków naszych zostawiamy czytelnikowi.

„Czapki pod panowaniem Augusta były kilkorakiego gatunku (pisze Kitowicz): najpierwsze, które zaznałem, były z wązkim barankiem okrągłym, rozcinanym na przodzie i w tyle, z w i e r z c h e m c z w o r o g r a n i a s t y m, cienką bawełną wyścielanym, po szwach, gdzie się kwaterki schodzą, sznurkiem srebrnym albo złotym obkładane lub też rygielkami takiemiż ujmowane.“

To jest jasne, typowe określenie formy, do której — zdaje się nam — odnosić należy nazwy czapek, jakie w dalszym ciągu Kitowicz podaje bez oznaczenia zmiany w formie.

Pisze więc dalej: „Po tych nastały czapki właśnie takiego kroju, w jakich malują papieżów, co je zowią p i u s k a m i.“

Nie podejmujemy się opisywania, jak wyglądały te piuski, ale domyślamy się, że to była forma biretów, które, jak powszechnie wiadomo, są także czworogranne.

Skończywszy o piuskach, powiada dalej Kitowicz: „Po konfederatkach (?) nastały czapki kozackie.“

Gdzież te konfederatki? — nie było o nich dotąd wzmianki. Czy owe pierwsze z wązkim barankiem, czy piuski, nazywały się także konfederatkami? — Do nazwy konfederatek — powszechnie wiadomo — przywiązaną jest forma czworogranna.

Czapki kozackie, które po konfederatkach owych nastały, tak Kitowicz opisuje: „Czapki kozackie z wysokim wierzchem, z wązkim barankiem, miałko wyścielane.“ — Widzimy w tym opisie tylko namarkowany stosunek wierzchu do baranka, a domyślać się możemy, że forma była stałą, jaką nam podał przy czapce pierwotnej: a więc że i czapki kozackie były także czworogranne.

„Dalej (słowa są Kitowicza) weszły w modę czapki z wysokimi baranami, z wierzchem płaskim.“ — To znowu nie inna forma czapki, tylko zmiana stosunku dwóch części składowych, wierzchu sukiennego i opuszki barankowej u czapki.

„Forma takich czapek (pisze Kitowicz) była ostatnia i utrzymuje się do dzis dnia z tą różnicą jedynie, że baranka zwężono, a wierzchu podniesiono; takie czapki zwały się w swoim początku (kiedy były z wysokimi baranami?) kuczmami?

O kuczmach u ludu mówić będziemy niżej, dlatego dalsze wnioski nad tą ostatnią czapką na tem miejscu przerywamy, a zwracamy uwagę czytelnika na to, iż baranek, tylko baranek przy czapkach polskich odgrywa jedyną rolę. Kitowicz więc tak pisze: „Do wszelkiego rodzaju czapek używano baranków naturalnych, czarnych, siwych, kasztanowatych, białych i pstrych; lecz najwięcej czarnych i siwych; innego koloru baranki były w guście tylko ludzi młodych i gaszków.“

„Senatorowie i majętni szlachta wieku podeszłego na wielką paradę zażywali kołpaków sobolich, z wierzchami aksamitnymi“ (Kitowicz). Kołpaki były więc przywiązane do osób, nie do stroju.

Szłyk, „czapka futrzana, coraz węższa u góry.“ — Była to czapka Litwinów. — „Stary Litwin zwierzęcy łeb obłapił i wdział miasto szłyka“ — powiada Stryjkowski. — „Panowie litewscy, jak w on czas strój był (1325 r.) w niedźwiedzie kożuchy i wilcze szłyki z sajdakami, świetno przyjechali do Krakowa.“

Za Władysława Jagiełły mogły w Polsce dla przypodobania się Litwinom szłyki wilcze i lisie pojawiać się: mogły one w po-

dróży i na łowach wśród zimy być czapką wygodną; ale ani strojną, ani narodową dlatego się nie stały [1]).

Przechodząc do żywotniejszych o czapce narodowej dowodów, nie możemy pominąć bardzo mylnego a dość upowszechnionego mniemania o konfederatkach. Utrzymują bowiem niektórzy, że czapki konfederatki, czyli rogatywki, powstały dopiero w konfederacyi barskiej: od tego dopiero czasu są znane i przedstawiają opinię polityczną tej epoki. Otóż błędne to mniemanie zbija już sama relacya Kitowicza, który za panowania Augusta III. (Sasa) już znał i opisywał konfederatki, a konfederacya barska poczęła się w r. 1768 za panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego. Jeżeli do tej nazwy dała powód jakaś konfederacya, to oczywiście nie barska, ale znacznie dawniejsza. Kto wie, czy nie konfederacya tak nazwana warszawska?...

Kiedy w roku 1575 — gdy chodziło o wybór króla w miejsce Henryka Walezego — senatorowie i kilku możniejszych ze szlachty z prymasem na czele obrali Maksymiliana, liczniejszy stan rycerski z Janem Zamoyskim na czele, zawiązawszy konfederacyę w Warszawie, wybrał Batorego, sprowadził go do kraju przed przybyciem Maksymiliana, zmusił senatorów do odstępstwa i utrzymał swojego elekta na tronie. — Nie upieramy się — bo na to nie ma pisanego dowodu — ale jeżeli jaka, to chyba ta konfederacya, zarzuciwszy niejako według przysłowia czapkami swoich przeciwników, mogła dla swoich rogatych czapek zjednać honorową nazwę konfederatek. Nie chodzi nam o wypadkową nazwę, ale to byłoby dowodem, że w połowie XVI. w. czapka czworogranna była czapką narodową.

Po tem zboczeniu prowadzimy rzecz dalej o czapce, a wracając do najdawniejszych czasów, spotykamy głos Jana Długosza, który w opisie Słowian sarmackich — w zacytowanem przez nas powyżej miejscu — mówi po opończy: „pikowana o czterech rogach czapka, by lepiej ocalała od razów, stanowiły ubiór."

Długosz, pisarz XV. w., czerpał wiadomości o Słowianach z pisarzów greckich. O czterech rogach czapka i pikowana, by strzegła lepiej od razów, jest szczegółem tak znamiennym, tak drobiazgowym, a tak z obserwacyi ścisłym, iż musiał wychodzić tylko od

---

[1]) Szłyk, czapka śpiczasta, futrzana, włosem na wierzch szyta, miała szeroki. futrzany wyłóg z tyłu, który spuszczony na dół, zakrywał cały kark i uszy, a pod brodą bywał związywany przyszytemi na końcach wstążeczkami. Widziałem taki szłyk lisi w naturze.

naocznego świadka; a jeśliby ktoś przypuścił, że to wynik fantazyi samego Długosza, to byłoby jednak dowodem, że za czasów Długosza czapki czworogranne już były w zwyczaju, że Długosz je znał i oceniał według nieokreślonej ich dawności. W każdym razie relacya ta w Długoszu ma poważne znaczenie, sięga ona do najodleglejszych czasów naszych ustalonych dziejów.

Dalszą wskazówką, że czapka czworogranna z opuszką barankową jest jedyną naszą czapką narodową, jest — głos ludu.

Lud nasz od Warty, Wisły do Dniepru cechę czworogrannej czapki zachował. Według okolic różny bywa sam sposób złożenia tej czapki rogatej, z czego wypadałoby wnosić, że wybór tej czapki nie jest naśladowaniem jednej jakiejś okolicy, lecz tradycyą ludu o dawności właściwej mu czapki o czterech rogach, od jakichś prapradziadów przekazanej. — Są bowiem czapki z czterech kwaterek złożone, a różniące się kolorem sukna i opuszki, zawsze barankowej; są różnice w wysokości wierzchu sukiennego lub opuszki; są w innej stronie czapki z grubego sukna bez pakułów i podszewki, zamiast baranka wyłóg uczyniony z lewej, kosmatej strony sukna, z którego czapka uszyta; są też czapki z jednej sztuki uszyte, u góry przycięte w cztery kliny, tworzące cztery rogi, a czapka cała wewnątrz podszyta barankiem, którego wyłóg na zewnątrz tworzy opuszkę. — Na Rusi po największej części noszą kuczmy. Jest to opuszka barania wysoka, w tyle jakby nie zszyta, tylko wstążeczkami ujęta i związana. Wierzch u tych czapek sukienny, zawsze czworogranny; po szwach, gdzie się kwaterki schodzą, często szychowym sznureczkiem ustrojony. Czapki te z powodu niby wiążących je wstążeczek mają nazwę czapek na zawiasach. Wysokie opuszki baranie tych czapek po wsiach zwykle są czarne, w miasteczkach siwe, ale wierzch zawsze czworogranny.

Czapka nasza stoupczasta,
W cztery boki hraniasta

powiedział mi stary Rusin (kopa lat temu) przy oglądaniu kuczmy jego!

Tyle dla przykładu w sprawie naszej u ludu.

Nie mniej ważne i stałe — co do rogatych czapek — są przykłady w uznaniu u wszystkich państw europejskich. Typem żołnierza polskiego jest wszędzie ułan, bo nosi kask czworogranny; tak jest typem żołnierza węgierskiego huzar w kołpaku.

Lecz idźmy dalej. W sejmach Rzeczypospolitej stan rycerski jawił się zawsze w czworogrannych czapkach. W Ossolineum

we Lwowie znajduje się obraz, przedstawiający Sejm czteroletni; obraz namalowany przez współczesnego malarza: wszyscy posłowie są w kontuszach i w rogatych czapkach. Drugi podobny obraz, malowany przez malarza współczesnego, znajduje się w pałacu hr. Małachowskich w Warszawie.

Stany galicyjskie, przy zaprowadzeniu sejmów postulatowych w r. 1817, uzyskały zatwierdzenie przedstawionego przez stany stroju narodowego, do którego należał kontusz z cechami według naszego opisu i czapka czworogranna z opuszką barankową. Posłami byli panowie szlachta, hrabiowie i książęta; wszyscy, którzy mieli na sobie strój narodowy, jechali na sejm w czapkach czworogrannych z opuszką barankową. Nie było ani jednego kołpaka.

Taka jest różnica między tem, co noszono, a tem, co jest narodowe. Dla nieuprzedzonych to wystarczy.

— A batorówka?!

— Batorówka? — Ani ona Polsce, ani Polska jej nic nie dłużna.

Albertrandy, w dziele: „Panowanie Walezyusza i Stefana Batorego" t. I. s. 127, opisując wjazd Batorego do Krakowa, mówi: „Batory jechał na koniu ciemnogniadym, tureckim, miał suknię adamaszkową, czerwoną, spodnie brunatne, buty żółte, na wierzchu delię węgierską długą, sobolami podszytą, na głowie kołpak soboli z kitą piór czarnych."

Takim był kołpak Batorego. W żadnym zaś pamiętniku, w żadnej kronice, w żadnej powieści — o ile starczą badania piszącego — o barankowym kołpaku nie ma wzmianki. Zresztą nawet ta nazwa „batorówka" nigdzie w druku nie istnieje. Gołębiowski, który w słowniczku swoim o ubiorach nietylko nazwy ubrań, ale wszystkie ich części składowe, wszystkie nazwy materyi, podszewek, tasiemek, koronek, kutasików i t. d. w alfabetycznym porządku wymienia, byłby niewątpliwie batorówki nie pominął, gdyby ta gdziekolwiek była znaną; a przy opisie kołpaka byłby z pewnością nie zaniedbał wspomnieć o kołpaku barankowym, gdyby tą skromną oryginalnością Batory był się odznaczał.

Gdyby nareszcie Batory był używał kołpaka barankowego, to niewątpliwie posiadałby jakiś dołman lub delię, taki barankami podszytą: bo cóżby to był za garnitur w ubraniu króla delia sobolowa, a kołpak barankowy? — Tymczasem w inwentarzu rzeczy pozostałych po śmierci króla, znajdujemy wszystkie delie, kopieniaki, półkopieniacze, podszyte futrem wyłącznie tylko sobolowem.

Zkądże się wzięła dziś batorówka — niby tradycyjny kołpak Batorego?...

Takie pytanie nasuwa się niewątpliwie czytelnikowi.

Niechże mu wystarczy wiadomość autentyczna, iż rzecz i nazwa jej nie opiera się na żadnej tradycyi!..

Datą wprowadzenia tej pamiątki (?) był rok 1861 we Lwowie. Prosta mistyfikacya — i nic więcej!...[1])

Przedstawiona historya czapki czworogrannej, jej zachowanie dotychczasowe u ludu, a zarazem jej znaczenie, jakie miała u sfer wyższych, dowodzi — według mniemania piszącego — iż ona jest jedyną czapką narodową. — Jej tradycyą są pierwotne dzieje narodu naszego, jej kolebką gminowładztwo ludowe. W miarę, jak się rozwijały stopnie hierarchiczne gminne i za nimi wyższe stany społeczeństwa: zwyczaje pierwotne wcielały się do postępu powolnego i postępowały z nim naprzód, — jak to się działo i z opończą. Przy postępie przemysłu i gustu stroje przybierały szlachetniejszą postać, nie zmieniając formy zgodnej z poczuciem narodowem. Zwyczaj szedł z dołu do góry — i dlatego jest nie szlacheckim, nie ludowym, ale — narodowym.

O kolorach czapek w stroju Polaka mówić będziemy przy opisie „całości ubrania".

Do ogólnego stroju należały jeszcze przybory, mianowicie: pasy i u szlachty szable. Przystępujemy do ich opisania.

(Ciąg dalszy nastąpi).

J. Horoszkiewicz.

---

[1]) Przez znawcę, który kilka lat przedtem cały strój polski nazywał strojem — szewskim... Od tego czasu dano i deliom rodowód polski.

JÓZEF MARYA HEREDIA.

(Wybitni poeci współczesnej Francyi).

(Dokończenie).

Niemal połowę dalszego cyklu „Trofeów“ pod tytułem „Rzym i barbarzyńcy“ poświęcił ustroniom. Opisuje ostrzeszoną chatkę, tulącą się do starego świerka; mała, lecz wystarcza, aby zmieścił się w niej gość przy gospodarzu. Gdzieindziej w cieniu buka stoi dom Garumnaa; szczęście i swoboda królują w jego czterech ścianach; właściciel bogaty, bo las macierzyński dostarcza mu wszystkiego, co potrzebne do życia, wolny, bo nikt w puszczy nie krępuje jego czynów. — We wiązance „Hortorum deus“ (Bóg ogrodów) roztacza widoki ogrodów zacisznych, wkładając ich opis w usta Priapów [1], niekształtnie z drzewa wyciosanych. Wplata się tu w miluchne obrazki przyrody dowcip i humor.

Upodobawszy sobie tak odludność, poeta zaczyna chwytać uchem utajone głosy przyrody. One go uczą o znikomości zabiegów człowieczych, o nikłości uciechy i rozkoszy. *(A un triomphateur, à Sextius).* Potem dalekie od osad ludzkich miejsca szepcą mu o wzniosłych postaciach, które je kiedyś zamieszkiwały. Spotyka w Pireneach kamień ofiarny, postawiony przez Gemina „górom świętym strażnikom twardej wolności“ i widzi wówczas dawnych wygnańców, co „przenosząc głuche groty i jary nad ugięcie karku w jarzmo“, zamieszkali wraz z wilkiem, niedźwiedziem, kozicą i orłem przepaści górskie, turnie i upłazy.

I na tych wierzchach jasnych, gdzie cisza drży,
W powietrzu nienaruszonem, bezmiernem, czystem,
Zda się, że słyszę okrzyk wolnego człowieka.

---

[1]) Bożków ogrodowych.

Śliczną jest także pokrewna im „Wygnanka“:

„W dolinę dziką, gdzie Cezar cię wygnał, na skałę omszoną przy drodze do Ariège, pochylając swe czoło przedwcześnie osrebrzone, co wieczór ty przychodzisz wolnym krokiem podumać.

Widzisz młodość swą, drogą willę, Flaminów czerwonych z białym orszakiem. A chcąc ulżyć tęsknocie za ziemią łacińską, w niebo spoglądasz, smutna Sabinulo.

Kędy Gar błyska siedmiu wierzchołkami, orły spóźnione, mknąc ku gwiazdom, unoszą z sobą w locie twe sny utajone.

I sama bez pożądań, niczego nie spodziewając się od ludzi, wznosisz ołtarz górom gościnnym, których bogowie łaskawsi pocieszają cię po stracie Rzymu.“

Jaka tu cicha, głęboka rezygnacya, jaka piękna postać kobieca.

Między cyklem rzymskim a greckim jest różnica. Poeta doskonale uwzględnił temperament i charakter dwóch narodów. Mimo pokrewność talentów inaczej wygląda Grek, inaczej Rzymianin. Nawet w sielance, nawet w obrazie mitologicznym i w zarysie postaci kobiecej zaznacza się ta różność. Grek - człowiek o duszy młodzieńczej, pełnej miękkości, entuzyazmu i porywów. Rzymianin - mężczyzna o hartownej dłoni i duszy, przesycon miarą i równowagą. Greczynka będzie płakać i żalić się, Rzymianka w najsmutniejszych chwilach okazuje hart.

Takimi są Rzymianie Heredii i w czynach wojennych. To nie, jak Grecy, ludzie ogniści, raźni, a przytem zmienni jak morska fala. Oni posuwają się zwolna, stoją jak mur, znużenie opanowuje ich bardzo powoli. Trwają na stanowiskach *usque ad finem*. Już tylko ze względu na tę prawdę psychologiczną zasługiwałyby dwa jego obrazy bitew rzymskich, „Trebbia“ i „Wieczór bitwy“ na wyróżnienie. Ale iście Meissonierowski sposób przedstawienia podnosi je na wyżyny arcydzieła. Na tle wojennem umie poeta roztaczać i inne wspaniałe obrazy: i tak obraz trwogi w „Po Kannach“, lub kontrast między bojem a sceną miłosną w grupie: „Antoniusz i Kleopatra“.

IV.

Potem w dziejach Hiszpanii znalazł on nowe tematy bohaterskie. Ale nim pójdziemy do nich, do „Zdobywców złota“ i do „Romancera“, musimy przebyć dział „Średnie wieki i Odrodzenie“. Rozchyla się on jak urocza dolina między dwiema górami, na których toczy się walka i grają surmy wojenne.

Motywy tego działu zaczerpnięte przeważnie z dziejów sztuki. Jedne wiersze przedstawiają chwile z żywota mistrzów, w innych tętnią życiem same utwory i stają się ośrodkami akcyi. Dla naszego poety starodawny medal, misternie zdobna waza, włoska majolika, czy gotycki witraż są przedmiotami żyjącymi. Dość mu spojrzeć na rękopis średniowieczny ze skrzętnie wypracowanemi malowidłami, aby widzieć tego mnicha pobożnego, co o zorzy do pracy nad nim wstawał, co odkładał go późno po długich pacierzach, gdy już gwary ucichły, światła zgasły i tylko nocy płaszcz gwiaździsty iskrzył się i promieniał. On wszędzie czuje twórcę, wytężenie jego myśli i napięcie jego czynu.

Od cieśli w Nazarecie zaczyna się szereg tych opiewanych przezeń artystów. „Le huchier de Nazareth" przypomina swem pięknem malowidła religijne pierwszych rozdziałów „Wilhelma Meistra".

„Dobry majster ciesielski" ślęczy od jutrzenki nad kredensem. Zmienia raz po raz ostry hebel, pilnik, sulut, raszplę, gładzidło.

Więc nie bez przyjemności zobaczył pod wieczór rosnący aż do proga wielki cień platana. Cień, gdzie „Jejmość Marya" z matką swoją Anną i Jegomościem Panem Jezusem wkrótce przy nim usiądą.

Wkoło duszno, ni jeden listek się nie ruszy,
Święty Józef znużony puścił z dłoni dłuto,
Ocierając swe czoło dolnym końcem fartucha.

Lecz boski terminator, otoczony gloryą,
Ciska wciąż na tło ciemne niedużej pracowni
Ostrzem swojego hebla pozłociste wióry.

Scenę z pracowni daje i „Na Ponte Vecchio". Tam gwarne życie Florencyi kipi około sklepu złotnika di Sandry. Szlacheckie stroje, mnisze habity, biskupie purpury i hoże, jak kwiaty, Florentynki migają przed oczyma. Uczniowie złotniczy rozmarzeni wypuszczają z rąk narzędzia; zapomnieli złączyć z sobą ręce narzeczonych, które rzeźbią na turkusach pierścieni.

Tylko młody Cellini, nic nie widząc, żłobi rylcem ostrym, jak sztylet, walki tytanów na główni puginału . .

Takiemiż jakby holenderskiemi „Wnętrzami" są „Emalia" i „Sny emaliowe". „Stary złotnik" najpiękniejszy w tej grupie. Odzwierciedla on doskonale walkę, jaka toczyła się w niejednej duszy z czasów Odrodzenia między chrześciaństwem i helenizmem.

Lepiej niż wszelki mistrz wpisany w księgę cechową,
Czy mu na imię Rujz. Chimenez czy Beceryl,
Wprawiłem w złoto rubin, drobną perełkę, beryl,
Rzeźbiłem uszko wazy lub fryzę jej bronzową.

W srebrze, w emalii, osypanej złotym proszkiem, malował on, duszę na szwank kładąc, zamiast Chrystusa na krzyżu albo świętych na stosie, o hańbo! Bachusa pianego. Danaę zaskoczoną. Nie jednej szabli klingę ukwiecił; dla czczej pychy tych to piekielnych tworów naraził swoją część wiecznego żywota!

A zatem widząc wiek mój pochylon ku nocy
Chcę, jak to zrobił ongi brat Jan z Segowii,
Umrzeć dłutując w złocie świętą monstrancyę.

Lecz gdzieindziej znika osoba tworząca i zostaje tylko jej dzieło. Myśl poety i wtedy nie przestaje snuć obrazów:

Różyczka okna gotyckiego załamuje wpadające do kościoła promienie; oświecają one grobowce feodałów średniowiecznych. Na wierzchnich płytach śpią ich postacie wyrzeźbione z czarnego i białego marmuru, wierne charty leżą u stóp, wielmożnie urodzone małżonki obok. Przed piewcą stają natychmiast żywi ludzie. Widzi rycerstwo i damy w złocie, na głowach mężczyzn błyszczą szyszaki z kitami, ręce ściskają rękojeści mieczów lub pieszczą sokoły myśliwskie. Orszak jedzie na czaple albo przeciw niewiernym do Syryi. Grają trąby i rogi, lecz teraz weszli wszyscy do kościoła, kapłan błogosławi ich. Pochylili głowy — różyczka gotyckiego okna, jak dziś, załamuje wpadające promienie i przyprósza światłem nie groby, ale tych, co w nie się położą...

W „Trzech królach“ *(Epiphanie)* wraca prostota „Cieśli z Nazaretu“. Złocony welin księgi wskrzesza w myśli poety wiotkie kobiety, których ręce głaskały kiedyś jej stronice *(Le velin doré)*. „Szpada“ i „Medal“ odsłaniają życie wojenne Odrodzenia, a „Kord“ jest pisaną przemową szlachcica do dorastającego syna:

Wierz mi, pobożne dziecię, idź starodawną drogą,
Szabla z wrzecionem prostem, ozdobnem w gałąź dębową,
W dłoni szlacheckiej, hardej, pełnej zuchwałej siły,
Lżejszym jest stokroć ciężarem od rytuału rzymskiego.

V.

Z motywów hiszpańskich dwa szczególniej przemawiały poecie do duszy: pieśni o Cydzie i dzieje podboju Ameryki.

Bohatera romans hiszpańskich opiewano we Francyi wielokrotnie. Niegdyś Corneille wyposażył go we wszystkie cechy ugrzecznionego rycerza, za naszych czasów Wiktor Hugo przedstawił go w Legendzie wieków, jako wcielenie lojalności. Leconte de Lisle widział w nim barbarzyńcę z jedenastego stulecia i w tym względzie bardziej zbliżył się do prawdy. Należy bowiem wiedzieć, że Cyd romans i Cyd historyczny różnią się między sobą. Pierwszy jest słodkawy i galanteryjny, chociaż junacki; drugi ukazuje się, jako *Raubritter*, który, wpadłszy w niełaskę króla Leonu, Alfonsa, zebrał około siebie garstkę odważnych i osiadł na skale przy Saragosie, między Darocą a Alcanizem, aby ztamtąd napadać na przejezdnych, łupić wsie nie płacące mu haraczu i od czasu do czasu nawet wstępować ze swym hufcem w szeregi Muzułmanów bez względu na to, czy walczyli z sobą, czy z chrześcianami [1]).

Heredii poprzednie opracowania poetyckie nie przeszkodziły zrozumieć postać Cyda. Odtworzył też on ją najudatniej ze wszystkich poetów francuskich. Nie wyidealizował Campeadora; sięgnąwszy do historyi, by odkryć jego prawdziwe cechy, ukazał jego i jego otoczenie we właściwem świetle. Ale chociaż podkreślił szorstkość ówczesnych obyczajów i krwiożerczość epoki, odgadł równocześnie w wojowniku skarby męstwa. Zachowując główne zarysy romans hiszpańskich, pogodził cechy ich i dokumentów i uwił z nich wonną rószczkę.

Pod względem artystycznym podniósł się wysoko nad Romancero. Nadał psychologii swemu poematowi i spotęgował siłę wykonania.

Początek pierwszej jego pieśni: „Ściśnięcie dłoni“, podobny do początku ludowego:

> Myśląc o swoim domu, wielkim pomiędzy wielkimi,
> Większym niż dom Abarca, niż sławny ród Inigów,
> Sędziwy Diego Laynez stracił już smak mięsiwa.

Nie sypia już, odkąd tryska krew z jego twarzy po policzku, wymierzonym mu przez hrabiego. Od tego czasu boi się wiernych druhów, bo mogliby zapytać o zajście, kryje się przed nimi, gdyż nie mając sił na pomszczenie zniewagi, trawiony smutkiem zelżonej dumy, nie chce truć ich oddechu swoim wstydem.

---

[1]) Por. dzieło Dozy'ego: Le cid d'après le nouveaux documents. Leyden 1860.

Wreszcie zbolały wzywa przed siebie i ustawia w szereg czterech synów: Sancza, Alfonsa, Henryka i Rodryga. Bije mu jak młot serce, biała broda drży. Ostatniej już słomki chwyta się... Ale znieważona cześć dodaje mu sił i jakby żelaznemi kleszczami starzec ściska obydwiema rękami dłoń najstarszego.

— Ach, dosyć — krzyknie ów.

Ojciec wypuścił rękę. Alfons w uścisku prosi. Henryk jęczy. Lecz Ruy, uczuwszy małą pięść swą w ręku ojca, milczy chwilę, potem wybucha z wściekłością:

— Puść mię, puść mię, na piekło! Bo nie, to moje ręce zmienią się w marmur, a paznogcie w żelazo i wydrą ci serce z wątrobą.

„Stary pełen radości zapłakał: Synu, niech cię Bóg błogosławi, wielką radość zapowiada mi twój gniew."

I ciskając wyrazy nienawiści, płacząc krwawemi łzami, opowiada o swej sromocie, wskazuje miejsce pobytu hrabiego, daje miecz synowi, a w godzinę potem „Ruy Diaz zabił wroga".

Znawcy „Romancera" gminnego zauważą, że już koniec „Ściśnięcia dłoni" odchyla się odeń. Dwa ostatnie wiersze łączą próbę z jej ostatecznem stwierdzeniem.

W romansach zaś hiszpańskich scena ściskania dłoni oddzieloną jest od śmierci hrabiego aż trzema romansami. Ruy Diaz uczy się najpierw władać mieczem, potem przybywszy do hrabiego, ma przemowę, następnie odbywa się pojedynek. Istnieje w nich jeszcze druga próba, niesmaczna estetycznie (romansa 77): Ojciec wkłada każdemu z synów palec w gardło...

Rozwlekanie to jest w danym razie dość szpecące, gdyż napięcie nasze ducha wymaga tu raźnej, chociaż wcale niedługiej, odpowiedzi.

Drugi śpiew poematu Heredii nosi tytuł: „Odwet Diega Layneza".

Podkreślić w nim należy gwałtowny, namiętny ton. Diego Laynez, nurtowany tak długo przez rozpacz, wybucha teraz jak wulkan i dopiero mając na myśli ów wzgląd psychologiczny, pamiętając także o szorstkości epoki, potrafimy odpowiednio zrozumieć nastrój całego śpiewu. Inaczej mógłby nas razić. Heredia pojął starca bardziej w duchu trzynastego stulecia, niż ckliwe romanse.

Daje on nam najpierw obraz jego przygnębienia.

W ten wieczór Diego Laynez sam, bo niema równych,
Przy błyskach świec woskowych jeszcze bardziej blady,
Zasiadł na czele stołu, opodal hidalgowie [1]).

[1]) Drobna szlachta, rojąca się na dworach magnatów.

Trzej starsi jego synowie są przy nim, lecz on myśli o najmłodszym. Ach, nie wrócił, snać hrabia zabił najdroższego.

Wino śmieje się w srebrze pucharów: dobywszy noża i zakasawszy rękawów krajczy czeka, choć dania chłodną. Niestety, pan i władca nie rzekł możnym głosem: krajcie! Odkąd raczył zasiąść na swojem krześle, dwie strugi łez wciąż płyną białą jego brodą.

Laynez zamknął oczy, schylił głowę, dręczą go widma. Syn zgubiony i hańba nie zmyta. I z jakiemże czołem stanie on kiedyś na strasznym sądzie? Przodkowie, ród bez nagany, ród dzielny, wypchną go z między siebie.

Hańba wstąpi razem z nim do grobu, wyrośnie na mogile. Nic, nic z dawnej dumy nie może mu zostać, zmarła jego dola i syn umarł...

Srodze dręczy go smutek. Wtem rozlega się w sali głos:

Hej, panie, otwórz oczy, to ja, a patrzaj dobrze.
Ten stół bez mięs, jak śmiesznie wygląda! Ja dzisiaj
Tropiłem zwierza w borze bez sług i bez psiarni.

Upolowałem, patrz: odyńca...

Tu Ruy zbliża się i daje krwawą, siną głowę.

Diego na starcze nogi jednym susem skoczył.
— To ty hrabio haniebny? To ty głowo bez krwi?
Z uśmiechem zawsze, z okiem szyderczo skrzywionem?

Tak to ty! Twoje zęby przycięły ci język
Ach, ostatni raz nędznik wyrzucał obelgi.

Pod szyją jednem cięciem oddzieloną od ciała zwisły czarne i grube strzępy krwi. Stary pociera twarz jednym z nich i wymierza martwemu obliczu policzek. Potem pyta obecnych: widzieliście wszyscy? zadość mi uczynił. A do syna:

Ruy, usiądź na mem miejscu, tu na przedzie stołu,
Kto taką głowę przyniósł, ten głową w mym domu!

Są tu jeszcze przepiękne miejsca, jak typowo oddany obraz domu feodalnego. Wyróżnić należy zarazem owo znaczenie obaw o syna tylko dwiema strugami łez. Jeden ten rys piękniej maluje duszę nieszczęsnego, niż długie biadania romansy ludowej.

Niemal zupełnie wyzwolił się poeta francuski z pod wpływu źródła w ostatnim śpiewie „Tryumf Cyda". Odpowiada on siedmiu

romansom, prawiącym o skargach Chimeny, córy zabitego hrabiego, o wyprawie Cyda na królów maurytańskich, o zwycięstwie pod Montesdocą, o nowych skargach Chimeny i o decyzyi władcy Leonu. Chimena żali się, że Cyd nietylko zabił jej ojca, ale jeszcze pod oknami codzień jeżdżąc, czci jej urąga. Gdy na to król przyrzeka, że zażąda, by Cyd ją poślubił, „odchodzi zadowolona“. Tak nagłe przejście od mściwości do zadowolenia budzi pewien niesmak.

Heredia patrzy w duszę głębiej. Zachował skargę i rozwiązanie, ale złączył dwa momenty subtelnemi ogniwami.

„Bramy pałacu rozwarły się ogromne i król Fernandez wyszedł przyjąć młodego wodza, wracającego ze swoimi osiwiałymi wojownikami.

Porzuciwszy pracownię, klasztor, pole, szynk, mieszczanie, pisarze i chłopi, słowem wszystek lud, szumi na placu; kobiety chylą się z balkonów, by lepiej widzieć.

Bo dzisiaj mściciel Chrystusa, Rodrygo z Bivaru, wraca zwycięski do grodu Zamory.“

Już nadjechał rosły, na koniu, z dzidą u hardego boku. Król skierował się ku niemu. Wtem rozpychając tłumy, ukazała się wybladła kobieta w czarnej sukni. Jej oczy błyszczą; osłoniona welonem rozpuszczonych włosów poczęła błagać:

Odpoznajcie mię panie, ściskam wasze kolana.
Rodzic zginął mi, wierny wasz druh, sprzymieniec. .
Pomścij go, pomścij królu, bądź sprawiedliwym.

Lud mówił: To córka hrabiego. Bo gestem sztywnym wskazała na Cyda, który z wysokiego siodła ciskał na nią wejrzenia iskrzące się i śmiałe.

Król zamilkł i zmięszał się. Zwleka, rzuca okiem na tłumy i na wojsko o najeżonych dzidach.

Tam widny bohater wysoki, dumny i jeźdźcy, strzegący łupu z mieczem w dłoni, z brygantyną na plecach, z hełmem na głowie. Tam zielony sztandar powiewa, święcony w Medynie, wzięty na Maurach, tam kupią się jeńcy królewscy z pod Miramamolinu.

On zabił ojca Chimeny i — zdobył Algarwę, ona w imię rodzica oskarża kochanka. Co zrobić?...

Wstań, ma córo, uspokój twe serce wzburzone
Twe łzy na książęcia chrześcian, na króla Hiszpanów
Są orężem zbyt silnym.

Zarządzaj. Cyd jest twoim. Mów, topór gotowy —
Ruy Diaz na nią spoglądał, poważny i niemy.

Zamknęła oczy, schyliła głowę. Nie może znieść wejrzenia tej płomienistej dumy. Już nie jest hardą córką hrabiego, jej twarz rumieni się, mniej z gniewu, niż miłości i wstydu.

Z ramienia lojalnego poległ twój ojciec — mówi dalej król — niechaj Bóg ma go w poczcie wybrańców. Jako władca potępiam czyn Rodryga, jako człowiek chwalę. Wszak honor Laynezów nie mniej czysty, jak mój: wart on dumy twego rodu. Zasądź, jeśli możesz, przebacz — przyjmę to. Niechaj Gormazów i Laynezów ród stary w was znowu zakwitnie... Chcesz tego, a dam mu na jedno twe słowo: Belforado, Saldanię i Carrias del Castil.

Lecz Chimena milczała. Fernandez szeptał dalej: Powiedz, czy nie pamiętasz, czy nie pamiętasz dawnej miłości?..

Tak mówił król łaskawy, z duszą delikatną
I dłoń Chimeny w jego lekko naraz drgnęła...

Przełom dokonany przez prawdziwego mistrza.

Ale bliższemi jeszcze niż motywy Hiszpanii średniowiecznej były dla duszy poety dzieje „zdobywców złota“, wśród których nazwisko Herediów nosił wybitny założyciel kolumbijskiego grodu Cartagena. Pamięć jego uczcił prawnuk kilkoma sonetami. Z innych pokrewnych a prawdziwie pięknych sonetów zasłynął szczególnie ów zatytułowany „Zdobywcy“ *(Les conquérants)*. Umie go na pamięć każdy Francuz z literackiem wykształceniem. „Grób Zdobywcy“ zaś godzien stanąć obok opisów przyrody północno-amerykańskiej Chateaubrianda.

Dawniej jeszcze niż te utwory, ogłosił Heredia w *Le Parnasse contemporain* (1870) najdłuższy poemat, jaki napisał: „Niedolę Atahuelpy“. Miał on stanowić początek cyklu epicznego, ale dalsze części nigdy nie wyszły. W „Trofeach“ poemat nosi tytuł „Zdobywców złota“.

Utwór posiada formę kroniki poetyckiej; zachowany w niej sposób wyrażania się dawnych pisarzy i dawny koloryt. Równocześnie słowo poety jest tak jędrne i bogate, że w jakich siedmiuset wierszach nakreślił jak żywe dzieje wielkiej wyprawy, dał świetne obrazy i wywołał najważniejsze postacie. Istnieje także wielka zgodność między zwartym raźnym wierszem poematu a treścią. Cały poemat, to dzieje jednego wielkiego wytężenia, jego forma, to pęd pod naciskiem jednej górującej myśli.

Po odkryciu oceanu spokojnego wszyscy awanturnicy przenieśli nad nowe morze urojone swe Eldorado [1]). Wierzyli, że niem płynąc, spotkają amazonki nieposkromione przez Herkulesa, potem ludy, czczące bogów o wolich głowach, aż wreszcie staną nad rzekami, których brzegi rodzą beryle, pośród turni z szafirów i skał ze szmaragdu. Tu w łożysku ze srebra będzie płynąć źródło zdrowia, tu odkryje się ich oczom bajeczny Ofir.

Vasco Nunez, a w dwa lata po nim żołnierz niskiego rodu, Pizarro, ruszyli szukać szczęścia. Wrócili bez połowy swoich ludzi Pizarro jednak nie dał za wygraną i w ponownej wyprawie przedarłszy się przez bagna i Andy odkrył kraj Inków. Taką jest treść „Zdobywców złota; poemat kończy się z chwilą, kiedy najeźdźcy stanęli w pobliżu grodów peruwiańskich.

Na kanwie opowieści Heredia snuje misterne hafty epizodów. Ślicznym na przykład jest obraz starganego głodem i znużeniem zastępu z pierwszej wyprawy.

Wszystko zdawało się zwodzić idących. Wiatr zmienił się w burzę, ocean zmiatał z pokładu majtków. Dziesięć dni głodu zmusiło Pizarra do wylądowania.

Brzeg okrywała gęstwia drzew mangowych. Dalsze wybrzeże wznosiło się nieznacznie ku dalekiej i ciemnej linii lasów

I kraj ten był olbrzymiem jednem trzęsawiskiem .
Deszcz padał. Wojownicy wściekle rozdrażnieni
Cięciami trującemi ciemnych chmar moskitów,
Deptali z zgrozą w sercu pośród błot ziejących,
Nowe płazy i jakieś nieznane owady.
Albo czasem z pod stóp im na wierzchy moczarów
Pełzały wolnym chodem, kryte lśniącą łuską
Te potworne jaszczurki, zwane kajmanami . . .
Gdy zaś noc przychodziła i rzędem na ziemi
Mokrej, w płaszczach, ze szablą bez użytku w głowach,
Nic nie zjadłszy, jak tylko korzenia gorzkiego
Lub czerwonej papryki łodygę, usnęli,
Na grupę śpiącą ludzi goniących królestwa
Opadał miękim lotem krew pijący wampir.
I ci, których zaznaczył krwawym pocałunkiem,
Spali twardo tak, że z snu już się nie budzili.

Z widoków przyrody przytoczę opis gór na wyżynie Kaksamarca:

---

[1]) Dosłownie Złoty kraj.

I w braku ziemi u stóp wojska zdobywców,
Konie i jeźdźcy zwarci w ciasnym szeregu
Stanęli nagle cudnym widokiem olśnieni.

Andy jak schody bogów, kute z bazaltu,
Z porfirów, łupku, łyszczku parły się w niebo,
Hen, hen, pod strop, gdzie tylko śniegi już widne
Na skałach, gdyby pereł chmury ścielone.
Wyżej las ostry szpilek, iglic lodowych,
Olśniewał jasnem srebrem czyste błękity.
Rzekłbyś, że tłumy wojska straszne i groźne,
Mężów zakutych w stale, strojnych w gronostaj
Obóz rozbiły tam gdzieś u kończyn świata.
A ponad nimi olbrzym: czarny, ognisty
Wulkan, wzniesiony dumnie niby chorąży,
Chwiał szkarłatową kitą swoich płomieni.

VI.

Uwydatniłem w ciągu niniejszego studyum zdolności psychologiczne poety, tę intuicyę, z jaką odtwarza postacie wieków ubiegłych, wojowników z różnych epok, niewiasty słodkie i poetyczne, jak marzenia. Wyróżniłem sceny i obrazki sielankowe, mogące być zaliczonemi do najpiękniejszych w literaturze francuskiej. Lecz wizerunek poety byłby niezupełnym, gdybym nie podkreślił poczucia przyrody, bijącego z poezyi Heredii.

Jak zresztą mógłby nie ukochać natury człowiek, który urodził się i wyrósł w jednej z najcudniejszych krain ziemi? Ta Kuba, dziś zlana krwią i usiana rumowiskami, zasłużyła sobie na miano perły Antyl. Krzysztof Kolumb zwał ją rajem ziemskim.

Niby olbrzymi bukiet drzew wynurza się z morza i coraz nowe niespodzianki gotuje wędrowcowi, co ją zwiedza. Tu przy drodze ciągną się wiecznie zieloną taśmą ogromne banany, drzewa figowe palmy o białych, smukłych pniach z szerokimi namiotami liści u szczytu. Tam plantacye rozłożyły się z gajami pomarańczowymi, uginającymi się pod owocami, z zaroślami brzoskwiń, z owocami stref umiarkowanych i gorących. Owdzie dąbrowy okryły wzgórza i góry, wśród ich zieleni jaśminy, datury, akacye dyszą wonią. A potem ciągną się lasy dziewicze, przez które siekierą toruj sobie drogę. W nich liany oplotły gałęzie nieprzebitą siatką, słońce ledwie przeciska się w głąb, wilgoć osiadła w mchach i na roślinności poddrzewnej i w tej przestrzeni, ustrojonej do przepychu w cudne kwiecie, panuje majestatyczna cisza. Lasy owe można przeby-

wać bez broni, nie bojąc się o życie, bo nigdzie nie masz drapieżnego zwierza, nigdzie jadowitego węża, ani owada.

Uroczy brzeg morski, góry, równiny, spławne rzeki, niebo pogodne, łagodny klimat, wszystko to posiada ojczyzna Heredii. Wspomnienia jej nie mogły zatrzeć się w duszy syna. podziw dla piękna przyrody musiał tętnić srebrnym zdrojem.

Począwszy pisać wiersze, Józef Marya natrafił właśnie na prąd kultu natury. Do jego czasów przyroda, tak namiętnie opiewana przez najgienialniejszych poetów Polski, Niemiec i Anglii, mało nęciła poetów francuskich. Z pomiędzy nowożytnych pieśniarzy Francyi dla żadnego nie miała ona tyle powabu, co wybuchy duszy, co dzieje ludów, co sprawy społeczno-polityczne. Służyła im przeważnie za draperyę, na której malowali portrety własnej jaźni, za tło, na którem roztaczali sceny życia ludzkiego. Nawet Hugo, Lamartine i Vigny traktowali tak przyrodę, a w każdym razie nie posadzili jej na tronie, jak prozaicy: Rousseau, Bernardyn St. Pierre i Chateaubriand.

Dopiero Leconte de Lisle oddał jej głęboki pokłon. Za jego wzorem poszedł Heredia.

Można rzec, że dorównał mistrzowi, a nawet w niektórych względach prześcignął go.

Warto tu także zaznaczyć różnice między nimi, gdyż wypływają z cech ich ojczyzny. Obaj pochodzą z południa, obaj ukochali słońce, kwiaty lianów, tropikalną roślinność. Ale pierwszy wyrósł na afrykańskiej wyspie, na upalnem, pełnem drapieżników Reunionie, drugi zrodzony w prawdziwej Arkadyi. Więc gdy ów lubuje się w przyrodzie, wyładowującej swe siły w skwarach albo przez kontrast w lodach, Heredia kocha ją łagodną i wdzięczną, jaką poznał w dzieciństwie.

Taką raczej była i w ziemi Hellenów i wskutek tego jego malowidła przyrody greckiej są udatniejsze od malowideł Leconte de Lisle'a. Należą do nich „Łowy“ — przedstawienie chwili południowej, gdy „rydwan słońca wśród galopu białych rumaków wdziera się na zenit“ i w ciszy Dyana, otoczona psiarnią, poczyna siać śmierć pośród zwierza leśnego. Należą tu śliczny obrazek wieczorny, „Kąpiel nimfy“, wiersz „Źródło“, oddający nastrój opuszczenia, jakoteż inne, o których mówiliśmy wyżej.

Co do krain gorących, jeśli przyroda ich w zobrazowaniu Heredii nie posiada tej srogości i napięcia sił, co u Leconte de Lisle'a (odliczyć jednak należy „Widzenie Chema“), to jaśnieje za to większą jeszcze malowniczością i bogactwem kolorytu. Heredia jest wspa-

niałym kolorystą. Dwie wschodnie sceny: Kairo o zachodzie słońca (Jeniec) i podmorski las koralów abisyńskich (Koralowa rafa) należą do najlepszych, jakie posiada kierunek oryentalny w literaturze francuskiej. Niepodobna prawie oddać tych wierszy, skrzących się barwami, jak skrzydła kolibrów. Ten sam wdzięk mają Herediowskie opisy przyrody amerykańskiej: „Ognisty kwiat“, „Siesta“.

„Widzenie Chema“ stanowi bardzo udatną próbę w kierunku fantastycznym. Upał został tu zastosowany jako środek do wywołania wizyi.

Jest to tryptyk sonetowy z Egiptu. Południe; strefy gorą i w prażących błyskach Nil zdaje się toczyć w swem łożu fale ołowiu. Promienie ślepią, nielitościwa Fre panuje nad całym Egiptem.

Wielkie sfinksy, co nigdy powiek nie przywarły, opuszczają teraz swe wejrzenie ku piaskom. Śpią wydmy i obeliski, śpi cała przyroda, tylko w dali pod skwarnem niebem stado sępów wciąż kołuje.

W tym upale jedyny człowiek w pustyni, Chem doznaje halucynacyi. Widzi noc. Księżyc świeci nad starożytną nekropolią i królowie i ludy w niej złożeni ruszają w pochodzie przez piaski. Na przedzie stąpają kapłani, niosąc statuę bogini Bari, za nimi sfinksy, zerwawszy się, biegną. Święte krogulce uderzają w skrzydła. Królowie ze złoconymi wężami około skroni idą, milcząc, za bogami, a potem zaś tłoczą się nieprzejrzane zastępy ludu z wplecionymi we włosy błękitnymi kwiatami lotosu. Tot [1]) o głowie ibisa prowadzi uśpionych na wieki, a księżyc, rzucający blade światło, wydłuża tajemniczo ich cienie.

W palecie malarza świateł nie mogły znaleźć miejsca barwy szare. Ztąd cykl obrazów bretońskich *(La mer de Bretagne)* jest mniej udatny. Ani wydmy, ani kwiaty nikłe, ani kobiety w ciemnych strojach nie nadawały się do malowideł Heredii. Cykl ów jest dość duży, ale prawdziwie pięknym mógłbym nazwać w nim tylko „Herb niebieski“, obraz chmur zgrupowanych w postacie potworów średniowiecznych i godeł herbowych. Wart on porównania z Goethowską sceneryą chmur w wierszu „Do Howarda“.

Widok ubogiej natury bretońskiej wywołał w sercu poety wspomnienie Kuby. Zamkniemy tym wierszem podmiotowym, należącym do tak nielicznych w dorobku literackim Heredii, nasze studyum.

Wrzosowiska nadmorskie przekwitły, wymarło wszystko, na siwej skale, o którą Atlantyk uderza, znikła roślinność. Wtem jakaś woń dolatuje poetę. Zkądże?

---

[1]) Hermes Egiptu.

Ach wiem, poznaję ją. Z za trzech tysięcy mil
Z zachodu tu przylata, kędy Kuba modra
Okwita pod blaskami słońca wszechmocnego.

Tak, tu na Cymbrów skale, gniewną falą bitej
Ja odetchnąłem wonią, którą z ziem dalekich
Na skrzydłach wiatru przysłał mi kwiat pól ojczystych.

Włodzimierz Bugiel.

KRONIKA LITERACKA.

Z ostatnich prac w dziedzinie Socyologii.

(Vierkandt: Kulturvölker und Naturvölker. Leipzig, Duncker i Humblot. 1896. — Vierkandt: Das Kulturproblem. Zeitschrift für Socialwissenschaft 1900. Zeszyt II. i III.).

(Ciąg dalszy).

W wiekach średnich występuje zdaniem Vierkandta i kierunek indywidualistyczny, — wywołany wpływami religijnymi, zwłaszcza troską o zbawienie każdej jednostki, — i, wskutek skrępowania całego życia duchowego, kollektywizm. Ten drugi kierunek przeważa też w praktyce, zwłaszcza w organizacyi gospodarczej i prawnej, gdy teorya pod wpływami filozofii i teologii skłania się, zwłaszcza w nauce o państwie, do indywidualistysznego pojmowania zjawisk społecznych.

Zdanie to Vierkandta o tyle nie uważam za słuszne, że właśnie wpływy religijne w średnich wiekach przez nakaz zaparcia się siebie samego, przez zwrócenie wzroku wszystkich po nad ziemię i przez dążenie do urzeczywistnienia w organizacyi Kościoła, królestwa Bożego na ziemi, najsilniej działają w kierunku kollektywistycznym. Wszak różne sekty chrześciańskie miały wprost charakter komunistyczny! Jeżeli zaś teorya scholastyczna wywodzi, że państwo jest dziełem ludzi (tem samem niedoskonałem!), to po to tylko, aby wyżej nad państwo postawić Kościół jako dzieło Boskie, nie zaś jak późniejsi pisarze XVIII. stulecia (Rousseau!), aby nad państwo i społeczeństwo postawić jednostkę. To też kollektywistyczne pojmowanie życia i zjawisk społecznych — któremu zresztą odpowiadają stosunki faktyczne gospodarcze

i prawne[1]), przeważa w Średniowieczu i jest dlań — przynajmniej dla pierwszej jego doby — charakterycznem! Dopiero później rozwijająca się cywilizacya, stosunki ekonomiczne i prawne powodują rozkład systemu ascetyczno-hierarchicznego w Kościele i w społeczeństwach[2]).

W wiekach nowszych rozróżnia Vierkandt w rozwoju wyobrażeń społeczno-psychicznych dwa okresy, których granicę stanowi — Kant. W okresie pierwszym, który zaczyna się z Odrodzeniem i obejmuje także czasy późniejsze aż do Kanta, nie spotykamy nawet, pominąwszy luźne usiłowania, badań naukowych nad życiem duchowem społeczeństw i stosunkiem jednostki do społeczeństwa. Poglądy społeczno-psychologiczne tego okresu stanowią jaskrawą sprzeczność z poglądami świata starożytnego. Świat starożytny instynktowo myślał kollektywistycznie, bo czuł naturę społeczną człowieka, a ani refleksye rozumowe, ani zachodzące stosunki społeczne i polityczne nie skłaniały go do czego innego. Natomiast od Odrodzenia począwszy, wpływy zarówno teoretyczne, jak i praktyczne wywołują coraz większy zwrot ku indywidualizmowi.

Do wpływów teoretycznych należy zaliczyć: intellektualizm (racyonalizm), substancyalny sposób myślenia przed-Kantowskiej filozofii i rozwój nauk przyrodniczych. Intellektualizm albo racyonalistyczny sposób myślenia, to błąd, w który popadają łatwo okresy budzącego się życia filozoficznego. Polega on na przecenianiu rozumu, na uważaniu objawów intelligencyi za całość życia duchowego w człowieku; gdy tymczasem w zjawiskach społecznych daleko większe znaczenie mają procesy duchowe instynktowe, niezależne od woli, uczuciowe. Na nich polega głównie strona społeczna natury ludzkiej, którą też racyonalizm Odrodzenia i czasów późniejszych zupełnie zapoznaje! Substancyalny sposób myślenia filozoficznego prowadzi znowu w zakresie psychologii do zajmowania się tylko jednostką a nie i życiem duchowem społeczeństw, wpływy zaś nauk przrodniczych, zwłaszcza ich działów nieorganicznych, do mechanicznego pojmowania społeczeństwa tylko jako sumy jednostek w niem żyjących. Że społeczeństwo jest czemś więcej, jak tą sumą, o tem ani myślała filozofia przed-Kantowska!...

---

[1]) Organizacya poddańcza, organizacya miast pod względem gospodarczym, organizacya cechowa.

[2]) Por. znakomitą pracę Eickena: Geschichte und System der mittelalterlichen Weltanschauung. Stuttgart 1887.

Wysoka kultura Renesansu, odrzucenie wszelkich powag po nad rozum jednostki i nadanie jej prawa badania i wolnego dzenia przez Reformacyę, rozwijają wprawdzie indywidualność jednostek, lecz rozwijają zarazem ich egoizm i osłabiają tem samem instynkta społeczne [1]). Wykształcenie wzrasta, lecz ponieważ korzystają zeń tylko warstwy zamożniejsze, zaczyna się tworzyć nowa różnica cywilizacyjna: warstw wykształconych a warstw niewykształconych, i coraz większy rozdział między temi warstwami [2]). Warstwy zamożniejsze przesadzając w intellektualizmie, stawiając nad wszystko rozum, nie mają zrozumienia dla strony uczuciowej człowieka a tem samem dla duszy warstw niższych, ludu i widzą ideał tylko w harmonijnym rozwoju osobistości, w jak największem użyciu życia. Prawdziwy człowiek dla Odrodzenia zaczyna się dopiero od wykształconej i sytej jednostki i słusznie powiada Vierkandt, że ten pogląd jest piętnem, które hańbi cały okres Odrodzenia!...

Stosunki polityczne a zwłaszcza monarchia absolutna, która wyklucza od udziału w życiu politycznem klasy wykształcone i skazuje je na bezczynność, przewaga poglądu na świat teleologicznego i normatywnego nad kauzalnym i opisowym, przyczyniają się również do stępienia zmysłu społecznego, a wysunięcia na pierwszy plan jednostki. Okres Odrodzenia i w ogóle przed-Kantowski ma przesadne wyobrażenie o poziomie moralnym człowieka i jego wolności i zdaje mu się, że wszelkie rozpatrywanie kauzalne zjawisk społecznych, szukanie w nich praw, sprzeciwia się wolności ludzkiej.

Pod wpływem tych czynników powstaje też w okresie przed-Kantowskim ściśle indywidualistyczne i atomistyczne pojmowanie społeczeństwa, zwrot ku badaniu tylko strony rozumowej człowieka a tem samem przedewszystkiem jego dążeń egoistycznych. Uczeni przyjmują pierwotną harmonię między interesami ogółu a egoistycznymi interesami jednostki (Ekonomia t. zw. „klasyczna“), a na kulturę zapatrują się pesymistycznie, sądząc, że ona zepsuła człowieka (Rousseau!). Tego indywidualizmu, przesiąkającego całą naukę, nie jest w stanie przełamać angielska psychologia asocyacyjna (Hartley, Hume), która stara się wykazać pewne prawa

---

[1]) Należałoby tu także — czego Vierkandt nie czyni — wskazać na znaczenie Recepcyi prawa rzymskiego. Charakter przepisów prawa rzymskiego na wskróś indywidualistyczny i egoistyczny wpłynął również na osłabienie instynktów społecznych...

[2]) Rozdział, który się ciągnie aż do nowszych czasów i — jak słusznie podnosi Paulsen w swoim Systemie Etyki — przyczynił się do tak jaskrawego wystąpienia kwestyi socyalnej w naszem stuleciu...

życia duchowego jednostki, tem mniej zaś kierunek psychofizyczny w francuzkim materyalizmie, który i tak skłania się do atomizmu. Zaledwo niektóre wielkie umysły, jak Machiavelli, Montesquieu, Leibniz, wyłamują się miejscami w swych pismach z tego indywidualizmu okresu Odrodzenia i w ogóle przed-Kantowskiego.

Z tem wszystkiem już w tym okresie, przed Kantem, zaznaczają się dwa prądy, przeciwne indywidualizmowi i intellektualizmowi. Jeden stanowi tak zwana „filozofia uczuciowa“ (Hamann, poniekąd i Rousseau), która odrzuca przesadny intellektualizm, drugi: Herder, który zwraca uwagę na duszę ludu i zaznacza myśl rozwoju w historyi ludzkości, a tem samem toruje drogę późniejszym pojęciom socyologicznym. Z Kantem zaś następuje zupełna reakcya przeciw indywidualizmowi...

Kant zastępuje przedewszystkiem dotychczasowy naturalizm, sposobem myślenia idealistycznym: pogląd na świat normatywny lub teleologiczny poglądem kauzalnym, a raczej, rzec można, łączy harmonijnie oba poglądy i zamyka je we właściwych granicach: zastępuje dalej intellektualizm poglądem, który wolę ludzką stawia jako centrum życia duchowego, a wreszcie w miejsce dotychczasowego substancyalnego sposobu myślenia wprowadza aktualny, odrzucając pojęcie jakiejś substancyi duchowej a uznając tylko formalną jedność zjawisk duchowych. Przez to zaś usuwa główną przeszkodę dotychczasową dla wyrobienia się pojęcia duszy narodu (oczywiście w formie tylko aktualnej!).

Zasadnicze myśli Kanta przerabiają i przetwarzają dalsi myśliciele. Przedewszystkiem filozofowie romantyczni. Savigny stawia naukę o społecznej naturze prawa, usuwającej się z pod samowoli indywidualnej; Fichte przechodzi od swego pierwotnego indywidualistycznego pojmowania społeczeństwa do postulatu, że jednostka musi się poddać interesom ogółu: Hegel tworzy naukę o objektywnym duchu, który urzeczywistnia się w dziejach ludzkości. Co prawda, w całej filozofii romantycznej występuje jeszcze zawsze dawny błąd: przewaga normatywnego sposobu myślenia. Złe to usuwają dopiero nowe kierunki, które zaznaczają silnie prawidłowość i przyczynowość w zjawiskach społecznych: pozytywizm Comtea, dalej „materyalizm historyczny“ Marxa i Engelsa, wreszcie poglądy Buckle'a, Hellwalda, poniekąd i Lipperta. Pozytywizm i historyczny materyalizm zostają jednak pod zbytnim wpływem nauk przyrodniczych. To też wskutek tego, pierwszy przecenia znaczenie „środowiska“ w rozwoju cywilizacyjnym, drugi znaczenie warunków ekonomicznych a raczej warunków

produkcyi. W pozytywizmie występuje nadto intellektualizm, postawienie na pierwszym planie, jako siły duchowej, kierującej cywilizacyą — rozumu ludzkiego: w materyalizmie historycznym znowu skrajny i bezwzględny kollektywizm, który poświęca jednostkę na rzecz ogółu. Intellektualizmem a tem samem indywidualizmem grzeszą także poglądy Buckle'a, Hellwalda a nawet Lipperta, uważają bowiem również rozum za główny bodziec cywilizacyi i kultury, a etyce przypisują bardzo małe lub prawie żadne znaczenie. Nawet Spencer i Stuart Mill stoją całkiem lub częściowo na gruncie indywidualistycznym.

Zwrot stanowczy od indywidualizmu w poglądach społecznych zaznacza się dopiero u Herbarta i u tych, którzy zostają pod jego wpływem, więc u twórców tak zwanej „psychologii narodów“ *(Völkerpsychologie):* Lazarusa i Steinthala, tudzież u Bastiana. Tylko że wszyscy ci pisarze ze szkoły Herbarta popadają znowu w skrajny kollektywizm: dla społeczeństwa zapominają zupełnie o jednostce!...

Toż samo czynią niektórzy przedstawiciele tworzącej się tymczasem nowoczesnej socyologii, zwłaszcza Gumplowicz. Stworzywszy pojęcie grup lub klas społecznych, nie uznają w nich odrębności i samoistności jednostek. Z tem wszystkiem nie ulega wątpliwości, że socyologia nowoczesna przez wprowadzenie właśnie pojęcia grupy lub klasy jako ogniwa pośredniego między społeczeństwem a jednostką wprowadziło pewną harmonię między bezwzględnym indywidualizmem a skrajnym kollektywizmem dotychczasowych systemów. Ostatecznie jeszcze Wundt łagodzi sprzeczność tych dwóch kierunków i uznaje we właściwych granicach jednostkę, podkreślając dwoistą naturę człowieka: jego samoistność z jednej strony, z drugiej zdolność do skupiania się i asymilowania w grupach społecznych. Człowiek może skutkiem tego albo zachowywać się biernie tylko, jako cząstka grupy społecznej, albo występować czynnie, działać samoistnie, wpływać nawet na grupy społeczne...

Na tem stanowisku staje też i Vierkandt w pracy, o której mówimy.

Na rozwój nowoczesnych wyobrażeń społeczno-psychicznych, na dzisiejsze lepsze zrozumienie natury społecznej człowieka, podziałały też bez kwestyi ożywcze postępy, zrobione w innych naukach.

Nauki przyrodnicze przeszły, jak wiadomo, od poglądu substancyalnego na naturę, do poglądu aktualnego. Usuwając atomistyczne pojmowanie zjawisk, uważając pojmowanie to za jedną z mo-

żliwości, obok której nie są wykluczone inne, wprowadzając pojęcie ciągłości zjawisk, pojęcie energii (w fizyce), zwróciły się do rozpatrywania raczej całości, jak poszczególnych elementów przy każdem zjawisku.

Podobnie i nauki duchowe skierowały więcej uwagę na całość życia społecznego, niż na izolowane objawy indywidualne. Statystyka zajęła się tak zwanymi „objawami ilościowymi“ (*Massenerscheinungen*). Antropologia karna społecznemi przyczynami występków; Historya wreszcie przestała być tylko historyą polityczną, a wzięła pod uwagę rozwój wewnętrzny i cywilizacyjny społeczeństw.

Zrozumienie zaś lepsze natury społecznej człowieka w nauce odbiło się także echem w literaturze i sztuce nowoczesnej; widzimy temata społeczne, dążenia do „uspołecznienia“ sztuki . .

W rozdziale II. swej pracy charakteryzuje Vierkandt: ogólne właściwości duchowego pożycia ludzi w związkach społecznych.

Podstawy życia duchowego wyższego: wrażenia zmysłowe, związane z niemi uczucia elementarne i główne kierunki woli we formie trzech elementarnych popędów: popędu zaspokojenia głodu, płciowego i towarzyskiego, są jednakowe u wszystkich jednostek ludzkich jakichkolwiek ras i stron ziemi. Stąd pewne podobieństwo świadomości, ustroju duchowego jednostek. Podobieństwo to uderza więcej u ludów niecywilizowanych, jak u ludów cywilizowanych: u drugich bowiem zacierają je nowe wpływy i różnice, jakie tworzy cywilizacya.

Różnice te dotyczą jednak tylko górnej części świadomości: życia duchowego własnowolnego, nie zaś strony świadomości głębszej: instynktowej. Gdy zaś w ogóle i w cywilizacyi wyrobione indywidualności są rzadkością, przeto nie trzeba sobie przedstawiać, że człowieka cywilizowanego dzieli od niecywilizowanego cała przepaść, owszem i w duszy pierwszego jest mnóstwo instynktów pierwotnych. Przyczyny tego podobieństwa duchowego jednostek ludzkich, o którem mówimy, łatwo zrozumieć. Jedną jest już: ta sama naturalna struktura ducha ludzkiego, drugą: podobieństwo urządzeń i wpływów społecznych, pod którymi zostają jednostki.

Gdy podobieństwo ustroju duchowego usposabia już z góry jednostki ludzkie do pożycia w grupach, związkach społecznych, ciągnie je z drugiej strony do tego wrodzony instynkt towarzyski. Człowiek jest stworzeniem towarzyskiem, ma naturę społeczną i skłonnym jest do pożycia w grupach. Nie popycha go do tego refleksya, rozważanie korzyści, jakie mu to przynieść może, bo asocyacya świadoma tworzy się dopiero na wyższych stopniach cywili-

zacyi, lecz po prostu nieświadomy instynkt. Dowodem negatywnym tego instynktu, tej towarzyskiej natury człowieka jest; bezsilność jednostek wobec potęgi zwyczaju, tradycyi, etykiety... Nawet w życiu intellektualnem, w którem jednostka na pozór swobodniej się porusza, potęga wpływów społecznych na jednostki jest niezmierną. Prądy, idee pewnego czasu, opinia publiczna oddziaływają i tu na jednostki i decydują zwykle o ich czynach.

Wyjątki od tej wspólności pożycia duchowego ludzi w pewnem społeczeństwie i ich towarzyskości, tworzą raz: elementa wprost przeciwne tej wspólności, antispołeczne jak zbrodniarze, z drugiej strony elementa, usuwające się z pod karbów jednolitosci duchowej, elementa niespołeczne — jak je Vierkandt nazywa — geniusze, wielcy ludzie, lub choćby zwykli dziwacy i mizantropi. Elementa przeciwne sobie (antispołeczne) stara się społeczeństwo zgnieść i pokonać, elementa niespołeczne, o ile ich — jak wielkich ludzi — nie uzna, potępia tylko przez opinię publiczną. Wojny, rewolucye, zbrodnie masowe, zaś są objawami nawrotu od społecznej natury ludzkiej do dzikich instynktów pierwotnych. Ponieważ jednolitość duchową w społeczeństwie utrzymują pewne ustalone poglądy i zapatrywania, na których też opiera się istniejący porządek rzeczy, przeto na nowe idee, które jednolitość zachodzącą chcą zmienić, patrzą klasy rządzące w społeczeństwie zwykle z niechęcią.

Instynkt towarzyski, poczucie łączności jednostki z grupą, czy społeczeństwem, do których ona należy, są w stosunku odwrotnym do wyrobienia indywidualności w jednostce. U różnych ras i narodów występuje zresztą instynkt ten silniej lub słabiej. Biorąc pod uwagę czasowe następstwo po sobie generacyi ludzkich, widzimy, że każda następna gen racya zostaje także i pod wpływem idei, tradycyi, przejętych od generacyi poprzednich. Stąd tylko naiwnie można pojmować ludzkość, jako ogół dzisiaj żyjących ludzi. Nie ulega jednak wątpliwości, że tak jak i jednostka, tak i każda generacya ludzka ma także pewną samodzielność i do skarbca kultury, zebranego przez generacye dawniejsze, może swoją cząstkę dorzucić...

Podobieństwo ustroju duchowego jednostek ludzkich, które jest zarówno podobieństwem dyspozycyi procesów duchowych, jak i podobieństwem treści (zasobu myśli, pojęć), wywołuje łatwo znany objaw: zarazy psychicznej, która polega na tem, że pod wpływem rozbudzenia fantazyi, afektów liczne jednostki powtarzają czyn, przez kogoś wykonany. Występuje to przy zbrodniach, samobójstwach, działaniach, wywołanych przez fanatyzm...

Z drugiej strony podobieństwo ustroju duchowego jednostek jest powodem ograniczenia i ubóstwa świadomości ludzkiej. Widzimy u wszystkich ras i narodów ziemi ciągłe powtarzanie się tych samych zwyczajów, urządzeń, wyobrażeń, motywów i form w sztuce, a choć będą różnice, to tylko pozorne, zewnętrzne; treść będzie ta sama. Wskutek tego też powstał w socyologii spór, czy różne rasy i ludy przejęły jedne od drugich cywilizacyę i jej dobra, czy też przychodziły niezależne od siebie do tych samych zdobyczy, tylko wskutek swego podobieństwa duchowego. Spór ten rozstrzyga Vierkandt słusznie w tym kierunku, że gdy idzie o głębiej uzasadnione dobra kultury, które trzeba przypisać albo tym samym potrzebom duchowym, albo tym samym wpływom zewnętrznym (otoczenia), uzasadnioną jest teorya niezależnego, odrębnego powstawania tych dóbr kultury; że natomiast gdy rozchodzi się o zdobycze więcej powierzchowne (używanie narkotyków, motywa w ozdobach i t. d.), przyjąć trzeba naśladownictwo.

W rozdziale III. przystępuje Vierkandt do rozbioru różnic między ludami niecywilizowanymi a cywilizowanymi.

Zgodnie ze swem założeniem, że u ludów niecywilizowanych występują działania popędowe, u ludów cywilizowanych własnowolne, stawia jako różnicę pierwszą: różnicę co do siły i trwania woli, albo jak ją jeszcze inaczej nazywa: różnicę między namiętnością a rozwagą w działaniu. Popęd zawisł od podniet zewnętrznych i od psychofizycznej organizacyi działającego z popędu. Człowiek niecywilizowany więc reaguje za każdą podnietą zewnętrzną, zmysłową zwłaszcza, działa nadzwyczaj silnie, gwałtownie; ale też tylko tak długo, jak długo trwa podnieta. U człowieka cywilizowanego wola jest wynikiem całego ustroju duchowego, poprzednich doświadczeń, zdobytych pojęć i myśli. Ponieważ rozważa on różne motywa, nie reaguje przeto tak łatwo za każdą podnietą i działa z mniejszą gwałtownością, ale też za to dłużej, ciąglej i w pewnym ustalonym kierunku.

Wynikają stąd dlań pewne niekorzyści i korzyści.

Ponieważ reakcya na podniety zmysłowe nie jest tak silną, a z drugiej strony następuje krzyżowanie się motywów, przeto wola człowieka cywilizowanego nie występuje z taką elementarną siłą, jaka cechuje czyny i uczucia plemion i jednostek niecywilizowanych. To też do fanatyzmu, czynów gwałtownych daleko łatwiej podniecić ludy niecywilizowane, a nawet w społeczeństwach cywilizowanych człowiek o słabej głowie, ciasnych poglądach, który nie rozważa, jest zwykle energiczniejszym w działaniu, jak umysł głębszy, refleksyjny.

Korzyścią zaś działania rozważnego, rozbioru motywów jest niezależność większa człowieka cywilizowanego i od wpływów wewnętrznych przyrody, którą działając z rozwagą i zastanowieniem potrafi opanowywać, i od namiętności, zwłaszcza popędów czysto zmysłowych.

Jako drugą różnicę między ludami niecywilizowanymi i cywilizowanymi przyjmuje Vierkandt: dorywczą energię u pierwszych, energię zorganizowaną u drugich. Jest to różnica, która odnosi się do wewnętrznej treści woli. Wola popędowa, reagując za każdą podnietą żywo i silnie, wyczerpuje wnet swoją energię, zamiast zachowywać ją i zużywać tylko w pewnych stałych, od zewnętrznych podniet niezależnych, celach. Natomiast wola samowiedna wyrobiona kieruje się przy zużywaniu energii pewnymi jednolitymi punktami wytycznymi, które sama sobie postawiła. Energia działania jest więc przy woli popędowej, która przeważa u ludów niecywilizowanych, dorywczą, przy stosunkowo małej bezwartościowej podniecie, następuje ogromny wydatek energii w działaniu; u ludów cywilizowanych energia woli jest zorganizowaną, stosowną do znaczenia i wartości podniet i kieruje się tylko na cel właściwy.

Parę przykładów najlepiej to wyjaśni.

Przy prowadzeniu wojny widzimy, że bohaterowie Homera, nim przystąpią do walki z sobą, wychwalają siebie a obsypują przeciwników przezwiskami. Toż samo robią i dziś jeszcze plemiona murzyńskie w Afryce, tracąc tyleż czasu na hałasowanie, strzelanie na wiatr, aby nieprzyjaciela zastraszyć, co na samą walkę. Na polu gospodarczem ileż czasu tracą plemiona niecywilizowane, a w społeczeństwach cywilizowanych warstwy niższe na każde zakupno! Długie rozmowy, ceremonie — jak na Wschodzie n. p. — wybieranie się na jarmark, targowanie bez końca, muszą poprzedzić zakupno, które człowiek cywilizowany załatwia krótko i szybko. W mowie: język wysoko cywilizowanych Anglo-Saxonów jest prosty i łatwy, gdy języki ras, nizko stojących pod względem cywilizacyi, odznaczają się i obfitością form gramatycznych i mnóstwem równoznaczących wyrażeń na jedną i tę samą konkretną rzecz. W życiu umysłowem fantazya pewna i biegłość formalna potrzebne są i w nauce, lecz nadmiar jednej i drugiej, zbytni wydatek energii w tym kierunku, szkodzi przedmiotowemu myśleniu. To też widzimy jednostronność Greków starożytnych na polu filozofii: nadmiar biegłości dyalektycznej staje się dla ich filozofii zgubnym, wyczerpują się w formalnej spekulacyi filozoficznej, podczas gdy wobec nauk przyrodniczych stoją bezradni. Tymczasem dzisiejszą naukę cechuje przedmiotowość myślenia, t. z.

zajęcie się pewnym ściśle oznaczonym przedmiotem i umiarkowanie w myśleniu: nie wychodzenie po za granice przedmiotu tego. Ale też to są dopiero owoce dojrzałej cywilizacyi, zorganizowania i energii duchowej!...

Wspomniana dopiero co różnica: marnotrawstwo energii na każdem polu u ludów niecywilizowanych a używanie jej świadome i celowe u ludów cywilizowanych jest nader ważną dla oceny całej nowoczesnej cywilizacyi. Zdaniem Vierkandta całą cywilizacyę dzisiejszą cechuje pewna trzeźwość, ubóstwo we formach, usunięcie momentu estetycznego w życiu, a wynika to wszystko z tego, że odstąpiliśmy od przeceniania form, charakteryzującego ludy niecywilizowane, a wydatek energii na każdem polu zredukowaliśmy do minimum potrzebnego dla osiągnięcia danego celu. Widać to i w życiu towarzyskiem i w życiu umysłowem, w nauce, gdzie zrozumieliśmy dziś, że błyszczący dowcip, bystrość nie oznaczają jeszcze wielkości naukowej, że prawdziwie wielkie umysły lubią prawdę wypowiadać spokojnie i prosto. Występuje to także i w życiu społecznem, gdzie znowu pojęliśmy, że pięknie brzmiące hasła równości i wolności, czysto formalne zrównanie w prawie wszystkich, nie wystarczają, że chodzi o ważniejsze regulowanie życia gospodarczego, zapobieganie wyzyskowi!

Godzę się z tem zdaniem Vierkandta tylko z pewnem zastrzeżeniem, nie uznaję, ażeby zredukowanie nadmiaru form, które nastąpiło bez kwestyi w życiu nowoczesnem, miało wywoływać usunięcie momentu estetycznego w naszej cywilizacyi [1]).

Sztukę pojmujemy i rozumiemy inaczej może jak dawniej, ale... głębiej! Usunęliśmy nadmiar momentu formalnego (n. p. patos i teatralność w tak zwanem malarstwie „historycznem“ lub „piękny pejzaż“ w krajobrazach), lecz za to umiemy naturę daleko lepiej odczuć i w każdym kawałku życia w prostych motywach znaleźć piękno. A zastosowanie sztuki do przemysłu, wpływ jej na urządzenie mieszkania, nawet na mody, czyż także oznacza usunięcie momentu etycznego w życiu?

Cały szereg dalszych różnic między ludami cywilizowanymi a niecywilizowanymi wynika z rozwagi przy działaniu u pierwszych a z działania czysto popędowego u drugich.

Przy działaniu rozważnem, kierowanem wolą wyrobioną, następuje tak rozważanie następstw przyszłych działania, jak i motywów jego, czego wszystkiego nie ma przy działaniu popędowem. To też ze względu na następstwa czynów cechuje ludy cywilizowane: przewidywanie i troska o przyszłość, staranie zapobieżenia

---

[1]) Nad tem samem ubolewa, jak wiadomo, w pracach swych Ruskin!

złemu, odwrócenia możliwych klęsk. Ludy niecywilizowane nie troszczą się o przyszłość i żyją z dnia na dzień, nie starają się złe odwrócić, lecz zdolne są tylko do ewentualnej repressyi.

Ze względu zaś na motywa czynów i ich rozważanie widzimy u ludów cywilizowanych ocenę wartości wewnętrznej motywów, wyrobienie sobie całego szeregu punktów wytycznych dla życia, pojęć etycznych ideałów religijnych i ideałów w sztuce. Ludy niecywilizowane nie mają wprost pojęcia wartości absolutnych: pojęcia przestrzeni, czasu. Nawet życie bardzo mało cenią. A co się tyczy życia etycznego, to przeważają u nich motywa działania impulzywne, nie normatywne; normatywne zaś, o ile występują, są tylko motywami natury społecznej (przymus zwyczaju opinii publicznej). Przeciwnie u ludów cywilizowanych przeważają motywa działania normatywne i to wynikłe z pewnych wyrobionych stałych poglądów etycznych, motywa indywidualne. Jeżeli przez sumienie będziemy rozumieć właśnie reakcyę samowiedzy naszej przeciw tym motywom indywidualnym, to sumienie występuje tylko u ludzi z wyrobioną indywidualnością, u ludzi cywilizowanych [1].

Małe wyrobienie jednostek, małe znaczenie ich w społeczeństwach niecywilizowanych, przebija w stosunku jednostki do całości związku społecznego, który jest na nizkim stopniu kultury całkiem innym, jak na wysokim. Indywiduum u ludów niecywilizowanych ma znaczenie jakby przykładu dla ogólnego typu, ale nie znaczenie odrębnej osobowości pod względem duchowym. Stąd samowiedza indywidualna u ludów niecywilizowanych polega na zgodności jednostki z ogółem i jest więcej zewnętrzną. Treść duchowa jednostki dlatego tylko się nie różni od takiejże treści jednostek innych, że wszyscy są skrępowani tymi samymi czynnikami zewnętrznymi: zwyczajami, urządzeniami społecznemi, i wszyscy pod względem indywidualności są równo niewyrobieni. Przeciwnie u ludów cywilizowanych samowiedza indywidualna polega na różnicy jednostki danej od innych, na różnicy, która jest więcej wewnętrzną, bo wynikła z pewnych wyrobionych sobie przez jednostkę poglądów i punktów wytycznych działania. U ludów niecywilizowanych, jednem słowem, jednostka gubi się w ogóle, u cywilizowanych różni się od ogółu. Wynikająca stąd różnica w życiu etycznem będzie: działanie pod przymusem zewnętrznym (czynników

[1]) To zdanie Vierkandta o tyle nie jest słusznem, że można i instynktowe poczucie sprawiedliwości lub niesprawiedliwości u człowieka niecywilizowanego nazwać: sumieniem.

społecznych) u człowieka niecywilizowanego: działanie zaś pod wpływem czynników wewnętrznych (ideałów etycznych) u człowieka cywilizowanego.

Obok samowiedzy indywidualnej można mówić też (do pewnego stopnia tylko!) o samowiedzy społecznej. Polega ona na tem, że cały związek społeczny, cały naród wreszcie przychodzi do świadomości swego znaczenia. O takiej samowiedzy może być tylko mowa na wyższych stopniach kultury i tworzy ona dalszą różnicę ludów cywilizowanych i niecywilizowanych. Gdy ludy niecywilizowane cechuje brak samowiedzy społecznej, są one zupełnie bierne, zależne od zewnętrznej natury, a w życiu religijnem obawiają się tylko gniewu, potęgi karania Bogów swych, to ludy cywilizowane mają samowiedzę społeczną i są czynne w stosunku do natury, czują się panami jej, a Boga pojmują idealnie i etycznie.

Idąc dalej, widzimy ogromną różnicę między życiem historycznem ludów cywilizowanych a niecywilizowanych. Narody cywilizowane dążą do pewnych celów, a ponieważ każdy cel osiągnięty może stać się znowu punktem wyjścia do nowych rozważnych i celowych działań, przeto nowe generacye przyjmują ze świadomością to, co w dobrach cywilizacyjnych gospodarczych, politycznych, duchowych zostawiły im dawniejsze generacye, dobra te dalej ze świadomością doskonalą, przetwarzają. Życie historyczne narodów cywilizowanych cechuje więc pewna ciągłość, niezależność rozwoju materyalnego i duchowego od występów dowolnych i działań jednostek, wreszcie świadomość tego rozwoju i postępu u wszystkich. Przeciwnie życie historyczne ludów niecywilizowanych cechuje to, że jednostki wybitniejsze mogą mieć na nie wpływ ogromny, nie ma ciągłości idei, względnie występujące idee polityczne czy religijne zużywają się rychło, a stosunkowo do rozwijanej energii w działaniu, mały jest rezultat, ludy te wytwarzają mało urządzeń państwowych, ustawodawczych, dzieł duchowych o trwałej wartości. Jednem słowem taż sama różnica: zorganizowanej i dorywczej energii, którą rozpatrywaliśmy wyżej, jako charakterystyczną dla jednostek cywilizowanych i niecywilizowanych, cechuje także życie historyczne społeczeństw cywilizowanych i niecywilizowanych.

Wydawanie ciągłe, w sposób świadomy i w pewnych celach, energii duchowej przez ludy cywilizowane jest powodem, że i ich życie uczuciowe różni się całkiem od życia uczuciowego ludów niecywilizowanych. Ma przebieg ciągły jednostajny: uczucia nie występują z taką gwałtownością, jak przy niskiej kulturze (krępuje je silnie rozwinięta duchowa świadomość wartości podniety i wyrobiona wola!), ale

za to trwają długo. U ludów niecywilizowanych uczucie występuje z całą namiętnością, gwałtownością, tak że mąci równowagę duchową, ale też trwa krótko. Charakter ten noszą i ich tańce, muzyka, nawet poglądy religijne.

Tak samo różnym jest typowy nastrój duchowy ludów niecywilizowanych a cywilizowanych. Zaspokajanie bez przeszkody popędów naturalnych wyradza u pierwszych pewne zmysłowe zadowolenie. Opanowywanie tych popędów dla wyższych motywów u ludów cywilizowanych jest powodem, że tego zmysłowego zadowolenia u nich się nie spotyka. Gdy do tego damy głębszy pogląd na świat, trudność problemów, jakie stawia rozwinięte życie duchowe i społeczne, troskę o przyszłość, nic dziwnego, że nastrój duchowy ludów cywilizowanych jest poważnym. Człowiek niecywilizowany podobny jest do dziecka: żyje wesoło, zmysłowo więcej, bez troski o przyszłość, niechętny jest wszelkiemu trudowi i pracy i wygodny. Człowiek cywilizowany natomiast jest poważny, żyje więcej umysłowo, przewiduje przyszłość, pojmuje konieczność pracy i przedstawia połączenie energii a zarazem rezygnacyi! Widzi on, że trud i cierpienie nieodłączne są od życia na ziemi, przejmuje go to pewnym smutkiem, nie odbiera jednak siły do spełniania obowiązków.

(Dokończenie nastąpi).

Dr. W. P.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.

Prenumerata wynosi: w cesarstwie austryackiem rocznie **8** K., półrocznie **4** K., ćwierćrocznie **2** K. w. a., w granicach Niemiec rocznie **3** talary, półrocznie **1½** talara, którą prosimy nadsyłać (najdogodniej przekazem pocztowym) pod adresem: **Administracya „Gazety Lwowskiej“.**

Cena księgarska (główny skład w Galicyi w księgarni Gubrynowicza i Schmidta) za rocznik **10** K., za pół roku czyli 1 tom **5** K., za ćwierć roku **2** K. **50** h., za zeszyt **1** K. w. a.

Prenumeratorowie „Gazety Lwowskiej“, którzy uiszczą przedpłatę na „Gazetę“ z góry za cały rok (od 1 stycznia) lub za pół roku (od 1 stycznia lub od 1 lipca) otrzymają „Przewodnik“ bezpłatnie, zaś prenumeratorowie ćwierćroczni i miesięczni na żądanie za dopłatą: pierwsi **1** K. **50** h. na kwartał, drudzy **60** h. za zeszyt.
